



• **Premiera:** Masłowska powraca z powieścią
• **Conan:** jak do miecza dodano magię
• Książki, z którymi zaplanujesz wyprawę po Polsce



WYSOKIE OBCASY
Anna Hernik
Nasza rodzina i glejak

GAZETA **wyborcza** wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Biegnij, Ewa, biegnij!

Oprócz Ewy Swobody
w Paryżu o medale
powalczy 113 Polek
i 100 Polaków

► 4-13



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Kamala Harris
Kto będzie
jej zastępcą?
► 14



FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS

Taylor Swift
To nie jest
wzór dla
dziewczynek ► 22

**Kto to jest winien
Godziny „W”**
80. rocznica powstania ► 40

Agnieszka
KublikI kto się
skompromitował?

Coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na kompromitację prokuratora, zdaje się być kompromitacją sędziego. Sprawa immunitetu Marcina Romanowskiego pokazuje, w jakim kryzysie jest nasze sądownictwo.

Prof. Wojciech Sadurski zauważył, że ten skandal ma zarówno polityczny, jak i prawny: „Politycznie, wymyślenie rzekomego immunitetu »europejskiego« b. wiceministra sprawiedliwości [...] pokazuje, że nowa demokratyczna władza będzie wpadać w zasadzki zastawione na nią przez siły *ancien regime*’u, które niby oddały władzę, ale nie całkiem”.

Sędzia Agata Pomianowska – z mokatowskiego sądu, członkini Iustitii – nie miała żadnego dokumentu, potwierdzającego istnienie immunitetu Romanowskiego (list przewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy do marszałka Sejmu nie był oficjalnym stanowiskiem), a mimo to nie dokonała analizy, czy immunitet go chroni. A to jej obowiązek!

Wymiana KRS czy nowi szefowie sądów nie uczą sędziów samodzielnego myślenia, analizy, poszukiwania odpowiedzi. Sądownictwo to nie tylko stosowanie przepisów, to roztrząsanie wątpliwości i decyzja. Brak decyzji sędzi Pomianowskiej klóci się z logiką i sprawiedliwością. Bo jak Romanowskiego miałby chronić immunitet RE za to, co wyprawiał z pieniędzmi Funduszu Sprawiedliwości, zanim został delegatem do RE?

Prof. Jerzy Kranz na portalu MonitorKonstytucyjny.eu pisze, że sąd „uchylił się od swojego obowiązku i »sprytnie« przerzucił ciężar na instancję odwoławczą. Zachwyty nad niezawisłością sędzi (sądu) brzmią groteskowo [...], a sytuacja uraga powadze polskiego państwa i należy ją określić mianem skandalu”.

Lektura kilku dokumentów – m.in. Statutu RE i Porozumienia Ogólnego w sprawie przywilejów i immunitetów RE – dałaby odpowiedź, że Romanowskiemu immunitet nie przysługuje. Wtedy sędzia powinna merytorycznie rozstrzygnąć wniosek o areszt, ocenić wagę zarzutów i ryzyko mactwa. Zarzuty są ciężkie, a ryzyko mactwa spore. Na taśmach Tomasza Mraza, b. dyrektora z Funduszu Sprawiedliwości, Romanowski zastanawia się jak tłumaczyć się z przewalów, czyli, jak mactać.

Prof. Tomasz Koncewicz mówił „Wyborczej”, że etos sądownictwa to trzy elementy: „po pierwsze, rzemiosło sędziowskie, czyli interpretacja prawa, dyrektywy, paragrafy. Po drugie, gotowość do strzeżenia człowieka [...]. Instynkt, który podpowiada, że na zdrowy rozsądek rutynowa interpretacja – dosłowne odczytanie przepisów – jest niedobra, bo niesprawiedliwa. I po trzecie, odwaga”.

Sędzi Pomianowskiej tego zabrakło, nie wykazała się niezbędną sędziemu potrzebą wnikiwości.

Co wówczas z rzetelnym procesem? Sądzą ludzie, nie instytucje. Jeśli nawet zajdzie istotna zmiana, a istota pozostanie niezmieniona, to co nam z takiej zmiany? ●

W poniedziałek
w „Dużym
Formacie”CO KRYJE SIĘ
W BAŁTYKU

– Co najwspanialszego pan widział pod wodą?

– No ja jestem zakręcony na wraki. To jest największa atrakcja

w Bałtyku, mamy ich w naszej strefie brzo-

wej tysiące.

Z Pawłem Golikiem, nurkiem, rozmawia Tomasz Kwaśniewski

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Andrzej rysuje

John Mayall nie żyje
Ojciec chrzestny brytyjskiego bluesa

Blues jest dla mnie rodzajem surowej szczerości, z którą za pośrednictwem muzyki i słów wypowiadamy się o życiu” – mawiał zmarły 22 lipca John Mayall, weteran gatunku. Tę muzykę czarnych Amerykanów uprawiał od lat 60. XX w. Doskonale czuł jej klimat, mimo że był Brytyjczykiem spod Manchesteru.

„Z ciężkim sercem informujemy, że John Mayall zmarł w pokoju w swoim domu w Kalifornii otoczony kochającą rodziną. Przez 90 lat niestrudzenie uczył nas, inspirował i bawił” – napisali bliscy muzyka.

Był multiinstrumentalistą – grał na fortepianie, organach, gitarze i harmonijce ustnej, był też wokalistą i prawdziwym liderem zespołu muzycznego. „New York Times” zauważa jednak, że wielkość i autorytet Johna Mayalla nie wzięły się tylko z jego wybitnych umiejętności muzycznych.

„Ojciec chrzestny brytyjskiego bluesa miał talent do odkrywania talentów. Spod jego ręki wyszli znakomici gitarzyści, którym pomagał w rozwoju”. Wspomniane talen-



FOT. PAP/EP/DAVID ZENARO

ty, z którymi grał w zespole Mayall, to m.in. Peter Green, założyciel Fleetwood Mac, Mick Taylor, który od Mayalla przeszedł do Rolling Stoneów. Wreszcie Eric Clapton, z którym Mayall nagrał w 1966 r. płytę „Blues Breakers”.

Jego zespół również nazywał się The Bluesbreakers i działał w latach 1963-1970, a po reaktywacji w 1982 r. jeszcze przez 26 lat.

Mayall w 2005 roku dostał Order Imperium Brytyjskiego. W tym roku został wprowadzony do Rock and Roll Hall Of Fame. ●

Anna S. Dębowska

REKLAMA

Kraj/34328784

HYUNDAI
Official Partner

10. Olsztyn
green FESTIVAL
 15–17 Sierpnia

IONIQ 5

Na festiwal zaprasza Was marka Hyundai



SPEEDMASTER 38 MM
Co-Axial Chronometer

OFICJALNY CHRONOMETRAŻYSTA

Podczas Igrzysk Olimpijskich i Paraolimpijskich w Paryżu 2024 nasza uwaga skupi się na sportowcach walczących o złoto. Bebe Vio jest dwukrotną mistrzynią paraolimpijską w szermierce szpadowej w kategorii B. OMEGA z dumą wspiera Bebe i wszystkich sportowców w realizacji ich marzeń na największej sportowej arenie. Od 1992 roku mamy zaszczyt być Oficjalnym Chronometrażystą Igrzysk Paraolimpijskich zapewniającym precyzję i eksperckie działanie w momentach, które się... liczą.



Igrzyska  w Paryżu

Radość CZYSTA JAK SEKWANA

Na olimpiadzie zachowuję się jak dziecko w sklepie z zabawkami. Wszystkiego chcę spróbować i wszystko chcę mieć.

Z **RADOSŁAWEM LENIARSKIM**
ROZMAWIA **MIROSŁAW MACIOROWSKI**

MIROSŁAW MACIOROWSKI: Pamiętasz swój bieg sprzed 20 lat? W przeddzień igrzysk w Atenach ruszyłeś z Maratonu do Aten, tą samą trasą, którą w 490 roku p.n.e. przebiegł legendarny Filippides z informacją o zwycięstwie ateńskiej armii nad Persami.

RADOSŁAW LENIARSKI: Tak się zawsze składa, że gdy są igrzyska, to mam urodziny, wtedy 40. I pomyślałem sobie, że pobiegnę, aby pokazać, że wciąż jestem młody.

Czas: 5 godzin, 10 minut i 12 sekund. Niezły jak na upał, sześć odcisków na nodze, przecięty palec i plecy zdarte od zbroi. Po co ci była ta zbroja?

– Uznaliśmy z kolegami, że dla mojego pomysłu – choć nie dla prawdy historycznej – lepiej będzie, żeby Filippides był hoplitą, ciężkozbrojnym piechurem, a nie zawodowym posłańcem. To bardziej malownicze. Dlatego wymyśliliśmy, że pół dystansu pobiegnę w blaszanej imitacji zbroi, a drugie pół w stroju współczesnego lekkoatlety. Dałem radę, choć potem przez kilka dni ledwo chodziłem.

Przebiec maraton w kolebce igrzysk to brzmi jak dziecięce marzenie.

– Rozczaruję cię, to nie było moje marzenie, tylko spontaniczny pomysł, na który wpadłem w przeddzień. Choć oczywiście zawsze marzyłem, że pojadę na igrzyska.

Przywołuję twój bieg, bo mam wrażenie, że nie kierował tobą tylko kryzys wieku średniego, ale jakaś idea, ściślej mówiąc: olimpijska.

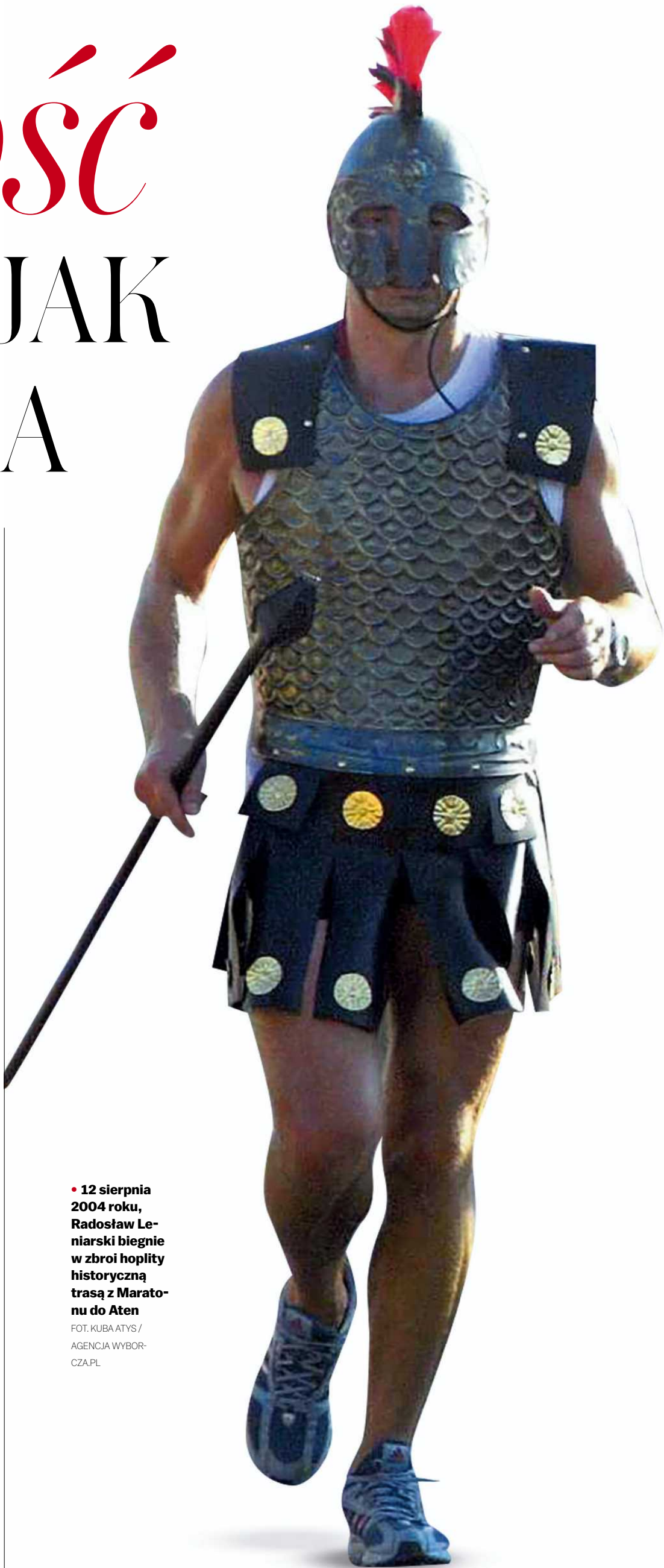
– Biegając w zbroi, myślałem przede wszystkim, żeby dobiec, a nie o idei takiej, jak sam o niej myślę.

Co to za idea? Slogany Pierre’a de Coubertina, że liczy się sam udział, trzeba kształtować samego siebie i walczyć o pokój na świecie?

– Najogólniej mówiąc, idea olimpijska oprócz postulatów doskonalenia siebie powinna według mnie realizować przede wszystkim hasło „sport łączy”. I ta najważniejsza dla mnie zasada olimpizmu z trudem, bo z trudem przez dekady jest realizowana.

Czyżby?

– Oczywiście, teraz jesteśmy w kryzysie, ale nie pierwszym i zapewne nie ostatnim. Mimo wszystko jednak igrzyska będą jakoś łączyć. Zwróć uwagę, że mimo wojny w Ukrainie nie ma żadnego boj-



• 12 sierpnia 2004 roku, Radosław Leniarski biegnie w zbroi hoplity historyczną trasą z Maratonu do Aten

FOT. KUBA ATYS /
AGENCJA WYBOR-
CZA.PL

Igrzyska w Paryżu

kotu, a przecież były w czasach żelaznej kurtyny – w 1980 r. Zachód nie pojechał na igrzyska w Moskwie, a cztery lata później sportowcy z krajów bloku komunistycznego – do Los Angeles. To najbardziej znany bojkot, ale było ich o wiele więcej.

Świat mamy dziś również mocno podzielony, ale jednak nie zawiązał się żaden blok krajów, które zamierzałyby zbojkotować igrzyska z powodu udziału w nich Rosjan i Białorusinów. Zaraz po agresji Rosji na Ukrainę były takie pomysły, zresztą wiele federacji sportowych de facto wykluczyło Rosjan z prestiżowych zawodów w obawie przed groźbą bojkotu ze strony innych reprezentacji.

Ale z igrzyskami tak nie jest, okazało się, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

Moim zdaniem wcale – należało Rosjan i Białorusinów bezwzględnie wyrzucić z igrzysk i nie pozwolić im na start nawet bez barw narodowych, flagi i hymnu.

– Najchętniej bym ich wykluczył bezwarunkowo, ale rozumiem rozwiązania, które wdrożył Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Znalazł salomonowe rozwiązanie – zrobił wszystko, żeby w Paryżu wystartowali tylko sprawdzeni i zaakceptowani sportowcy z tych krajów. Zanim zaproponowano im udział w igrzyskach, specjalna komisja zbadała, czy nie mają związków z reżimem bądź sowiecką propagandą.

Naiwność, nie wierzę w skuteczność takiej komisji. – Ale jej działalność przynosi efekty. Jej członkami nie są wyłącznie Szwajcarzy czy Francuzi, którzy siedzą gdzieś nad Jeziorem Genewskim. Ścisłe współpracują z nią Ukraińcy, którzy przeczesują internet, szczególnie portale społecznościowe, badając życiorysy i wypowiedzi Rosjanin, którzy starają się o start. Ukraińcy doprowadzili do zablokowania startu wielu rosyjskich sportowców, tylko nie robią tego głośno. Oni wysyłają te informacje do takiego specjalnego panelu i tam się im nadaje bieg.

To ja przytoczę słowa ukraińskiego wioślarza Jurija Czebana. W rozmowie z portalem Wszystko najważniejsze.pl podał przykłady kajakarzy Aleksieja Korowaszkowa i Iwana Sztyla, którzy dostali olimpijską licencję. Pierwszy w 2014 r., po inwazji Rosji na Krym, przykleił sobie na łódce hasło: „Na Berlin”. Drugi reprezentuje wojskowy klub CSKA Moskwa, więc jak można twierdzić, że nie ma związków z reżimem? Moim zdaniem każdy sportowiec rosyjski czy białoruski, nawet zaakceptowany przez komisję, ma związki z reżimem, a jego sukces w Paryżu będzie wykorzystywany propagandowo. Ludzie Putina będą krzyczeć: „Patrzcie, Zachód rzuca nam kłody pod nogi, a my i tak wygrywamy”.

– Sztyl został wyeliminowany, w Paryżu go nie będzie. Ale rozumiem twój punkt widzenia, bo jesteśmy Europejczykami, respektujemy wartości demokratycznego świata, a w dodatku sąsiadujemy z państwem, które jest agresorem. Wiemy, czym jest Rosja, i staramy się to wytłumaczyć innym. Ale świat myśli inaczej, niżbyśmy chcieli. Co więcej, nawet Europy do końca nie przekonaliśmy. Przecież Viktor Orbán jeździ do Putina, a rosyjski gaz LNG płynie cały czas do Europy, a nawet do Stanów Zjednoczonych.

Po prostu to, co my myślimy i mówimy, nie jest głosem globalnym. Takie są fakty i MKOl musiał sobie z tym poradzić. Idąc na różne kompromisy, doprowadził jednak do tego, że Rosjan praktycznie na igrzyskach nie będzie. Wystartuje ich kilkunastu, a zwykle było ponad 300 – tylko ci, którzy przeszli przez sito komisji, i do tego nie na prawach reprezentacji narodowej, ale jako drużyna MKOl-u.

Poza tym my rozmawiamy o wojnie w Ukrainie, ale na świecie toczą się też inne konflikty – w Gazie, Sudanie, Sahelu, w Mjanmie (Birmie).

Nie można ich porównywać z wojną w Ukrainie. Agresja Rosji przypomina napaść Hitlera na Polskę i początek II wojny światowej. Ma globalne skutki, sytuacja jest klarowna: jeden kraj napadł na drugi, bombarduje, morduje i okupuje.

– To prawda, ale jednak pojawiły się głosy, i to dość liczne, by wykluczyć z igrzysk także Izrael, bo ma na sumieniu mnóstwo cywilnych ofiar w Gazie. Wydarzenia polityczne towarzyszące temu konfliktowi sprawiają, że Izrael również zaczyna być kwestionowany jako państwo demokratyczne w pełnym rozumieniu tego pojęcia. Skoro połowa mieszkańców,

nad którymi ma kontrolę, to de facto obywatele drugiej kategorii, więc coś jest na rzeczy.

To, co wyprawia izraelska armia w Gazie, jest nie do zaakceptowania, ale w kontrze zawsze usłyszysz: „Palestyńczyków też wyrzucimy, bo przecież 7 października Hamas zaatakował i zamordował niewinnych Izraelczyków”.

– Chodzi mi tylko o to, żebyśmy zrozumieli, że nie da się już oderwać sportu od polityki. Zresztą od początku nowożytnych igrzysk olimpijskich w 1896 r. polityka brała udział w zawodach, jak podczas hitlerowskich igrzysk w Berlinie (1936) czy Monachium (1972), gdy palestyńscy terroryści zaatakowali reprezentantów Izraela, nie mówiąc o wspomnianych już politycznych bojkotach igrzysk w ZSRR i USA.

Gdy w 2014 r. wracałem z zimowych igrzysk w Soczi, widziałem na lotnisku wielu dziennikarzy i fotoreporterów, którzy lecieli do Kijowa, żeby stamtąd dostać się na Krym – już zaczynała się aneksja i oni musieli przy tym być, wysyłały ich redakcje.

Dwa lata temu Putin polecał do Chin, gdzie na stadionie olimpijskim spotkał się z Xi Jinpingiem, którego uprzedził, że zaatakuje Ukrainę. Chiński przywódca poprosił go tylko, żeby poczekał na koniec zimowych igrzysk w Pekinie. Dyktator dyktatora zawsze zrozumie, Putin zaczął i napadł na Krym dwa dni po ceremonii zamknięcia.

Sport musi sobie jakoś radzić w takich warunkach. I moim zdaniem MKOl całkiem dobrze się spisał. Poszedł na kompromis z krajami, które mają inny niż my pogląd na to, co dzieje się w Ukrainie, ale też wykonał ukłon w naszą stronę.

Może szefostwo MKOl-u jest z siebie zadowolone, ale takie kompromisy tylko ośmieszają idee olimpijskie. Ukraiński Narodowy Komitet Olimpijski poinstruował swoich zawodników, jak mają się zachowywać w stosunku do Rosjan: mają unikać z nimi rozmów, a najlepiej w ogóle nie przebywać z nimi w tym samym pomieszczeniu. Naprawdę „sport łączy”?

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem tej dyrektywy. Nie zalecałbym ukraińskim sportowcom, jak się mają zachowywać. Wielu z nich ucierpiało, na wojnie zginęło już ponad 400 Ukraińców związanych ze sportem. Rosjanie zburzyli im masę obiektów sportowych. Podczas tegorocznego piłkarskiego Euro ukraińscy kibice wywieszali na trybunach portrety poległych żołnierzy i przywozili do miast, w których grała reprezentacja, fragmenty zbombardowanego stadionu w Charkowie.

Ukraiński dżudoka, zapaśnik czy przedstawiciel innej kontaktowej dyscypliny pewnie i tak się nie powstrzyma i w ferworze walki powie, co sądzi o reprezentancie kraju, który morduje jego rodaków.

Ukraińskim działaczom po prostu zależy, by w czasie wojny ich olimpijczycy zdobywali medale, a nie byli dyskwalifikowani z powodu „niesportowego” zachowania wobec Rosjan. Tyle że



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA

Radostaw Leniarski

Właśnie jedzie na swoje 11. igrzyska olimpijskie. Fascynuje go boks, samochody, wysokie góry, lekkoatletyka, kolarstwo, antydoping – bo oszustwa wyprowadzają go z równowagi. Relacjonował walki Andrzeja Gołoty, debiut Roberta Kubicy w Formule 1, zwycięstwa Kamila Stocha na igrzyskach w Soczi i tam też złoty bieg Justyny Kowalczyk ze złamaną kością w stopie. Opisywał zupełnie niesportowe historie: ucieczkę grupy nastolatk przed obrzezaniem w Kenii; beznadziejne starcie z pekińską bezpieką człowieka, który stracił nogi w rewolcie na placu Tiananmen. Współautor zbioru reportaży o Rosji „Najważniejszy mecz Kremla” (2018). Laureat Nagrody Grand Press im. Bohdana Tomaszewskiego w 2021 r.

gdyby Rosjan na igrzyskach w Paryżu nie było, Ukraińcy nie musieliby „uważać”, żeby nie znaleźć się za blisko wrogów.

– Mam wrażenie, że i tak dojdzie do wielu takich konfrontacji. I uważasz, że MKOl ukarze Ukraińca, którego brat zginął w bombardowaniu, za to, że mu puszcza nerwy? Albo np. Jarosława Mahuczich, jedna z największych gwiazd lekkiej atletyki, która niedawno pobiła 37-letni rekord świata Stefki Kostadinowej w skoku wzwyż, uzyskując 210 cm! Ona ma za co nienawidzić Rosjan: 24 lutego 2022 r. nad ranem obudził ją nalot, zostawiła wszystko i uciekła z domu. Ukrywała się w schronach. Jej rodzina została w Ukrainie w rejonie zagrożonym wojną.

Oczywiście to, co zrobił MKOl, nie jest idealnym rozwiązaniem, ale próbował znaleźć wyjście z sytuacji bez wyjścia. Musiał wziąć pod uwagę także zdanie tych członków rodziny olimpijskiej, którzy nie podchodzą tak radykalnie jak my do kwestii wykluczenia Rosjan i Białorusinów. Im dalej od Ukrainy, tym te oceny różnią się od naszych. Zresztą dzisiaj sły kibic nie myśli już tak jak 20 lat temu. Liczą się dla niego inne kwestie.

Czyli co?

– Przywołam niedawny turniej Rollanda Garrosa i pojedynek Białorusinki Aryny Sabalenki z Rosjanką Mirrą Andriejewą. Sabalenka to pupilka prezydenta Łukaszenki, choć ostatnio ich drogi się mocno rozeszły. Andriejewa mieszka we Francji, chociaż pochodzi z Krasnojarska. Francuska publiczność dopingowała Sabalenkę. Dlaczego, skoro jest pupilką dyktatora? Dlaczego nie dopingowali rosyjskiej nastolatki, a nawet ją wygwizdywali.

No właśnie, dlaczego?

– Polityka nie miała tu nic do rzeczy. Dopingowali Sabalenkę, bo ona kapitalnie gra w tenisa, jest wyrazista, robi show i w portalach społecznościowych ma ponad 1 mln followersów.

Cóż, zastąpienie racjonalnego osądu przez internetowy wynik dowodzi jedynie postępującego upadku ludzkości stymulowanego przez big techy.

– Nie tylko. Także tego, że ludzie na świecie są mocno podzieleni i nie myślą takimi kategoriami, jakimi chcielibyśmy, żeby myśleli.

Zakwalifikowana na igrzyska Sabalenka już w połowie czerwca oznajmiła, że nie zagra w Paryżu. Podobnie zdecydowało wielu zawodników z Rosji i Białorusi. Dlaczego?

– To pokręcone i chore. Rosjanie są tak zadżumieni propagandą, że wielu uważa, iż start w Paryżu byłby aktem nielojalności w stosunku do ich państwa prowadzącego wojnę. Białe dres bez barw narodowych, bez godła na piersi, a w przypadku wygranej – podium bez hymnu – to wszystko byłoby dla nich symbolem zdrady ojczyzny.

Niektórzy jednak chcieli jechać, ale nie pojadą. Znana jest sprawa zapaśników, którzy dostali zaproszenie od MKOl. To głównie sportowcy z głębi Rosji, z regionów muzułmańskich – Dagestańczycy czy Osetyjczycy. Mają słabszy kontakt z Rosją imperialną, więc pewnie i politykę mają w głębokim poważaniu. Chcieli po prostu wystartować, bo dla zawodników sportów stricte olimpijskich medal na igrzyskach to przecież cel życia.

Ale na drodze stanął im wieloletni szef rosyjskiej federacji zapasów Michail Mamiaszwili, człowiek związany kiedyś ze światem przestępczym. To on podczas igrzysk w Rio spoliczkował publicznie zawodniczkę za to, że przegrała walkę o brązowy medal z naszą Moniką Michalik. Mamiaszwili zmusił zapaśników, żeby jednomyślnie wycofali się z igrzysk.

Wycofały się też w większości rosyjskie i białoruskie tenisistki.

– Ale raczej nie z powodów politycznych. Dla nich igrzyska nie są imprezą priorytetową, poza tym znalazłyby się w Paryżu w niekomfortowej sytuacji. Lepiej w tym czasie odpocząć.

A już na pewno kwestie polityczne nie stoją za absencją czołowej rosyjskiej tenisistki Darii Kasatkiny, która miałaby w Paryżu szanse na medal. W Rosji, w której mniejszości seksualne są dyskryminowane, a organizacje LGBT uznawane za ekstremi-



Igrzyska w Paryżu



styczne, nie była od lat. Jest tam persona non grata, od kiedy zrobiła coming out.

Za to „ruch na rzecz dopingu” zapewne ma się w Rosji świetnie. Po igrzyskach w Soczi wyszło na jaw, że Rosjanie na przemysłową skalę stosowali doping, a władze jeszcze gorliwiej zajmowały się jego tuszowaniem. To kolejny powód, by Rosjan nie było w ogóle na igrzyskach.

– To, co działo się w Soczi, było oburzające. Próbkki nakoksowanych zawodników wyprowadzano z laboratorium przez dziurę w ścianie, a dwie ulice dalej stała cysterna idealnie czystego moczu, który poddawiano za trefny.

Ale były przecież i inne cwane metody. Sportowców, m.in. biegaczy i biathlonistów, ukrywano w specjalnych zamkniętych ośrodkach. Żaden kontroler antydopingowy nie mógł tam wejść bez zezwolenia. Oni tam niby trenowali, ale jak przyjeżdżał inspektor pobrać od nich próbki, zatrzymywano go na rogatkach, bo takie są przepisy. Totalna paranoja.

Ale jednak nakładano za to kary na Rosję.

I coś się zmieniło? Rosjanie nagle zrozumieli, że tak robić nie można?

– Piętnowano patologię: Rosjanie byli wykluczani. Potem startowali jako neutralni, i to ostatnie faktycznie było kpina z walki z dopingiem, rywale Rosjan byli sfrustrowani. A więc wątpię, czy coś się tam zmieniło. Mówimy o kraju patologicznym – zepsutym do szpiku kości i zdemoralizowanym. Rosja to stan umysłu, który niełatwo zmienić, a już na pewno trudno o to dziś, gdy trwa wojna.

Ale przecież MKOl pozwolił, żeby ten stan umysłu był reprezentowany na igrzyskach. Jak sądzisz, co o wojnie sądzą rosyjscy sportowcy, którzy wystartują w Paryżu?

– Badania opinii rosyjskiej – zarówno te niewiarygodne, jak i wiarygodne – przeprowadzone przez niezależne Centrum Lewady pokazują, że zdecydowana większość Rosjan jest za polityką Putina i popiera wojnę. Nie wiem, co myślą o niej rosyjscy olimpijczycy, ale nie wydaje mi się, żeby ich poglądy odbiegały od opinii większości Rosjan.

Zostawiając z boku rosyjski doping, zapytam, czy globalnie walka z nim przynosi efekty? Kilka dni temu z polskiej reprezentacji wykluczono kanadyjkarkę Dorotę Borowską (sprawa wciąż jest wyjaśniana). Wcześniej olimpijską drużynę musiała opuścić pływaczka Alicja Tchórz. W rozmowie z Onetem szef Polskiej Agencji Antydopingowej Michał Rynkowski stwierdził, że mimo wszystko nie jest źle, bo w 2012 r., przed igrzyska-

mi w Londynie, mieliśmy w Polsce aż 63 przypadki dopingu, a teraz tylko dwa. Może ci, którzy się szprycują, nauczyli się lepiej to ukrywać?

– Wykrywalność stała się większa, ale także doping się zmienił – teraz mniej się opłaca. Kiedyś przy pomocy jednego środka, dajmy na to turinabolu, sportowiec mógł w krótkim czasie drastycznie poprawić wyniki, nawet o 20 proc. A teraz doping daje znacznie mniejszy efekt niż ten sterydowy sprzed lat.

Ale i tak może pomóc w zdobyciu złotego medalu.

– To prawda, ale chodzi o to, że korzyści z brania dopingu są z każdym rokiem mniejsze. Wielu sportowców zdaje sobie z tego sprawę, więc zmniejsza się liczba podejmujących to ryzyko.

Wspomniałem o wieloletnim rekordzie Bułgarki Stefki Kostadinowej, ale były i inne wyniki z lat 80., które długo czekały na pobicie. Gdybyśmy wtedy mieli dzisiejsze metody walki z dopingiem, to zapewne tych rekordów by wtedy nie uznano. Mam wątpliwości, czy w latach 80. trafilibyśmy na kogoś czystego sportowca.

Fakt, że sportowcy wciąż sięgają po doping, paradoksalnie świadczy o tym, że igrzyska mają nadal wielką moc. Przepymano kiedyś dużą grupę sportowców, czy wzięliby środki dopingujące, żeby zdobyć medal olimpijski. Nadspodziewanie duża grupa sportowców powiedziała, że tak.

To raczej smutne, a nie optymistyczne.

– Nawet okropne, to czysta patologia, ale mówi też o tym, jak wiele igrzyska dla nich znaczą. Dla olimpijskiego sukcesu są gotowi dokonać nawet sportowej zbrodni.

Start na olimpiadzie jest dla wielu z nich rzeczą, o której chodzi o życie i śmierci. Tatuują sobie te kółka olimpijskie i godła narodowe, podporządkowują przygotowaniom do igrzysk całe życie, a nawet życie swoich rodzin. Dla nich to naprawdę coś wielkiego.

No właśnie, co dziś napędza olimpijczyków?

– Chęć odniesienia sukcesu, ale oczywiście także pieniądze. Chcą zarobić.

A gdzie tu miejsce na ideę, skoro kasa dziś jest na pierwszym miejscu?

– Bo sportowiec to zawód, ciężka praca.

Pamiętasz film „Rydwany ognia” z 1981 r.?

– Oczywiście, jeden z najważniejszych filmów o sporcie. Opowiada prawdziwą historię dwóch biegaczy, którzy marzą o starcie w igrzyskach w Paryżu w 1924 r.

Tak, ale każdy z innego powodu. Eric Liddell, pobożny protestant z klasy wyższej, chce pobiec „dla Jezusa”, bo uważa, że to jemu zawdzięcza talent. Z kolei Harold Abrahams wystartuje

• **Ukraińska Jarosława Mahuczich chwilę po pobiciu rekordu świata w skoku wzwyż. Na początku lipca podczas mityngu Diiamentowej Ligi przeskoczyła poprzeczkę zawieszoną na wysokości 210 cm**

FOT. CHRISTIAN BRUNA/PAP/EP

wyłącznie dla sławy. Ale jest mu ona do czegoś potrzebna. Ze względu na niskie pochodzenie i żydowskie korzenie czuje się dyskryminowany. Żaden z nich nie marzył o zarobku.

– Bohaterowie „Rydwanów ognia” startowali w międzywojniu. Przez ten czas świat się zmienił – inna jest nasza obyczajowość, inne oceny wielu zjawisk, więc i motywacje profesjonalizujących się sportowców musiały się zmienić.

Zgoda, nie jestem naiwny i wiem, że bez wielkich pieniędzy żadne igrzyska się nie odbędą. Jednak czy komercjalizacja sportu nie popycha sportowców do nieuczciwości? Pamiętasz historię lekkoatlety Jima Thorpe’a?

– Oczywiście, wybitny amerykański wieloboista, który zdobył dwa złote medale na igrzyskach w Sztokholmie w 1912 r., a później został zdyskwalifikowany i mu je odebrano.

Za to, że kilka lat przed startem olimpijskim brał honoraria za grę w bejsbol. Choć to zupełnie inna konkurencja, w dodatku nieolimpijska, uznano, że jest zawodowcem.

– W latach 80. został jednak zrehabilitowany, a MKOl zwrócił medale jego rodzinie.

Tyle że Thorpe już od lat nie żył. A pamiętasz sprawę słynnego austriackiego alpejczyka Karla Schranza?

– Multimedalista mistrzostw świata, który nie został dopuszczony do startu na igrzyskach w Sapporo w 1972 r.

Bo zagrał w jednej reklamie. Ówczesny szef MKOl Amerykanin Avery Brundage, zresztą antysemita, rasista i mizogin, uznał, że Schranz złamał zasady olimpijskie.

– Brundage miał hopla na punkcie przestrzegania zasad amatorsztwa w ruchu olimpijskim. Był ortodoksyjny do bólu, nie chciał słyszeć o żadnych, choćby minimalnych ustępstwach.

Nie mówię, że miał rację, ale gdyby zobaczył, jak bardzo ruch olimpijski odszedł od tych zasad, zapewne dostałby zawału. Olimpijczycy podpisują dziś kontrakty reklamowe, biorą pieniądze od sponsorów, a także od rodzimych komitetów olimpijskich.

– W niektórych krajach za medale dostają mieszkania, samochody, emerytury. Rosjanie dostawali kiedyś mercedesy czy bmw, a olimpijczycy z Kirgistanu konie.

W Paryżu dodatkową kasę za złote medale będzie wypłacać Międzynarodowa Federacja Lekkiej Atletyki. Ze skrajności w skrajność, nie wiadomo, co jest większą patologią: ortodoksja, której ofiarą padli Thorpe i Schranz, czy komercjalizacja, która popycha sportowców do – jak to nazwał – popełniania sportowej zbrodni dopingu.

– Na pewno zaszło to za daleko, ale patrzysz na sprawę jak człowiek, który z kanapy ogląda zawody w telewizji. Tak nie myślą sportowcy. Kajakarz, zapaśnik czy lekkoatleta widzi, co się dzieje w piłce nożnej, gdzie federacja dzieli się kasą z najważniejszymi uczestnikami wydarzeń, które organizuje. A olimpijczyk ciężko trenuje, potem jedzie na igrzyska, współtworzy to widowisko i myśli: „Dlaczego piłkarz zarabia, a ja nie?”.

Mój kolega z czasów, gdy trenowałem kajakarstwo, Wojciech Kurpiewski, medalista olimpijski, musiał emigrować w latach 90. do USA. Tam zaharowywał się, jeżdżąc ciężarówką. Zmarł w wieku 50 lat na zawał serca. Innym olimpijczykom ZUS płaci niższe emerytury, bo nie chce zaliczyć ich stypendiów do kapitału emerytalnego, choć tylko taki mieli dochód przez wiele lat. Znam co najmniej kilka takich przypadków i wkrótce je opiszę.

Wcale się więc nie dziwię, że w ruchu olimpijskim silne są dziś grupy nacisku, które dążą do tego, żeby MKOl dzielił się pieniędzmi z zawodnikami, tak jak FIFA przy mistrzostwach świata w piłce nożnej, a UEFA w przypadku Euro.

Zgoda, tyle że w piłce nożnej nikt nie powołuje się na wzniosłą ideę ze starożytnej Grecji. Nikt nie mówi, że liczy się sam udział w zawodach, tylko od początku wiadomo, że liczy się kasa. A w tzw. ruchu olimpijskim wszyscy powtarzają te slogany, ale one nic już nie znaczą, są jedynie na-

Igrzyska w Paryżu

Co możemy zobaczyć na olimpiadzie w dyscyplinie breaking

Kolejność kroków

➡ pierwszy ➡ drugi ➡ trzeci ➡ czwarty

Top Rock

Taniec w pozycji stojącej

Basic Top Rock



- Sekwencja krzyżujących się kroków do przodu i odskakiwania do tyłu z jednocześnie pracą ramion zastaniających i odstawiających tułów.

Freeze

Zastygnięcie na kilka sekund

L-Kick

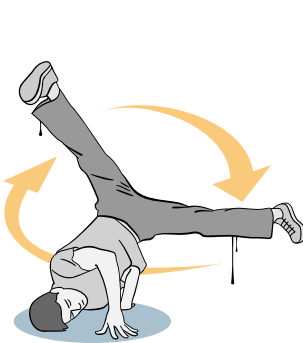


- Tancerz zastyga, stojąc na jednej ręce, a drugą przytrzymując czubek buta ze swojej strony ciała. Wolna noga jest zgięta w kolanie, tworząc z wyprostowaną kształt litery L.

Power move

Bardzo dynamiczny ruch obrotowy

Windmill



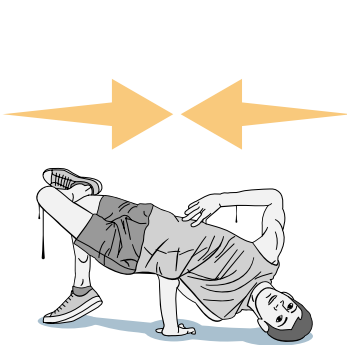
- Ruch polegający na obrotach tułowia po podłożu na barkach z jednocześnie wyprostowanymi i rozłożonymi nogami w kształt litery V.

Bronx Step



- Tancerz wyrzuca jedną nogę diagonalnie do przodu. W tym samym czasie drugą nogę cofa z jednoczesnym ślizgiem podeszwą po podłożu.

Chair



- Pozycja podparta jedną nogą zgiętą w kolanie, ręką zgiętą w łokciu i głową. Dłoń drugiej ręki podpira się luźno w talii, a druga noga założona jest tak, jakby siedzieć na krześle.

Flare



- Podpierając się jedynie na dłoniach (żadna z pozostałych części ciała nie może dotykać podłoża), tancerz kręci nogami ułożonymi w kształt litery V wokół swojego tułowia.

Salsa Step



- Tancerz porusza ciałem na boki, pracując nogami w sekwencji krok w bok jedną nogą, powrót, krok w bok drugą, powrót. Ramiona zastaniają i odstawiają tułów.

Hollow Back



- Tancerz stoi na rękach wygiętych jak przy mostku. Żadna z pozostałych części ciała nie może dotykać podłoża.

Airflare / Airtracks



- Skoki na rękach z szeroko rozłożonymi wszystkimi kończynami. Tancerz obraca ciało wokół własnej osi, a jego tułów ustawiony jest równoległe do podłoża.

rzędziami marketingu. Zgadzam się, że igrzyska muszą zarabiać, ale proporcje zostały zaburzone. Ze szlachetnych idei zostały wióry.

– Akurat z tej o czysto amatorskim sporcie olimpijskim rzeczywistość. Ale totalnie amatorski status sportu to mrzonki i anachronizm.

Cóż, komercjalizacja będzie się pogłębiać, bo sport olimpijski musi reagować na rzeczywistość. Obok igrzysk są globalne imprezy, które przynoszą ogromne pieniądze, w których sportowcy partycypują. Nie ma powodu, żeby tak nie było z igrzyskami.

Ortodoksji olimpijskiej, której zwolennikiem był Brundage, nie dało się utrzymać. Pierwszy zauważył to w latach 80. Juan Antonio Samaranch, który zmienił MKOl w znakomicie funkcjonującą globalną korporację. A korporacja musi zarabiać, ale też musi oddawać sportowcom część zysku.

MKOl sporo robi dla promocji sportu w uboższych krajach. Daje pieniądze na rozwój, pomaga kreować sportowych idoli, którzy sprawiają, że młodzi ludzie marzą o starcie w igrzyskach. Dbą, żeby na olimpijskich trybunach kibice nie manifestowali szowinizmu. I tego nie ma. A na przykład piłka nożna jest nim przesiąknięta. Widzielśmy to na Euro, głównie podczas meczów krajów bałkańskich.

Igrzyska olimpijskie pozostają czysto sportową imprezą z mimo wszystko pozytywnym przesłaniem.

Do wielkich sukcesów MKOl-u, które wymienileś, dorzuciłbym wyniesienie na wyższy poziom mechanizmów korupcyjnych. Przypomnę skandale z kupowaniem poparcia w „rodzinie olimpijskiej” przez miasta starające się o organizację igrzysk. Nie wierzę, że coś się zmieniło – wielu działaczy, szczególnie z krajów afrykańskich, idzie do ruchu olimpijskiego, żeby zarobić.

– Wdrożono wprawdzie mechanizmy, które miały temu zapobiec, ale szczerze mówiąc, i ja mam wątpliwości, czy korupcję udało się wyeliminować. Struktura funkcjonowania ruchu olimpijskiego, ale także federacji sportowych, niestety, generuje takie zachowania. Wiadomo, że gdy zbliżają się wybory miast, w których mają się odbywać igrzyska albo inne prestiżowe imprezy, wśród delegatów krążą tajemniczy panowie z konkretnymi ofertami.

Niestety, w niektórych federacjach sportowych mechanizmy korupcyjne potężnie się rozrosły. Przykro mi to powiedzieć, ale jedną z dyscyplin, które dotknęła ta patologia, była lekkoatletyka, którą się zajmuję. Tam wręcz wdrożono model zachowania korupcyjnego i dopiero wtedy, gdy wybuchły skandale i zmieniły się władze, położono temu kres. Choć czy na pewno, tego nie wiemy.

Zresztą jeśli chodzi o podobne zachowania, to nie trzeba szukać po świecie, bo ubiegłoroczna zmiana szefa Polskiego Komitetu Olimpijskiego nastąpiła w sposób charakterystyczny dla polskiego sportu. Nowym prezesem został Radosław Piesiewicz, kumpel Jacka Sasina, PiS-owskiego ministra aktywów państwowych. Kandydat na prezesa miał więc mocne plecy polityczne i mógł obiecać, że jeśli zostanie wybrany, załatwi kasę ze spółek skarbu państwa. No i to oczywiście przekonało elektorów PKOl.

Piesiewicz został prezesem dzięki państwowym pieniądzenom?

– Dokładnie. Polska klasyka, zresztą tak dzieje się nie tylko w PKOl. Polityka, niestety, jest obecna w wielu polskich związkach sportowych.

Należy wprowadzać nowe dyscypliny, bo igrzyska muszą być żywe, odpowiadać na to, co się dzieje na świecie

ŁUKASZ RUDNIKOWSKI © GAZETA WYBORCZA / BIQDATA.PL

ŹRÓDŁA: OLYMPICS.COM, YOUTUBE, WIKIPEDIA, DANCEPOISE.COM, KO-FI.COM, REDBULL.COM, EUROPEAN-GAMES.ORG, THEBREAKS.ORG, ADOBE STOCK

wyborcza.pl BIQDATA.pl

Igrzyska w Paryżu



Wróćmy do Paryża. Jeśli będziesz mógł, to pójdziesz na zawody w breakdanie?

– No raczej nie... Chociaż może? W sumie lubię opisywać takie nowe...

...michalki chciałeś powiedzieć, ale nie przeszło ci to przez usta.

– No właśnie (*śmiech*).

Pytam o breakdancę, bo od lat próbuję zrozumieć, czym kieruje się MKOl, wprowadzając na igrzyska nowe dyscypliny, czasem tylko pokazowe.

– Kiedyś obowiązywała zasada, że MKOl robi gest w stosunku do gospodarza igrzysk, pozwalając mu wprowadzić dyscyplinę, która jest związana z jego tradycją, zakorzenioną w regionie czy na kontynencie. W ten sposób w programie igrzysk znalazły się taekwondo czy dżudo popularne w Korei i Japonii.

Ale jedne sporty, np. dżudo, przetrwały na olimpiadzie, a inne zniknęły i nikt już o nich nie pamięta.

– Należy wprowadzać nowe dyscypliny, bo igrzyska muszą być żywe, odpowiadać na to, co się dzieje na

Czas: 5 godzin, 10 minut
i 12 sekund. Niezły jak na
upał, sześć odcisków na nodze,
przecięty palec i plecy
zdarte od zbroi

MIROSŁAW MACIOROWSKI

o przebiegnięciu trasy z Maratonu do Aten w 2004 r. przez Radosława Leniarskiego

1 RP

Igrzyska w Paryżu



Chciałbym, żeby w Warszawie w Wiśle można było się kąpać. Francuzi chcą, żeby te igrzyska przeszły do historii jako najpiękniejsze, bo Paryż to najpiękniejsze miasto na świecie. Chcą po prostu nas zachwycić i moim zdaniem im się to uda.

• **Uczestnicy sztafety olimpijskiej przekazują sobie znicz w towarzystwie tancerzy kabaretu Moulin Rouge. Paryż, 15 lipca 2024 rok**

FOT. REUTERS/STEPHANIE LECOCQ

świecie, jakie sporty pojawiają się w mediach. Na co ludzie chodzą.

Ja też uważam, że należy je wprowadzać, ale próbuję odgadnąć, jaką filozofią kieruje się przy tym MKOl. I nie widzę żadnej. Może trzeba postawić na konkurencje, które są już w miarę masowe i mają szansę na globalny sukces? Takim sportem jest chyba bejsbol, który w jakiejś odmianie był już kiedyś na igrzyskach. Ale czy breakdance – nic do niego nie mam – może się stać sportem powszechnie uprawianym? Czy w ogóle jest sportem? Mam wątpliwości. Tak jak chyba nigdy sportem masowym nie stanie się curling, czyli zmiatanie szczotkami kamieni ślizgających się po lodzie, sport elitarny i wymagający specjalnej infrastruktury. – Przyznam, że też nie rozumiem, czym się kierował MKOl w sprawie breakdance’u, oprócz zrobienia ukłonu w stronę sportów ulicznych i gospodarza igrzysk tam, gdzie to popularna miejska zabawa. Wygląda trochę na to – użyję tu słowa, którego nie lubię, ale nie znajduję lepszego – że grupie dziadersów wydaje się, że wiedzą, jak wyglądają nowoczesny świat i nowoczesny sport. I w związku z tym oni chcą do tego swojego wyobrażenia o zmieniającym się sporcie dostosować swoją imprezę. Dlatego wymyślają takie, szczerze mówiąc, mało poważne rzeczy.

Widzę w tym też element pewnej nerwowości: działacze mentalnie tkwiący w przeszłości wykonują posunięcia, które mają sprawić, że MKOl stanie się symbolem nowoczesności i innowacyjności – wprowadzimy breakdance, to na pewno skoczą nam słupki oglądalności. A one spadają, szczególnie w przypadku igrzysk zimowych. Stąd bierze się ta panika.

Dlaczego spadają?

– Ponieważ światowy sport jest coraz bardziej zdominowany przez futbol. Piłka nożna przytłoczyła pozostałe dyscypliny, również igrzyska olimpijskie. Równolegle z piłkarskim Euro odbywał się wyścig Tour de France, podczas którego niesamowitą walkę stoczyli dwaj najlepsi dziś kolarze – Słoweniec Tadej Pogačar i Duńczyk Jonas Vingegaard. Mało kogo to obeszło – najważniejsza kolarska impreza została przytłoczona przez Euro.

Niedawno rozmawiałem z badaczem sportu ludowego, który mówił, że w Polsce panuje futbol. Ludzie uprawiają i inne sporty, biegają, jeżdżą na rowerach, ale to piłka nożna zdominowała sport młodych ludzi, szczególnie na wsiach. Trenuję ją tam więcej ludzi niż wszystkie inne sporty razem wzięte.

Tak jest na całym świecie. MKOl widzi w tym zagrożenie, widzi zagrożenie w innych sferach, jak e-sport, jak rozrastające się platformy streamingowe i dlatego desperacko szuka jakichś rozwiązań, jakiegoś eliksiru młodości – i wynajduje breakdance.

Jednak moim zdaniem to nie wprowadzanie dziwnych nowych dyscyplin jest dziś najważniejszym problemem MKOl-u.

A co nim jest?

– Przyszłość zimowych olimpiad ze względu na zmiany klimatyczne. Coraz mniej jest miejsc na świecie, w których można organizować takie zawody. A co za tym idzie, zmniejsza się też liczba krajów, w których ludzie uprawiają sporty zimowe. Trudno to będzie powstrzymać, bo nie da się na siłę ciągnąć do zimowych sportów mieszkańców krajów, w których one nie istnieją. Kenijczycy są świetnymi długodystansowcami, ale na nartach raczej nie będą biegali. Różne firmy próbowały wciągnąć Kenijczyków na zimowe igrzyska i tam rzeczywiście biegali, ale niewiele z tego wyszło.

Paryż to twoje jedenaste igrzyska. Które pamiętasz jako szczególnie wyjątkowe?

– Na pewno pierwsze, w Atlancie w 1996 r. Wszystko to było dla mnie nowe. Mało było dziennikarzy z Polski i oczywiście nie było jeszcze powszechnego internetu.

Mieszkałem na obrzeżach miasta w jakimś kampusie uniwersyteckim. Oglądałem ceremonię otwarcia i zamknięcia. Pół kilometra ode mnie i od kolegów, z którymi byłem w tym momencie, wybuchła bomba podłożona przez terrorystę.

Wrażenie zrobiły na mnie też perfekcyjnie zorganizowane igrzyska w Pekinie.

Jednak dla olimpiad kluczowe są gwiazdy. W Atlancie był nią amerykański biegacz Michael Johnson, a w Pekinie Jamajczyk Usain Bolt, który bił rekord świata na setkę. Stałem 20 m od mety. Z kolei pływak Michael Phelps seryjnie zdobywał wtedy medale. To były wielkie postaci sportu.

Jednym z problemów MKOl jest brak w dzisiejszym sporcie tak charyzmatycznych osobowości. Interesujesz się sportem, ale chyba z trudem wymienisz największe gwiazdy paryskich igrzysk.

Szwedzki tyczkarz Armand Duplantis?

– Rzeczywiście, przeskoczył rywali o epokę. Jest też wspomniana skoczkini wzwyż Jarosława Mahuczich. To największe gwiazdy lekkoatletyki, ale szczerze mówiąc, nie zastąpią Usaina Bolta, bo nie są sprinterami i brakuje im charyzmy Jamajczyka. A to bieg na 100 m zawsze był i będzie numerem jeden lekkoatletyki.

A Polacy? Na ile medali liczysz?

– Pewniakiem wydaje się Iga Świątek. Ma szansę na złoto w singlu, miałyby też w mikście, ale niestety Hubert Hurkacz nie zdążył wyleczyć kontuzji. Aleksandra Mirosław we wspinaczce sportowej na czas.

Siatkarze?

– Również wydają się pewniakami. – Również wydają się pewniakami. Siatkarki też mają spore szanse na medal. W lekkiej atletyce nie będzie takiego szalu jak w Tokio. Może zdobędziemy ze dwa medale – w rzucie młotem i na 400 m kobiet. Nasza gwiazda sprintu, Ewa Swoboda, odniesie sukces, jeżeli awansuje do finału.

Kajakarki na pewno zdobędą medal, bo zawsze przywożą je z igrzysk. Ale dotąd ani razu nie zdobyły złotego. Wielką gwiazdą polskich kajaków jest Karolina Naja, która prowadzi dwie osady – dwójkę i czwórkę. Jest szansa, że wreszcie zdobędziemy złoto.

Będę kibicował Katarzynie Milczarek, która wystartuje w Paryżu w ujeżdżeniu w wieku prawie 59 lat.

Mogą być wielkie niespodzianki, takie jak złoto Dawida Tomali w chodzie na 50 km w Tokio.

– Pies z kulawą nogą na niego nie stawiał, przyznam się, że ja też nie. Nie pojechałem wtedy na trasę chodu, bo to było trudne logistycznie. Ale włączyłem internet w olimpijskim autobusie i śledziłem te zawody. To było niesamowite, nieprawdopodobna historia, niespodziewanie dla wszystkich Dawid powtórzył wynik Roberta Korzeniowskiego.

Widzę, że będziesz przeżywał tę imprezę mimo szmalu i zakłamania.

– Ja na igrzyskach olimpijskich zachowuję się zawsze jak dziecko w sklepie z zabawkami. Wszystkiego chcę spróbować i wszystko chcę mieć. Jestem pewien, że to będą absolutnie fascynujące igrzyska.

Dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że stadion olimpijski będzie pełny, a na poprzednich był pusty z powodu pandemii – w Japonii panowała okropna atmosfera, jakbym widział trupa igrzysk.

Po drugie, z punktu widzenia kogoś, kto zachwyca się obrazem, to będą piękne zawody wtopione w tkankę miasta. Poszczególne konkurencje zostaną rozegrane w wielu historycznych budynkach.

Zapaskudzą nawet Sekwanę, która i tak jest brudna. To nie przesada?

– Jest czysta. Ja chciałbym, żeby w Warszawie w Wiśle można było się kąpać. Francuzi chcą, żeby te igrzyska przeszły do historii jako najpiękniejsze, bo Paryż to najpiękniejsze miasto na świecie. Chcą po prostu nas zachwycić i moim zdaniem im się to uda.

A ty znów pobiegiesz maraton.

– Oczywiście! W Atenach skończyłem czterdziestkę i biegłem po to, żeby udowodnić sobie, że jestem jeszcze młody. W Paryżu pobiegnę jako 60-latek, żeby sobie udowodnić, że nie jestem jeszcze taki stary.

Poprawisz czas z Aten?

– Nie wiem, ale na pewno się postaram. Bo na igrzyskach zawsze obowiązuje jedna zasada: trzeba dać z siebie wszystko. ●

Rozmawiał Mirosław Maciorowski

Igrzyska  w Paryżu

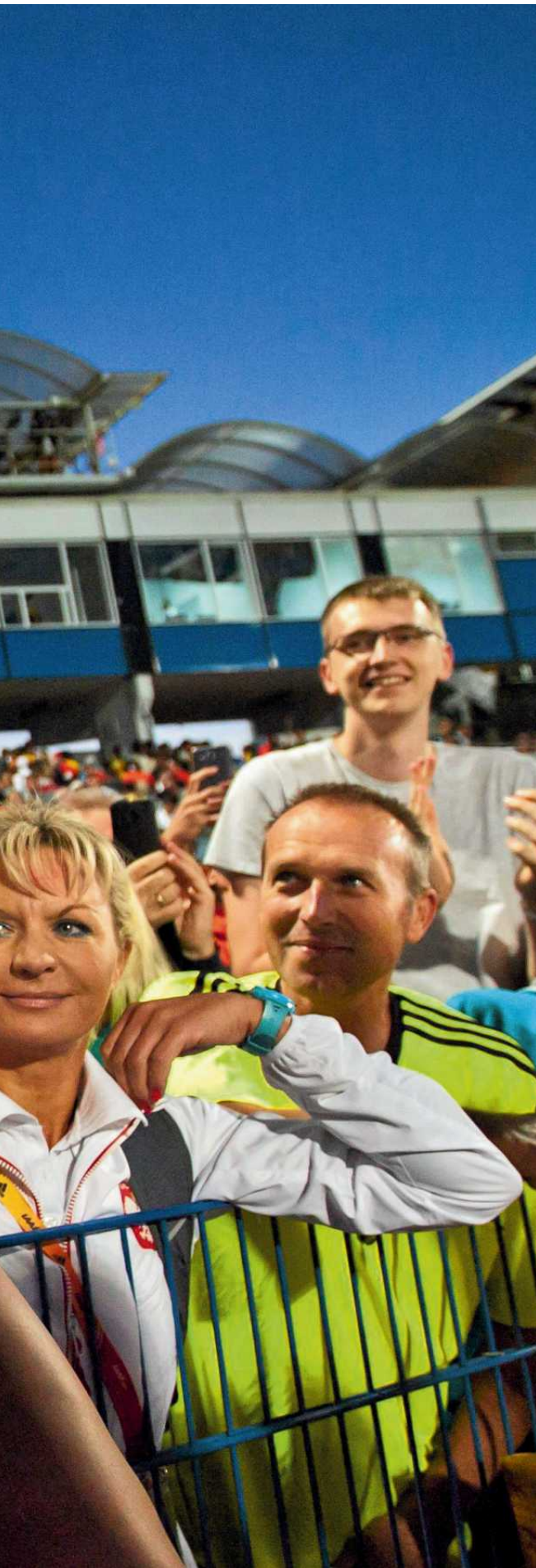
FOT. ARKADIUSZ WOJASIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA



EWA MA W NOSIE, CO O NIEJ MÓWIĄ
BO NAJWAŻNIEJSZE, ŻE

jest szybka

Igrzyska w Paryżu



Radosław Leniarski

Sukces w sprincie jest oczywiście funkcją szybkości. Ale i emocji. A na koniec często okazuje się, że również fotokomórki, która zapisuje obraz z prędkością 10 tysięcy klatek na sekundę. Podczas godziny i 15 minut, jakie minęły między półfinałem a finałem biegu na 100 m na zeszłorocznych mistrzostwach świata w Budapeszcie, Ewa Swoboda zasuwała sprintem od nieba do piekła i z powrotem w rekordowym tempie. Najpierw kiedy pobiegła w półfinale biegu na 100 m w czasie 11,01 s. Był to wówczas trzeci wynik w jej karierze sportowej. Kierunek dobry – do sprinterskiego raju, znaczy najważniejszego finału lekkoatletycznego roku.

Później wpadła w nerwowe drgawki, czekając na to, czy ten czas da jej awans do wymarzonego finału, bo wydawało się, że nie. Brytyjka Dina Asher-Smith była szybsza o 0,001 s. Ewa już zaczynała biec w przeciwnym kierunku, do piekła. „O nie, byłabym nie odpadła przez te 0,001 s” – myślała w panice. Ale cóż, właśnie tak było. Najgorsza rzecz. Chodzi o mniej więcej jeden centymetr różnicy między nimi na linii mety. Normalnie nie byłoby problemu, bo zwykle czas biegu sprinterek mierzy się do 0,01 s., ale gdy są wątpliwości, ogląda się zapis fotokomórki, która wykonuje 10 tysięcy klatek na sekundę (na igrzyskach w Paryżu będzie ulepszona wersja – 40 tysięcy na sekundę). Więc zaczęło się oglądanie przez sędziów i polskiego delegata Filipa Moterskiego. Tam, gdzie zawodniczki czekały na wyrok, zapłakana, roztrzęsiona Swoboda pożegnała się już z finalem. A wtedy pech się skończył. Nagle, gdy z nie-

ju. Podobnie w skoku wzwyż – rewolucje się zdarzyły dwukrotnie. W sprincie nie zmieniło się nic. Przecież nie będziesz biegł w płasach, z przytupem, w podskokach lub wykręcając firlaki. Pobiegiesz mniej więcej tak, jak – według Homera – robił to Nestor, pokonując Ifikla („choć dzielnie się trzymał”) jakieś 60 lat przed oblężeniem Troi. Prawdopodobnie gdyby Nestorowi zmierzono czas, osiągnąłby na setkę około 11 s, co oznaczaloby, że przez ponad 3000 lat czas biegu na 100 m skróciłby się o 1,5 s. FLORENCE I USAIN Pierwszy zmierzony rekord zapisano na kon-

W biegu na 100 m kobiet postęp zatrzymał się 16 lipca 1988 roku w Indianapolis. Amerykanka Florence Griffith Joyner ustanowiła rekord świata: 10,49 s i od tamtej pory nic się w tej sprawie nie zmieniło

przutomnym wzrokiem tłumaczyła dziennikarzom w spazmach, że zabrakło jej 0,001 s do szczęścia, usłyszała, że sędzia krzyczy jej imię. – What?! – warknęła Polka, zła, że przeszkadzają jej płakać i rozdzierać szaty. – Jesteś w finale! – powiedziała sędzia i przytuliła Polkę. Znów szloch. Uspokajanie. Do finału 40 minut. – Rozmazal ci się makijaż. Chodź, poprawię – powiedziała jej w szatni trenerka Iwona Krupa. Poprawiała i mówi, że Ewa dostała szansę, jakby drugie życie, i musi to wykorzystać. Swoboda zajęła szóste miejsce, po raz trzeci w karierze przełamując barierę 11 s. Była najszybszą Europejką w finale najważniejszej kobiecej konkurencji.

SETKA PROSTA
JAK DRUT

Bieg na 100 m, najchętniej oglądana konkurencja lekkoatletyczna, jest perłą w koronie królowej sportu. Jest najprostszą konkurencją z możliwych i przez to najbardziej brutalną. Czerpie z najgłębszych pokładów ludzkiej sprawności, z najodleglejszych zakątków antropogenezy, cech zapisanych w genach, doskonalonych przez miliony lat selekcji naturalnej. Masz to albo nie masz. Jak w piosence Kory „Oddech szczura” – zwykły człowiek nie jest w stanie wypowiedzieć tylu słów na sekundę z „sz”, „cz” i „ch”, a ona to śpiewała. Jest, rzecz jasna, wiele nieskomplikowanych konkurencji w lekkoatletyce, to znaczy opartych na prostej sekwencji ruchów. Na przykład pchnięcie kulą. Co może być prostszego? Trzeba ją pchnąć jak najdalej, nikogo nie obchodzi jak, byleby się zmieścić w kole. I ludzie od 128 lat na igrzyskach olimpijskich doskonalą ten prosty ruch. Jednak, w odróżnieniu od sprintu, w pchnięciu kulą dochodziło do zmian, a nawet rewolucji. Po pół wieku prób wielu siłaczy na igrzyskach olimpijskich w końcu jeden sprytny Amerykanin wymyślił, że można do skrótu ciała w pozycji stojąc dodać posuwisty ruch w kole i w ten sposób zwiększyć prędkość kuli. Po kolejnych dwóch dekadach pewien pomysłowy Rosjanin zamiast się doślizgiwać, wprawił swoje ciało w ruch rotacyjny, czyli w celu uzyskania większej prędkości kuli przyłożył do niej moment obrotowy. Dziś najlepszy miotacz kulą Amerykanin Ryan Crouser bije rekordy techniką obrotową. I to właściwie byłoby na tyle, jeśli chodzi o 128 lat rozwo-

10,7 s. Barierę 10 sekund złamał dopiero 77 lat później Jim Hines na igrzyskach olimpijskich w Mexico City, korzystając z rozrzedzonego powietrza na wysokości 2300 m n.p.m. Osiągnął 9,95 s, a więc przez niemal osiem dekad ludzie poprawili wynik o 0,75 s. Dziś rekord wynosi 9,58 s. Usain Bolt ustanowił go w 2009 roku na mistrzostwach świata w Berlinie. Tak więc przez nieco ponad 40 lat ludzie przesunęli granicę prędkości biegu o zaledwie 0,37 s. To mniej więcej tyle, ile trwa mrugnięcie oka! A teraz stoimy w miejscu, bo pisząc „ludzie przesunęli granicę”, miałem na myśli jednego człowieka, ale wyjątkowego, fenomenalnego Usaina Bolta, a jego wyniku nie da się szybko poprawić. Dlaczego to trwa tak wolno? Ba, coraz wolniej? Można tu przeprowadzić ryzykowną, acz trzeba przyznać efektowną, analogię do Einsteina i jego wzoru E=mc². Im bliżej prędkości światła, tym więcej energii wymaga przyspieszenie i tym jest ono mniejsze. Jeśli chodzi o bieg na 100 m, jesteśmy blisko granicy możliwości człowieka. Postęp jest więc coraz trudniejszy i wymaga coraz większych nakładów energii. Natomiast w sprincie kobiet postęp zatrzymał się w końcu lat 80. 16 lipca 1988 r. w Indianapolis 29-letnia Amerykanka Florence Griffith Joyner ustanowiła rekord świata: 10,49 s i od tamtej pory nic się w tej sprawie nie zmieniło.

SZYBKOKURCZLIWE
RAKIETY

Technika biegu ewoluuje tak wolno, że obserwowanie zmian przypomina kontemplację wysychania farby albo wzrostu mchu. Ale jednak coś się dzieje. Teraz chodzi o jak najszybsze dojście do prędkości „przelotowej” po starcie. Chodzi też o mocne tzw. wahadło przednie (przy wymachu kolanem w przód), mocne grzebnienie nogą o bieżnię i jak najkrótszy kontakt stopy z podłożem. To właśnie dlatego tyle jest groźnych kontuzji mięśnia dwugłowego uda, od tego grzebnienia. Nie trzeba mieć długich nóg, o nie. Czyli nie trzeba być wysokim i atletycznie zbudowanym jak Usain Bolt. Duży wzrost raczej przeszkadza. Wyjątkowość Bolta polegała między innymi na tym, że wygrywał mimo wzrostu 195 cm. To, na czym stracił na pierwszych metrach, odrabiał z nawiązką na pozostałych 70.



Igrzyska w Paryżu



Ewa Swoboda ma 164 cm wzrostu, czyli jest niższa od wielu rywalek. Ale jedna z najlepszych w historii sprinterek Shelly-Ann Fraser-Pryce (siedem medali olimpijskich, w tym cztery złote) ma zaledwie 151 cm wzrostu. Tylko że w czasie biegu Shelly-Ann „Pocket Rocket” wykonywała niemal pięć kroków na sekundę.

Kluczowy jest tu krótki i mocny skurcz mięśni – jak najkrótszy i jak najmocniejszy. Wiadomo, że w układzie mięśniowo-szkieletowym są dwa rodzaje włókien mięśniowych: szybkokurczliwe i wolnokurczliwe. U ciebie, szanowny Czytelniku, lub u mnie najważniejsze, żeby między nimi była równowaga, ale u sprintera? Jeśli nie będzie miał 80-90 procent włókien szybkokurczliwych, choćby harował jak Soldek albo Stachanow, w setce najlepszych na świecie nie będzie nigdy.

JAMAJSKA POMPA
SSĄCO-TŁOCZĄCA

20 lat temu naukowcy w Australii wyodrębnili z genu ACTN3 pewne warianty, które przy odpowiednim zagęszczeniu dodają mocy i szybkości skurczu. Kolejne badania dowiodły, że ta właśnie wersja genu jest znacząco częściej obecna wśród Jamajczyków, czyli – z grubsza – osób o etnicznych korzeniach w Afryce Zachodniej, niż wśród Europejczyków.

Jamajczycy dostrzegli swoją szansę i zmienili sprinty w lokalną religię. Dziesiątki tysięcy młodych Jamajczyków startuje w zawodach dla dzieci, międzyszkolnych, między hrabstwami, mistrzostwach regionu, kraju i w różnych kategoriach wiekowych. Wykształciła się kultura treningów, kultura wiedzy sportowej i teraz ta pompa ssąco-tłocząca działa na wysokich obrotach. Masowo zasysa talenty i tłoczy do sportu wykształconych, wyselekcjonowanych sprinterów, dokładnie na tej samej zasadzie, jak w okolicach Wielkiego Rowu Afrykańskiego dzieje się to w przypadku ludu Nandi, uzdolnionego długodystansowo.

TA EWA OD IWONY

Natomiast Ewa Swoboda uczyła się w Żorach.

Miała jedenaście lat jak na zajęciach koszykówki lub piłki nożnej w podstawówce jej talent ruchowy zauważyła nauczycielka wufeu Iwona Krupa, wcześniej lekkoatletka. Trenerka nie uczyła Ewy, pracowała w Gimnazjum nr 4, ale gdy w 2003 roku założyła klub Czwórka Żory, Swoboda została jednym z dzieci trenujących w tym małym klubiku.

Czwórka nie miała swojego miejsca i lekkoatleci trenowali w gimnazjum, gdzie przynajmniej była 200-metrowa bieżnia, szatnia i mała siłownia, w której bardzo, bardzo długo była jedna sztanga.

Tego, co Ewa Swoboda umie, nauczyła się od Iwony Krupy. Jest prawdopodobnie unikatowym w świecie przypadkiem jednej z najlepszych sprinterek, które przez całą karierę – od dziecka do szóstego miejsca mistrzostw świata w zeszłym roku – pracuje z jedną osobą, w dodatku kobietą. Przypuszczam za to „w dodatku”, ale w świecie trenerskim obie te rzeczy są niezwykle rzadkie.

Najlepsi trenerzy na Jamajce, USA, Wielkiej Brytanii czy kontynentalnej Europie to samce alfa. A zawodnicy i zawodniczki peregrynują, szukając u kolejnych trenerów nowych bodźców, które podbiją ich na wyższy poziom.

Krupa jest na stałe. Do niedawna także na stałe był klub w Żorach, ale teraz jest AWF Katowice. Są już chyba nierozzerwalne na

amen, od czasu kiedy – niemal na początku ich wspólnej pracy – dziewczyna wyrównała rekord juniorek na 100 m Ewy Kłobukowskiej, który przetrwał pół wieku (11,42 s).

SZEŚĆDZIESIĄTKA
TO NIE SETKA

Mówiąc o genach i włóknach mięśniowych, kibice mogą zapomnieć o klimacie, który z kolei może wpłynąć na rozwój kariery sportowej (i najczęściej wpływa). Na Jamajce, w Kalifornii lub Florydzie, gdzie trenują najszybsi na świecie, jest ciepło, komfortowo. Pracuje się na otwartych stadionach, skupiając się na porządnym, klasycznym dystansie 100 m.

W takim kraju jak Polska, gdzie przez pół roku trzeba ćwiczyć w hali, albo wyjeżdżać zimą na treningi na południową półkulę, halowy sezon jest niezwykle ważny. Swoboda na początku skupiała się na biegu na 60 m. Ma to swoje dobre i złe strony. No bo ktoś, kto ma światowe osiągnięcia w halowym sprincie na 60 m, słusznie uważa, że dają one nadzieję na splendory olimpijskie czy w mistrzostwach świata na otwartym stadionie.

– Nie zawsze tak bywa – ostrzega mnie jeden z polskich byłych wyśmienitych

Moc Ewy Swobody zależy od wagi, zgodnie z prostymi wzorami fizycznymi. Sama o tym mówi bez ogródek: – Kiedyś byłam za gruba, bo ważyłam prawie 65 kilo. Już się ogarnęłam i jem z umiarem

sprinterów na 60 m, który wolałby, żebyśmy nie wymieniali jego nazwiska. I kontynuuje: – Choć bliskie sobie, 60 m i 100 m wymagają odrobiny innych cech od zawodników. Ta odrobina może przesądzić o tym, czy ktoś osiągnie sukces, czy nie, bo zabraknie 0,01 s, czy – jak w przypadku Ewy w Budapeszcie – nawet mniej niż 0,001 s. Jednak te cechy można w pewnym stopniu modelować. Gdy ja startowałam na 100 m, po pierwszych 30-40 metrach bardzo często sądziłem, że był jakiś falstart. Gdzie są moi rywale? Nie ma nikogo. Na 60 m tak było do końca. Ale gdy biegłem na 100 m, pojawiali się nie wiadomo skąd, no wiadomo, zza moich pleców, i to niedaleko przed metą. Mój trener, mówię o tym z dystansu, skupił się na moich nogach. A powinien widzieć całego sprintera i cały dystans.

Swoboda rekord na 60 m pobiła w Toruniu, biegnąc 6,99 s. Pia Skrzyszowska odrabiała straty do Swobody na drugiej połowie dystansu, ale zaraz była meta. Gdy Ewa biegła w finale 100 m na mistrzostwach świata, przez pierwsze 30 metrów była na pozycji medalowej, ale z czasem traciła. To też efekt budowania formy dzięki biegom krótszym, ale nie tylko.

Powoli dochodzimy do momentu, gdy trzeba bardzo uważać na słowa.

BYŁAM GRUBA,
ALE SIĘ OGARNĘŁAM

– Najważniejsza dla ostatnich metrów jest waga zawodnika – mówią trenerzy sprinterów i aplikują zawodnikom surową dietę. Znany jest przypadek Justina Gatlina, który w wieku dobrze ponad 30 lat musiał wrócić do wagi sprzed dekady, czyli o 20 kg niższej, aby znów być na szczycie.

Problemem Swobody w tym czasie była właśnie waga.

I teraz: poruszając ten wątek, jesteśmy bardzo daleko od bodyshamingu. Nie mówimy bowiem o urodzie, Boże broń. Mówimy o sprawności organizmu, który rywalizuje z najlepszymi. O tuningu, jak w samochodzie wyścigowym, jak w Formule 1, gdzie tajemnicą jest receptura farby, na której można zaoszczędzić kilkanaście gramów wagi bolidu.

Wielokrotnie mówiłem o tym, że sport jest brutalny, bo wymaga perfekcji w każdym względzie do odniesienia sukcesu: idealnego otoczenia, osobowości, braku kontuzji, wspaniałego trenera, pieniędzy... Długo można wymieniać czynniki, które wpływają na formę i na to, z jakimi szan-sami zawodniczka przystępuje do walki. Wśród nich jest odpowiednia dieta i optymalna dla konkurencji waga.

Moc Swobody zależy od wagi, zgodnie z prostymi wzorami fizycznymi.

Ona sama o tym mówiła bez ogródek. – Kiedyś byłam za gruba, bo ważyłam prawie 65 kilo. Już się ogarnęłam i jem z umiarem. A jeść lubię wszystko, poza czosnkiem i cebulą. I ostrymi przyprawami. Potem niestety widać, że jest mnie trochę za dużo. Jakieś specjalnej diety nie trzymam. Ostatnio ograniczyłam słodczy i fast foody, ale czasami się zdarza, że gdzieś pójde i coś sobie zjem – mówiła przed kilkoma laty.

Tak wynika z jej zeszłorocznych wypowiedzi.

– Przez hejt chciałam usuwać tatuaże. W pewnym momencie było ze mną naprawdę źle. Miałam myśli, by przestać trenować. Wszystko przez nienawiść ludzi. W 2018 roku mi nie szło. Sportowcy mają gorsze okresy. To normalne. Jednak moja pewność siebie została kompletnie zburzona. Wstydziałam się pokazywać taką, jaką byłam. To był najtrudniejszy okres w życiu – powiedziała w wywiadzie. – [Teraz] jeśli ktoś się śmieje z mojego tatuażu, to robię kolejny i się cieszę, ha, ha! Poradziłam sobie z najgorszymi chwilami. Wizyty u psychologów – tonie dla mnie. Wychodząc z jednej wizyty, płakałam. Wychodząc z drugiej, wiedziałam, że nie powiedziałam tego, co leżało mi na sercu. Z trzecim się nudziłam. Najbardziej pomagają mi rodzice i najlepszy przyjaciel, który pełni rolę psychologa. Każdy powinien mieć taką osobę. On się ze mną nie pierdzieli. Mówi mi wprost, co nie gra, co robię źle. Bardzo doceniam takie zachowania. Do wewnętrznego spokoju trzeba dojrzeć.

NIE GRYZIE SIĘ W JĘZYK

Gdyby kiedyś czytała „Wyborczą”, a raczej komentarze czytelników na jej temat, a nie

były pozytywne, prawdopodobnie dostałaby furii i już nigdy nie chciała rozmawiać z dziennikarzem mojej redakcji. Dziś już byłyby jej obojętne.

Ma 26 lat i jej wiek, dojrzałość też wpływa na postrzeganie świata. Ale z gruntu jest od zawsze dziewczyną z sąsiedztwa, z Żor. Nie aspiruje do bycia liderką elit, nie wstydzi się tipsów, wydłużonych kreską rzęs, mocnego makijażu, kolczyka w nosie („w za duży nosie”, jak sama mówi). Nie wstydzi się słowa „pierdzieli”. Nie wyrzuci go podczas autoryzacji wywiadu, bo to ono opisuje najlepiej to, co czuje.

Słucha polskiego rapu i mówi językiem, który rozumieją jej rówieśnicy z sąsiedztwa. Zajmują ją te same sprawy. Czasami przed kamerą rzuci coś, czego nie powinna, jak w Budapeszcie, że „jest jedyną Białą w finale”. Wtedy gryzie się w język, bo czuje, że chlapnęła, ale za chwilę już tego nie pamięta.

Ona chce szybko biegać. Chce mieć chłopaka – to ten najlepszy przyjaciel – z którym się świetnie czuje i który pomaga jej w byciu najszybszą Polką (10,94 s). To znaczy najszybszą teraz, bo rekord z 1986 roku wciąż należy do Ewy Kasprzyk (10,93 s.). Plotkarz Krzysztof Kiljan będzie z nią w Paryżu, udało mu się awansować w ostatnim momencie.

– Jestem teraz szczęśliwa! Zmieniło się moje podejście do życia, do wszystkiego. Chcę, żeby tak zostało – mówiła w wywiadzie.

Na pierwsze igrzyska pojechała jako dwiętnastolatka, sportowe dziecko, z drugich wyeliminował ją koronawirus i kontuzja. Teraz jest ten czas.

Pierwsza runda eliminacji biegu na 100 m rozpocznie się 2 sierpnia o 10.35. Półfinały – 3 sierpnia o 19.50. Finał – 3 sierpnia o 21.20. Na co stać Ewę Swobodę? W tabelach tegorocznych wyników nie jest zbyt wysoko. Ale to o niczym jeszcze nie przesądza. ●

Igrzyska w Paryżu

Nasze medalowe szanse

POLACY W WEEKEND NA IGRZYSKACH

WIOŚLARSTWO

• **Sobota, 27 lipca**
• **Godz. 12.30**
• Pierwszy start czwórki podwójnej mężczyzn. Z tą osadą łączą się potężne wspomnienia. Adam Korol, Marek Kolbowicz, Michał Jeliński, Konrad Wasielewski zdobyli złoty medal w Pekinie w 2008 roku, po zdominowaniu czterech sezonów na mistrzostwach świata, bijąc rekordy świata szybkości. Nową osadę – Dominik Czaja, Fabian Barański, Mirosław Ziętarski, Mateusz Biskup – zdobyli tytuł mistrzów świata dwa lata temu na torze w Racicach pod Pragą. Nie są takimi siłaczami jak ich poprzednicy, ale łączą ich jedna poważna kwestia – trenerAleksander Wojciechowski.
Zawodnicy z czwórek podwójnych są ważnymi postaciami w polskim sporcie. Szefem PZTW jest Adam Korol, czyli szlakowy „Dominatorów”, dyrektorem sportowym PZTW jest Andrzej Krzepiński, który pływał w czwórce podwójnej w igrzyskach w Seulu w 1988 roku. Nie wspominając o innym członku osady olimpijskiej sprzed 36 lat, czyli Tomaszowi Świątku, ojcu Igi, najlepszej tenisistki świata.

KOLARSTWO

• **Sobota, 27 lipca**
• **Godz. 16.30**
• Jazda indywidualna na czas. Na 32,4-kilometrową trasę wyruszy Michał Kwiatkowski, nie tak bardzo dawno temu znakomity specjalista od czasówek.
Czasy świetności 34-letni kolarz Ineos Grenadiers ma za sobą, klasa mistrza świata sprzed dekady się nieco zatarła, drużyna wymaga teraz od niego głów-

nie pomocy dla liderów, a nie zasuwania na czasówkach. Sezon też ma nienajlepszy, w kilku ważnych wyścigach jednoetapowych Kwiatkowski nie ukończył. Ale nie można zapominać, że kolarze są długowieczni. Zdarzało się, że Kwiatkowski wygrywał etapy na czas w ważnych wyścigach (Paryż-Nicea, Criterium Dauphine, Tour de Romandie) lub stawał w nich na podium (Tour de France, Vuelta a Espana). Jednak największą szansę na sukces Polak będzie miał w wyścigu ze startu wspólnego, który odbędzie się 3 sierpnia, czyli w następną sobotę.
Miejska, płaska, niewymagająca technicznie trasa wiedzie z Esplanade des Invalides, przez Place de la Bastille do Lasku Vincennes. Kolarze miną welodrom Jacquesa Anquetila, miejsce, gdzie kończył się Tour de France w latach 1968-74, a więc w erze Eddiego Merccsa. Z powrotem przez Route de la Pyramide w kierunku Bastylli i des Invalides, gdzie wyznaczono metę.
Wśród kobiet wystartują Marta Lach i Agnieszka Skalniak-Sójka (godz. 14.30).

SZERMIERKA

• **Sobota, 27 lipca**
• **Godz. 10 pojedynki pierwszej rundy. Półfinały o godz. 19., Pojedynki o medale od godz. 20.40.**
• W turnieju indywidualnym szpadzistek powalczą dwie członkinie fantastycznej drużyny, która w zeszłym roku zdobyła złoto w mistrzostwach świata w Mediolanie – Renata Knapik-Miazga, Martyna Swatowska-Wenglarczyk i na dodatek 20-letnia debutantka Alicja Klasik. Warto sprawdzić formę przez najwięk-

szym dniem, czyli turniejem drużynowym, który nastąpi 30 lipca, we wtorek. Wartość turniejów szermierczych dodatkowo podbija miejsce rozgrywania pojedynków – piękne wnętrza Grand Palais, wielkiej przeszklonej hali zbudowanej w 1900 roku z okazji Wystawy Światowej i II nowożytnych igrzysk olimpijskich, które toczyły się w jej cieniu.

TENIS

• Mecze singla kobiet na kortach Rolanda Garrosa zaczną się od godz. 12, ale losowanie oraz porządkowanie meczów do kortów i godzin odbyło się po zamknięciu wydania „Wyborczej”. W singlu zagrają Iga Świątek, Magda Linette i Magdalena Fręch. W deblu – Magda Linette i Alicja Rosolska.

SIATKÓWKA

• **Sobota, 27 lipca i niedziela, 28 lipca**
• Po raz pierwszy od igrzysk w Pekinie w 2008 roku w igrzyskach grają drużyny męska i kobieca, obie z wielkimi szansami na medal. Turnieje – kobiet i mężczyzn – odbywają się co drugi dzień,

więc kibice siatkówki mają emocje codziennie. Akurat w sobotę siatkarze zmierzą się z Egiptem o godz. 17, zaś siatkarki w niedzielę o godz. 13 z Japonią.
I ten drugi mecz będzie potężną dawką emocji, gdyż Japonia jest bardzo mocną drużyną, która w drodze do finału Ligi Narodów pokonała w półfinale Brazylię 3:2 i uległa w ostatnim meczu ligi Włoszkom 1:3 (Polki przegrały z Włoszkami w drugim półfinale).
W sobotę Polacy wystartują jeszcze w WKKW (Małgorzata Korycka/koń Canvalencia, Robert Powala/koń Tosca del Castegno, Paweł Warszawski/koń Lucinda Ex Ani 4), w slalomie kajakowym (Klaudia Zwolińska w K1 – finał w niedzielę o 17.45 – i C1, Grzegorz Hedwig w C1 oraz Mateusz Polaczyk w K1), w strzelectwie, karabinie pneumatycznym 10 m mikst (finał godz. 10.30): Aneta Stankiewicz/Tomasz Bartnik, Julia Piotrowska/Maciej Kowalewicz. W pływaniu (finały od 20.40) wystartują obie sztafety 4x100 m st, dow.

W niedzielę: Julia Walczyk-Klimaszyk, Martyna Jelińska i Hanna Łyczbińska w indywidualnym turnieju floreta. W kolarstwie górskim wystartuje o 14.10 Paula Gorycka. W strzelectwie – pistolet pneumatyczny 10 m Klaudia Breś (finał o godz. 12). W pływaniu Jan Kalusowski na 100 m st.klas (półfinały w sobotę o 21.32, finał w niedzielę o 21.44). ●

• **Ewa Swoboda, w dniu otwarcia igrzysk w Paryżu skończy 27 lat. Dystanse: 60 m (rekord życiowy – 6,98 s), 100 m (10,94), 200 m (23,79), 300 m (39,87), 600 m (1:41,44), sztafeta 4x100 m (42,61). Złoty medal igrzysk europejskich (Kraków 2023), dwa srebrne medale mistrzostw Europy (Monachium 2022 i Rzym 2024), srebrny medal halowych mistrzostw świata (Glasgow 2024), złoty medal (Glasgow 2019) i dwa (Belgrad 2017 i Stambuł 2023) halowych mistrzostw Europy (Monachium 2022 i Rzym 2024)**

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Sprint na 100 m. Rekordy i kwalifikacje na igrzyska w Paryżu

● Rekord świata ● Wynik z kwalifikacji* ● Rekord Polski

*Najlepszy wynik z zawodów 2023-24, który dał przepustkę do startu na igrzyskach w Paryżu



Florence Griffith-Joyner
● USA
● 10,49 sek.
📅 16.07.1988 r.



Shericka Jackson
● Jamajka
● 10,65 sek.
📅 7.07.2023 r.



Ewa Kasprzyk
● Polska
● 10,93 sek.
📅 27.06.1986 r.

sekundy: 9,5 10 10,5 11

↑ KOBIEТЫ

↓ MĘŻCZYŹNI

sekundy: 9,5 10 10,5 11



Usain Bolt
● Jamajka
● 9,58 sek.
📅 16.08.2009 r.



Kishane Thompson
● Jamajka
● 9,77 sek.
📅 28.06.2024 r.



Marian Woronin
● Polska
● 10 sek.
📅 9.06.1984 r.

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: WORLD ATHLETICS

Kamala

i inni

Kamala Harris



Lat 59, mężatka, dwoje przybranych dzieci

Wiceprezydentka za kadencji Bidena i namaszczona już przez niego do ubiegania się o prezydenturę. Wcześniej senatorka reprezentująca Kalifornię (2017-2021), prokuratorka generalna tegoż stanu (2011-2017) i prokuratorka okręgowa dystryktu San Francisco (2004-2011).

O nominację Demokratów w walce o Białą Dom ubiegała się już w poprzednich wyborach, ale wycofała się z wyścigu po niespełna roku i pod koniec 2019 r. udzieliła poparcia Bidenowi. Wcześniej ostro się z nim ścierała w debatach, co nie przysporzyło jej przyjaciół w przyszłej administracji. I choć ostatecznie stała się jej częścią, mogło to mieć wpływ na jej stosunkowo słabą i mało eksponowaną pozycję jako wiceprezydentki.

Nieudana kampania przed poprzednimi wyborami i umiarkowana wiarygodność w roli wiceprezydentki – to jej największe słabości. W jednym i drugim przypadku zarzucono jej nieumiejętność zajęcia wyrazistego stanowiska w kontrowersyjnych kwestiach (takich jak np. reforma systemu ochrony zdrowia i ubezpieczeń zdrowotnych), graniczącą z politycznym wyrażaniem i mało przekonujące wystąpienia publiczne.

Jako wiceprezydentka miała słabo zarządzać urzędem i mieć trudności w relacjach ze współ-

pracownikami. Sondaże sprzed przełomowej decyzji Bidena nie dawały jej szczególnej przewagi nad Donaldem Trumpem, choć miała lepsze od niego indeksy popularności.

Ale na tym lista słabości Harris się kończy, a ogłoszenie przez nią, że będzie ubiegać się o nominację, wywołało w partii wielki entuzjazm i uwolniło pokłady energii, których Biden wydobyć nie był w stanie.

Ustępujący prezydent udzielił jej poparcia krótko po ogłoszeniu swojej rezygnacji, później szybko posypały się kolejne „endorsements” ze strony m.in. małżeństwa Clintonów, wielu demokratycznych gubernatorów i członków kongresu. Licznik datków na kampanię, który po słabym występie Bidena w debacie zaczął niebezpiecznie pikować, po decyzji Harris wystrzelił w górę. W jeden dzień darczyńcy wpłacili blisko 50 milionów dolarów, co uważane jest za historyczny rekord.

Nawet osoby, które początkowo nie były entuzjastycznie nastawione do jej kandydatury, zmieniły nastawienie. Na przykład popularna wśród młodego pokolenia przedstawicielka progresywnego skrzydła partii kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez, która sugerowała, że nie ma wśród Demokratów jednomyślności w sprawie zastąpienia Bidena, szybko skorygowała kurs i zatlotała: „Kamala Harris będzie następną prezydentką Stanów Zjednoczonych”.

Wciąż jednak nie brak prominentnych Demokratów, na czele z byłym prezydentem Barackiem Obamą, którzy z wyrażeniem poparcia wstrzymują się. Ale prawdopodobnie ma to związek z tym, że chcą, by partia wyłoniła kandydatkę lub kandydata w sposób przejrzysty, w czasie konwencji 19 sierpnia.

Sama Harris, przyjmując wyzwanie, wyraźnie dała do zrozumienia, że nie bierze niczego za pewnik i zamierza na nominację zapracować. To jeden z przypisywanych jej atutów: pracowitość i determinacja. Jako kobieta w polityce, a w dodatku kolorowa i z mieszanym pochodzeniem etnicznym (jej matka pochodziła z Indii, a ojciec z Jamajki), od początku zmagająca się ze szklanym sufitem. Ale zawsze stawiała sobie ambitne cele i konsekwentnie je realizowała – już zapisała się w historii, jako pierwsza kobieta piastująca urząd wiceprezydenta.

Tę zaciekłość Harris wypracowała w ciągu 13 lat czynnej pracy na stanowisku prokuratora, co może być szczególnie cennym atutem w starciu z Trumpem. Nie tylko ze względu na jej umiejętność debatowania czy łatwość w punktowaniu przeciwnika, ale również z uwagi na to, że to materiał na wdzięczny slogan. Demokraci już zadają amerykańskiemu społeczeństwu pytanie: „Wybieracie prokuratorkę czy przestępcę”? ●

Kamala Harris ma największe szanse, by reprezentować Demokratów w listopadowych wyborach prezydenckich.

Na giełdzie pojawiały się nazwiska jeszcze kilku innych polityków, ale mają zdecydowanie mniejsze szanse, a niektórzy już poparli Harris. Być może jednak jest wśród nich przyszły kandydat na wiceprezydenta.

Magda Działoszyńska-Kossow



Gavin Newsom



Lat 56, żonaty, czworo dzieci

Od 2019 r. gubernator Kalifornii, wcześniej przez osiem lat zastępca gubernatora (2011-2019) i burmistrz San Francisco (2004-2011). Sprawny, doświadczony i dobrze prezentujący się polityk, ale póki co na szczeblu lokalnym. Zwolennik ostrego liberalnego kursu Partii Demokratycznej i postawy konfrontacyjnej wobec Republikanów. Prezentował ją na przykład w głośnej debacie z gubernatorem Florydy, Ronem de Santisem, którego niegdyś typowano na konkurenta Donalda Trumpa.

Dla ubiegających się o nominację z pozycji wiceprezydenta problemem jest zawsze brak wyrazistości i osiągnięć, natomiast dla gubernatorów, brak pewności siebie i zdolności zaprezentowania się na ogólnokrajowej scenie politycznej. Nie wiadomo, jak biografia Newsoma obroniłaby się przy tak intensywnym prześwietlaniu, jakie towarzyszy kampanii prezydenckiej. Ani jak poradziłby sobie z prezentowaniem swoich poglądów.

W jego przypadku kalifornijski rodowód polityczny jest nawet barwniejszy niż u Harris. Republika-

nie mogą przekonywać centrowych wyborców, że oboje są ekstremistami z będącego bastionem z liberalizmu Zachodniego Wybrzeża.

Ale Newsoma dodatkowo – jako byłego burmistrza San Francisco – republikańscy spin doktrzy zechcą obarczać winą za problemy miasta z bezdomnością i narkomanią oraz wszystkim tym, do czego zdaniem konserwatystów prowadzi poluzowanie norm obyczajowych.

Krótko po przystąpieniu Kamali Harris do wyścigu Newsom udzielił jej wsparcia, co nie oznacza, że nie może jeszcze podjąć rękawicy. ●

J.B. Pritzker



Lat 59, żonaty, dwoje dzieci

Od 2019 r. gubernator Illinois. Wcześniej nie pisał stanowisk politycznych pochodzących z wyboru. Jest biznesmenem, członkiem prominentnej rodziny Pritzkerów, do których należy sieć hoteli Hyatt. Obecnie zarządza własną grupą kapitałową Pritzker Group. Magazyn Forbes ocenia jego majątek na 3,6 miliarda dolarów, co czyni go najbogatszym politykiem w Stanach Zjednoczonych. To zaleta zwłaszcza ze względu na to, że środki zgromadzone na kampanię wyborczą duetu Biden/Harris może przejąć tylko

ta druga, a jeśli nominatem zostanie ktoś inny, będzie finansowo startował od zera. Dla Pritzkera nie byłaby to wielka przeszkoda – na swoją kampanię gubernatorską wydał ponad 170 milionów dolarów z własnej kieszeni.

Ale zasobność portfela to właściwie jego jedyny solidny atut. W roli gubernatora Illinois co prawda okazał się kompetentny i skuteczny – przeorsował szereg ustaw ważnych dla demokratycznych wyborców, takich jak prawo do przerywania ciąży, podniesienie płacy minimalnej, eliminacja systemu kaucji więziennych czy legalizacja rekreacyjnej marihuany

– jednak nie jest postacią szerzej znaną. Wypromowanie Pritzkera w krótkim czasie byłoby sporym wyzwaniem.

Nie jest też kandydatem budzącym silne emocje czy entuzjazm. W dodatku ma trupa w szafie, a mianowicie relacje z jednym z najbardziej skompromitowanych amerykańskich polityków ostatnich dekad, byłym gubernatorem Illinois, Rodem Blagojevichem, któremu postawiono zarzuty korupcyjne. Co prawda Pritzkerowi nigdy nie udowodniono, że przekroczył w tych relacjach prawo, ale Republikanie na pewno to przeciw niemu by wykorzystali. ●

Gretchen Whitmer



Lat 52, pięcioro dzieci, w tym troje przybranych

Od 2019 r. gubernatorka Michigan, wcześniej senatorka (2006-2015) i kongresmenka (2003-2006) stanowa. Pierwsza kobieta na stanowisku przewodniczącej Senatu stanowego. Spośród gubernatorów branych pod uwagę jako alternatywa dla Bidena Whitmer jest najbardziej rozpoznawalna na scenie krajowej i nie ma silnego elektoratu negatywnego.

Swoją rozpoznawalność zawdzięcza kilku okolicznościom, m.in. zdecydowanej postawie w czasie pandemii COVID-19, kiedy nakazała mieszkańcom stanu zostać w domach. Jej decyzja zyskała szerokie poparcie, ale też wywołała gwałtowne protesty radykalnie prawicowych środowisk.

Broniąc swojego stanowiska Whitmer stała się twarzą sprzeciwu wobec lekkomyślnej polityki pandemicznej prezydenta Trumpa.

Odpryskiem tego konfliktu była kolejna głośna sprawa z jej udziałem, czyli udaremniony przez FBI spisek, zmierzający do porwania jej przez grupę bojowników.

Whitmer klasyfikuje się jako progresywna Demokratka, ma np. bardzo wyraziste i często wypowiedziane stanowisko w sprawie dostępu do aborcji oraz równości mężczyzn i kobiet w miejscu pracy. Ale jako reprezentantka Środkowego Zachodu automatycznie zjednuje sobie więcej umiarkowanego elektoratu niż kandydaci z Kalifornii.

Jako gubernatorka zajmowała się sprawami,

które interesują bardziej centrowych wyborców, takimi jak ochrona zdrowia czy poprawa stanu infrastruktury. Ta druga kwestia była jej naczelnym priorytetem w kampanii (głosiła slogan „Fix the damn roads!” czyli „Naprawić te cholerne drogi!”), a dziś zalicza się do obietnic zrealizowanych.

Ale kluczowy atut Gretchen Whitmer wynika z arytmetyki wyborczej: jako przedstawicielka stanu Michigan może pomóc Demokratom wygrać ten niezdecydowany stan, wart 15 głosów elektorskich. W 2020 r. wziął je Joe Biden, ale cztery lata wcześniej wygrał tutaj Donald Trump. W nadchodzących wyborach sympatie Michigan mogą więc zaważyć na ostatecznym wyniku wyborów. ●

Michelle Obama



60 lat, mężatka, dwoje dzieci

Żona Baracka Obamy i była pierwsza dama nie jest wymieniana wśród potencjalnych następców Joe Bidena, ani kandydatów na wiceprezydentkę. Jednak należy o niej wspomnieć z powodu sondażu Ipsos z 2 lipca, w którym to Michelle Obama okazała się jedyną osobą zdolną wygrać w wyborach prezydenckich z Trumpem. Według tego badania w starciu Trump vs. Biden każdy miał zadeklarowane 40-procentowe poparcie, a 8 proc. wyborców pozostało niezdecydowanych (pozostali nie będą głosować lub odmówili odpowiedzi). Gdyby Bidena zastąpiła Obama, te 8 proc. już nie miałyby wątpliwości i w większości zagłosowałoby na nią, dając jej 50-procentowe zwycięstwo. Trump zostałby w tyle z 39 proc. głosów. W tym samym badaniu zmierzono też indeksy popularności: Mi-

chelle Obama pobiła wszystkich na głowę: sympatię do niej zadeklarowało aż 55 proc. badanych.

W sposób oczywisty tak pozytywny jej odbiór wynika w dużej mierze z faktu, że była pierwszą damą nie jest polityką i nie ma żadnego balastu związanego z budowaniem politycznej kariery. Ale też trzeba przyznać, że swoje osiem lat w Waszyngtonie wykorzystwała wzorcowo, nie wywołując kontrowersji, nie popełniając gaf, za to będąc czempionką spraw ważnych dla przyszłości Ameryki. Nie mniej ważnych niż wysokość inflacji czy zadłużenia narodowego, takich jak zdrowe odżywianie czy ruch na świeżym powietrzu. Gdy kadencja Baracka Obamy dobiegła końca, Michelle napisała o swoim doświadczeniu dwie bestsellery, a po publikacji każdej wyruszyła na tournée po kraju. W czasie spotkań autorskich i wystąpień w talk

showach z rozbrajającą szczerością i humorem opowiadała o blaskach i cieniach życia w Białym Domu u boku mężczyzny, który często musiał karierę postawić przed rodziną.

Można założyć, że wielu wyborców, a przede wszystkim wyborczyń, chętnie zagłosowałoby na osobę, którą dobrze zna, lubią i której mogą ufać, bo wydaje się nie mieć nic do ukrycia. Nie musieliby nawet pytać ją o doświadczenie czy kompetencje do sprawowania urzędu, bo przecież wiadomo, że Barack Obama uważał ją za swojego najważniejszego doradcę. Szkopuł tylko w tym, że Michelle Obama nie chce i nigdy nie chciała kandydować.

Jak powiedziała w filmie dokumentalnym Netflix:

„Polityka jest trudna. [...] Po prostu musisz tego chcieć, musi ci to w duszy grać, być najważniejsze. Dla mnie nie jest”. ●

Nazwisko kandydata poznamy zapewne podczas konwencji Partii Demokratycznej w Chicago, która rozpocznie się 19 sierpnia.

Josh Shapiro



Lat 51, żonaty, czworo dzieci

Gubernator Pensylwanii od 2023 r. Wcześniej Prokurator Generalny w tym stanie (2017-2023), członek, a potem szef zarządu hrabstwa Montgomery (2012-2017), kongresmen stanowy (2005-2012). Najmniej rozpoznawalny, najmniej doświadczony, ale wyjątkowo dobrze wypadający w sondażach.

Według gazety „Philadelphia Inquirer” Shapiro, który ma opinię umiarkowanego i zdolnego do po-

nadpartyjnych kompromisów, mógłby liczyć na poparcie trzech z dziesięciu wyborców Trumpa w swoim stanie. Pensylwania, podobnie jak Michigan, to jeden z kluczowych stanów niezdecydowanych, który Joe Biden wygrał dla Demokratów w ostatnich wyborach. Ale Hillary Clinton cztery lata wcześniej tam przegrała. Do wzięcia jest w nim 19 głosów elektorskich.

Najbardziej kontrowersyjny aspekt potencjalnej kandydatury Shapiro? Fakt, że jest Żydem. Do tej pory

nie było w Ameryce żydowskiego kandydata na prezydenta, ale nie w tym rzecz. Wyjątkowo polaryzującą kwestią w nadchodzących wyborach jest stosunek do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, a Shapiro jest zwolennikiem niewzruszonego wsparcia dla Izraela, nawet w pod rządami Benjamina Netanjahu i w obliczu dokonywanych przez izraelską armię zbrodni na Palestyńczykach. Taka postawa jest nie do przyjęcia dla młodszego, bardziej progresywnego elektoratu Demokratów. ●

GENIUSZU, NISZCZ WSZYSTKO!

Zasada łamania wszelkich zasad przechodzi z biznesu do polityki. To z niej bierze się poparcie nowych elit dla Trumpa i Vance’a

Mateusz Mazzini

Publicystyczna hiperbola o „wojnie domowej grożącej Stanom Zjednoczonym w przypadku zwycięstwa Trumpa” towarzyszy amerykańskiej i europejskiej prasie co najmniej od kilkunastu miesięcy. Mnożą się eksperckie analizy i dziennikarskie komentarze, nierzadko ilustrowane barwnymi wstawkami.

„Amerykańskie społeczeństwo spogląda w przepaść” – tego określenia po zamachu na republikanckiego kandydata 13 lipca, użył Edward Luce, korespondent „Financial Timesa” w USA. Jeffrey Goldberg, redaktor naczelny „The Atlantic”, od początku roku pisze o „braku dorosłych w pokoju”, jako o metaforze drugiej administracji Trumpa. Natomiast Anne Applebaum grozi, że „Trump opuści NATO”.

Studium przypadku dotyczące militaryzacji życia publicznego w USA w formach książkowych przygotowali reporter New Yorkera Luke Mogelson („The Storm is Here. America on the Brink”) i dziennikarz Washington Post Will Sommer, badający ruch QAnon (jego „Uwierz w Plan. Skąd się wziął QAnon i jak namieszał w Ameryce” wydało niedawno Wydawnictwa Czarne).

Nie mówiąc oczywiście o filmie „Civil War” Alexa Garlanda – dystopijnym thrillerze dziejącym się w Ameryce rzeczywiście podzielonej przez walczące ze sobą armie.

Żadna z tych pozycji nie pokazuje jednak prawdziwej odległości, która Stany Zjednoczone dzieliła od autentycznego rozpadu tamtejszej demokracji. Demokracji w sensie instytucjonalnym, rozumianej jako ustrój z niezależnym sądownictwem, podziałem władz, w którym egzekutywa szanuje wyniki wyborów i przestrzega powszechnych zasad.

Musisz pomóc, Mike!

Odległość ta była naprawdę niewielka 6 stycznia 2021 r. – ale nie z powodu tłumów agresywnych zwolenników Trumpa, którzy zaatakowali Kapitol, grożąc przy tym politykom zarówno Demokratów, jak i Republikanów. Moment decydujący dla przyszłości amerykańskiego ustroju miał innych protagonistów. Doskonale przedstawił to Bob Woodward, ikona tamtejszego dziennikarstwa w książce „Peril”, opisującej ostatnie tygodnie rządów Trumpa, kampanię prezydencką z 2020 roku

i proces przejęcia władzy w Białym Domu przez Demokratów.

Powołując się na bardzo wysoko postawione źródła w otoczeniu Trumpa, Woodward pokazał, co tak naprawdę były prezydent chciał osiągnąć. To, że batalii prawnej o unieważnienie wyników wyborów nie uda mu się wygrać, uświadomił sobie w miarę szybko, dlatego zaprzestał walki w sądach na poziomie stanowym.

Zamiast tego kazał swoim prawnikom skupić wysiłki na zatwierdzeniu wyników na poziomie federalnym, gdzie zgodnie z konstytucją dokonuje tego odchodzący wiceprezydent. Innymi słowy, chciał nie dopuścić do swojej porażki nie za pomocą prawa, tylko polityki.

Przez dwa miesiące, które upłynęły od listopadowego głosowania do wydarzeń z 6 stycznia, Trump zwiększał swoje naciski na Mike’a Pence’a, by ten rozszerzył swoje kompetencje względem przeliczania głosów elektorских.

Konstytucja USA nie daje w tym zakresie wielkiego pola do interpretacji – wiceprezydent ma głosy elektorów po prostu zliczyć i ogłosić wynik. Nic więcej, nic ponad to.

Mimo to Pence, lojalny wobec prawa państwowiec, od razu polecenia sfera nie odrzucił. Udał się na pielgrzymkę do wszystkich żyjących byłych wiceprezydentów z ramienia Republikanów, innych ważnych polityków partii oraz całej masy konserwatywnych konstytucjonalistów. Szukał wykładni, która pozwoliłaby mu, zgodnie z życzeniem Trumpa, podważyć wyniki głosowania.

Nikt jednak takiej interpretacji mu nie podsunął, wszyscy mówili wprost: możesz tylko te głosy przeliczyć. Pence ich posłuchał, certyfikując wybór Joeego Bidena na prezydenta. Podpisał tym samym na siebie polityczny wyrok śmierci w ruchu MAGA i całej Partii Republikańskiej.

O krok od chaosu

Przetrwanie najstarszej i najsilniejszej instytucjonalnie demokracji świata zależało od decyzji jednego człowieka. Czy była ona łatwa do podjęcia, czy też piekielnie trudna – pewnie nigdy się nie dowiemy, Pence nie należy do wylewnych polityków, a o tamtych wydarzeniach opowiadał dotychczas dość ogólnikowo.

Łatwo sobie jednak wyobrazić, co stałoby się, gdyby się ugiął. Może Ameryka nie doświadczyłaby wojny domowej w sensie literalnym, jak w filmie Garlanda, z bojów-



kami linczującymi cywilów i nalotami myśliwców na miasta wschodniego wybrzeża. Ale z pewnością pograżałaby się w prawnym i politycznym chaosie. Proces podejmowania decyzji w Kongresie zostałby całkowicie sparaliżowany. Rola USA w sojuszach i organizacjach międzynarodowych stałaby się niejasna – bo nie byłoby nawet wiadomo, kto reprezentuje Waszyngton w negocjacjach. Giełdę czekałby krach, sędziowie mogliby zacząć stosować konstytucję na własną rękę, jako podstawę do wydawania wyroków.

Z czasem ta instytucjonalna anarchia mogłaby rzeczywiście dopuścić do wybuchu zbiorowej przemocy na ulicach. Od takiej rzeczywistości Amerykę dzieliło zaledwie kilka zdań wypowiedzianych przez ultrakonserwatywnego Republikanina.

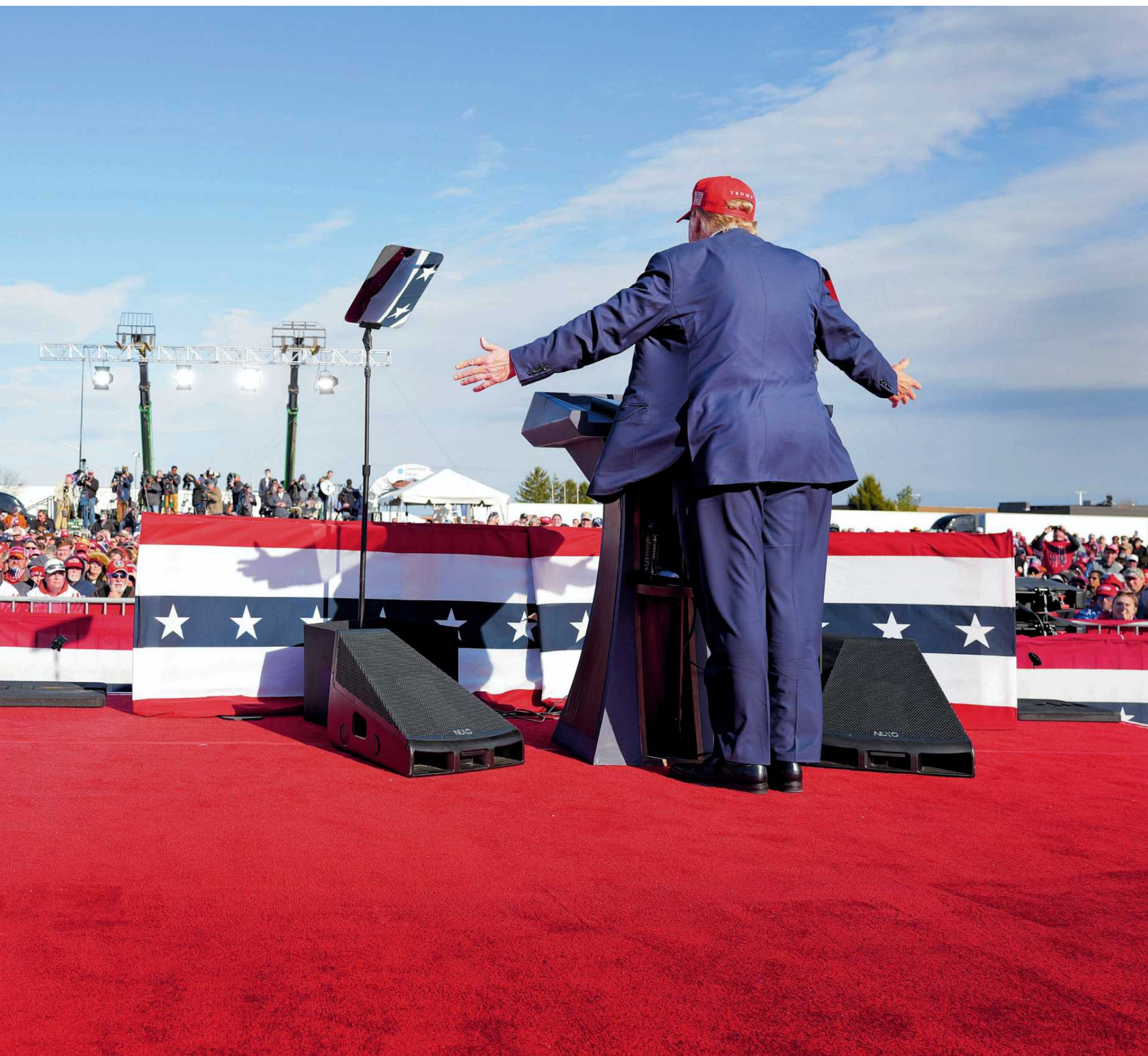
Ta historia jest dzisiaj ważna nie tylko jako źródło mniej lub bardziej przesadzonych publicystycznych tyrad. Pence to dla ruchu MAGA i samego Trumpa przeszłość, symbol zdrady i projektu zatrzymanego w pół drogi. Teraźniejszością i przyszłością zarazem jest dla nich J.D. Vance, kandydat na wiceprezydenta, który już publicznie powiedział, że gdyby był wtedy na miejscu Mike’a Pence’a, zachowałby się dokładnie odwrotnie.

Heros z doliny krzemowej

Obaj – i Trump i Vance – to politycy żywiący głęboką pogardą dla praworządności i niezależności instytucji. Ten pierwszy udawał to wielokrotnie, podkreślając, jak bardzo zależy mu na wymianie kadrowej w sądach wszystkich szczebli. Nominowanie jak największej liczby sędziów było jego obsesją. Regularnie atakował współpracowników w Białym Domu i pracowników Departamentu Sprawiedliwości za powolne jego zdaniem tempo zmian personalnych. Ustawienie Sądu Najwyższego w proporcjach 6:3 dla Republikanów uważa do dzisiaj za jeden ze swoich największych sukcesów.

I być może akurat tu ma rację, bo ten układ niezwykle trudno zmienić, a ostatnie decyzje sędziów jednoznacznie pokazują, że organ ten krzywdy Trumpowi nie zamierza robić.

W kontekście pogardy dla zasad ciekawsza jest jednak osoba Vance’a, choć to polityk młody, zaledwie 39-letni, niedoświadczony. Po raz pierwszy na publicznym stanowisku zasiadł niecałe dwa lata temu, wygrywając wybory do Senatu w swoim rodzinnym stanie, Ohio. Amerykanie znają go doskonale z autobiograficznej opowieści „Hillbilly Elegy” (w Pol-



sce „Elegia dla bidoków”), historii o wspólnym wykluczeniu i negatywnych skutkach globalizacji w tak zwanym Paśmie Rdzy, północno-wschodniej części USA niegdyś silnej siłą przemysłu ciężkiego i wydobywczego, dzisiaj zmagającej się z wielkim bezrobociem.

Politycznie jednak Vance pod wieloma względami pozostaje nadal zagadką, może poza jednym aspektem. Coraz więcej wpływowych Republikanów, a przede wszystkim sponsorów partii wywodzących się z Doliny Krzemowej, widzi w nim autentycznego politycznego geniusza. Właśnie dlatego, że jeszcze wyraźniej od Trumpa krzyczy o tym, jak bardzo gardzi zasadami demokratycznego państwa prawa.

Z tego punktu widzenia wielka miłość, jaką Vance’a obdarzają technologiczni potentaci, nie powinna dziwić. Dostrzegają w nim po prostu jednego z nich, bratnią duszę. Człowieka o identycznym do ich własnego pojmowaniu rzeczywistości. Nie tylko dlatego, że Vance zna ich świat, bo po studiach prawniczych na Yale spędził kilka lat, pracując w firmach inwestujących w spółki technologiczne. Symbioza Doliny Krzemowej i młodych Republikanów spod znaku Vance’a jest jednak głębsza, bo dotyczy rozumienia progresu.

Politycznie J.D. Vance pod wieloma względami pozostaje zagadką, poza jednym: **jeszcze wyraźniej od Trumpa krzyczy o tym, jak bardzo gardzi zasadami demokratycznego państwa prawa**

• Na zdjęciu: Senator J.D. Vance wbiega na scenę podczas wiecu Republikanów w mieście Vandalia w Ohio w marcu tego roku. Tam czeka na niego Donald Trump, kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych FOT. SCOTT OLSON/GETTY IMAGES

Zasady są dla idiotów

Peter Thiel, patron i były szef kandydata na wiceprezydenta, czy Elon Musk, jego wielki zwolennik i sponsor kampanii, są jednymi z głównych wyznawców idei rozwoju poprzez niszczenie starego porządku. Ich zdaniem tego właśnie w tej chwili potrzeba Ameryce – więc Trump i Vance będą dla niej idealnymi przywódcami. Zasady są dla ludzi małych, leniwych, wręcz głupich. Wybitne jednostki się na nie w ogóle nie oglądają, tworząc w ten sposób nowy, wspaniały świat.

Vance jest więc ucieleśnieniem współczesnej idei geniuszu, rozumianej jako realizacja celów za wszelką cenę, nawet kosztem łamania norm, ignorowania zasad. Liczy się efekt końcowy, droga do jego osiągnięcia jest drugorzędna.

Słuchając niektórych Republikanów wychwalających dziś polityczne talenty Vance’a i Trumpa, można wręcz odnieść wrażenie, że powtarzają refren doskonale w Stanach Zjednoczonych znany – tylko nie z przestrzeni politycznej. Hasło „poruszaj się szybko i niszcz rzeczy po drodze” jest przecież założycielską mantrą Facebooka, mottem życiowym twórcy platformy, Marka Zuckerberga. On wprowadził sympatię po stronie Republikanów nie ulokował, ale już

wielu innych miliarderów z sektora technologicznego, podobnych mu wynalazców-biznesmenów – jak najbardziej.

Najlepszym przykładem tego trendu jest tu oczywiście Elon Musk, który oficjalnie ogłosił poparcie dla Trumpa niedługo po zamachu z 13 lipca. Jak zauważają co bardziej wnikliwi komentatorzy amerykańskiej sceny politycznej – przytoczyć w tym miejscu należy, chociażby prof. Daniela Dreznera z bostońskiego Tufts University, nie ma co doszukiwać się związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy samym zamachem a deklaracją Muska. Twórca Tesli i właściciel platformy X i tak prędzej czy później opublikowałby jakiś wpis wspierający kandydata Republikanów.

Jedyne, czego opinia publiczna nie знаła, to data takiej publikacji – Musk wykorzystał więc sprzyjające okoliczności medialne wywołane atakiem na Trumpa. Gdyby do zamachu nie doszło, poparcie ogłosiłby przy okazji innego wydarzenia – sugeruje prof. Dreznier, wskazując jako prawdopodobną alternatywę przedstawienie Vance’a jako kandydata na wiceprezydenta w czasie konwencji Republikanów w Milwaukee.

To miliarderzy chcieli vance’a?

Niewykluczone – choć nie ma na to twarde dowodów i prawdopodobnie nigdy się nie pojawią – że pomiędzy samym Trumpem a Muskiem i związaną z nim grupą darczyńców z Doliny Krzemowej istniał nieformalny układ, zależny właśnie od nominacji Vance’a. Miliarderzy mieliby obiecać Trumpowi pokątne wpłaty na kampanię, jeśli ten rzeczywiście zdecydowałby się wybrać 39-latkę jako swojego potencjalnego następcę.

Taką hipotezę postawili w ubiegłym tygodniu komentatorzy Financial Timesa Edward Luce i Gideon Rachman – i warto się jej przyjrzeć. Gdyby bowiem okazała się prawdą, świadczyłoby to o długofalowej strategii i zmieniających się preferencjach najważniejszych graczy w sektorze technologicznym. Ich kandydatem tak naprawdę jest J.D. Vance, ale ponieważ sam nie ubiega się (jeszcze) o urząd prezydenta, Thiel i Musk muszą, niejako przy okazji, popierać Trumpa – choć nie w nim widzą przyszłość Partii Republikańskiej i całego kraju.

To Vance jest dzisiaj w amerykańskiej polityce „genialnym dzieckiem”. Również dlatego, że – podobnie jak Musk w swoich biznesach – maodwagę nie tylko myśleć, ale mówić głośno o rzeczach dla innych nie do pomyślenia. Tu akurat wykorzystuje słabość Demokratów, którzy często zasad trzymają się aż nazbyt kurczowo. To problem nie tylko amerykański, politycy z szeroko pojętych obozów progresywnych i liberalnych często cierpią na ogromny imposybilizm. W przypadkach łagodnych objawia się on strachem przed wprowadzaniem ryzykownych rozwiązań w polityce publicznej, ale w stanach zaawansowanych, wręcz patologicznych, przyjmuje formy strasznego samoograniczania się. Nie chodzi tu o lęk przed złamaniem czy choćby naganiem powszechnie obowiązujących zasad, ale często nawet o brak odwagi na poziomie politycznej wyobraźni czy dyskursu publicznego.

Talent i narcyzm

Vance i inni politycy z zyskującego na znaczeniu w USA nurtu Nowej Prawicy nie mają z wyobrażaniem sobie niemożliwego żadnych problemów. Stwierdzenia, które nawet najbardziej konserwatywnym Demokratom nie przeszłyby przez gardło, przez nich wypowiedzane są z łatwością. Elon Musk czy Peter Thiel w takiej retoryce odnajdują się doskonale, bo ich sukces wywodzi się właśnie z tego rodzaju myślenia.

O ile jednak w biznesie, zwłaszcza związanym z innowacjami technologicznymi, niezgoda na status quo jest wręcz wskazana, bo pcha w kierunku nowych konstrukcji, odkryć i rozwiązań, to już w polityce całkowite ignorowanie zasad jest receptą na katastrofę. W tym kierunku zmierza



• Byli premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson i jego spin doktor Dominic Cummings na Downing Street, podczas wieczoru wyborczego w 2019 roku FOT. ANDREW PARSONS/EYEVINE/EAST

w tej chwili Ameryka, gloryfikując styl rządzenia proponowany przez Vance’a.

Helen Lewis, szefowa londyńskiego biura magazynu „The Atlantic”, pracująca w tej chwili nad książką o współczesnym pojmowaniu geniuszu definiuje to zjawisko jako „zderzenie talentu i narcyzmu”. Ta definicja jest szczególnie przydatna do obserwacji populistycznych polityków – Trumpa, Vance’a, a w Europie także Borisa Johnsona, czy też jego kluczowego doradcy i spin doktora, Dominica Cummingsa. Wszyscy oni są głęboko przekonani o swojej wybitności i przewadze nad konkurentami, choć jej źródeł upatrują w różnych miejscach.

Cummings, jak opowiadała Helen Lewis w niedawnej rozmowie z brytyjskim politologiem i podcasterem Davidem Runcimannem, uważał po prostu, że jest mądrzejszy od innych. Nie zależało mu na byciu lubianym wśród współpracowników, miał wręcz ujemne kompetencje społeczne. Satysfakcję czerpał wyłącznie z tego, że ktoś przyznawał mu rację – lub że opinia publiczna uważała go za „mózg” brytyjskiego rządu czasów Johnsona.

Vance jest silnie przekonany o swojej unikatowej trajektorii życiowej, która ma dawać mu podstawy do politycznego sukcesu. W opowieści o sobie samym łączy mit amerykańskiego awansu społecznego z historią wykluczenia i głębokim sprzeciwem wobec politycznego establishmentu ostatnich dziesięcioleci. W wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Iana Warda z POLITICO Magazine powiedział wręcz, że do rozpoczęcia kariery politycznej pchnęła go niezgoda na istniejący według niego konsensus wokół sukcesu globalizacji. Vance inaczej niż stare elity Demokratów i Republikanów postrzega progres i jego konsekwencje. Wardowi mówił wprost, że „nie kupuje ani trochę” historii, według której wszystko w Ameryce w ostatnich kilkunastu latach szło w dobrym kierunku.

Z jego punktu widzenia było dokładnie odwrotnie – nawet jeśli on sam był wyrażnym beneficjentem nie tylko dobrze działających amerykańskich instytucji, ale też samej globalizacji. Z biedy wydzwignęło go wojsko, które wsparło go też finanso-

wo w okresie edukacji wyższej (co w Ameryce akurat typowe). Majątku szacowanego przez magazyn Forbes na 10 mln dolarów dorobił się w jak najbardziej zglobalizowanej Dolinie Krzemowej. W wypowiedziach publicznych skupia się przede wszystkim na atakowaniu Partii Demokratycznej za to, że zapomniała o amerykańskim interesie narodowym. Stąd jego głębokie przekonanie o słuszności izolacjonistycznego kursu w polityce zagranicznej, osłabieniu zaangażowania USA w sojuszach międzynarodowych, sprzeciwie wobec pomocy finansowej i militarnej dla Ukrainy.

Vance nie boi się też być ikonoklastą politycznym. Jeszcze bardziej od Trumpa nie nawidzi amerykańskich sędziów, nie wierzy w ideę niezależności wymiaru sprawiedliwości. To łączy go z potencjalnym przyszłym szefem – i chociażby z tego powodu nie należy się spodziewać, że sądy będą w stanie w jakikolwiek sposób skutecznie ograniczać Trumpa i jego administrację w ewentualnej drugiej kadencji.

Mowa tu nie tylko o Sądzie Najwyższym, ale także o organach niższej instancji. Vance i Trump, współcześni geniusze polityczni Republikanów, wolą prosić o wybaczenie niż o pozwolenie, choć to pierwsze i tak prawie nigdy się nie zdarza. Vance zapelował wprawdzie w 2021 roku na antenie Fox News, by wyborcy zapomnieli o jego krytycznych wypowiedziach pod adresem Trumpa sprzed kilku lat – ale nazwanie tego prośbą o wybaczenie byłoby sporym nadużyciem.

Czas geniuszy

Geniusz Vance’a polega więc na sprzedawaniu autentyczności, Cummingsa – na proponowaniu rozwiązań, które są bardzo śmiałe, ale też często możliwe do zrealizowania jedynie przy pogwałceniu norm demokratycznych. Tak było z brexitem, do którego przepchnięcia Johnson musiał mocno zredukować rolę parlamentu. Cummings wielokrotnie – i z dumą – podkreślał potem, że to on był inspiratorem tej strategii. Kompletnie nie obchodziło go przy tym, że narusza obowiązujące od setek lat zasady.

Sam Johnson, podobnie jak Trump w USA, uważa siebie za genialnego właśnie dlatego, że stworzył antyestablishmentowy styl uprawiania polityki, który działa. Sprawdził się, zyskał poparcie mas, pozwolił wygrać wybory – i to ze znakomitymi rezultatami. Partia Konserwatywna w Wielkiej Brytanii najlepszą pozycję w parlamencie w ostatnich latach miała właśnie za czasów Johnsona, a Trump pokonał przecież faworytkę elit, Hillary Clinton, niosąc jeszcze na swoich barkach Republikanów do sukcesów w Senacie i Izbie Reprezentantów.

Z tej czwórki jednak to Vance ma przed sobą zdecydowanie najjaśniejszą polityczną przyszłość. Na jego wiecach pojawiają się już nawet zwolennicy w t-shirtach, na których twarz 39-latkę umieszczona jest na słynnym Mount Rushmore, obok Jęzgo Waszyngtona, Thomasa Jeffersona, Theodore’a Roosevelta i Abrahama Lincolna. Znaczą to, że jego elektorat widzi w nim nie tylko przyszłego prezydenta, ale też męża stanu. Kogoś, kto skieruje republikę na całkowicie nowe tory, wprowadzi w inną epokę. Dokona przełomu, wyprowadzi z marazmu, za który odpowiedzialne są bieżące elity. Nie tylko te związane z Partią Demokratyczną – Nowa Prawica w podobnym stopniu nie znosi niechętnych Trumpowi „klasycznych” Republikanów, jak Mitt Romney czy Liz Cheney.

J.D. Vance ma też nad Trumpem jeszcze jedną przewagę – przy awersji do elit ceni sobie jednocześnie wartość intelektualnej debaty, przynajmniej deklaratywnie. Sam przyznaje, że lepiej czuje się w wąskim gronie sympatyków dyskutujących o ideach konserwatyzmu, niż na wielotyśięcznym wiecu.

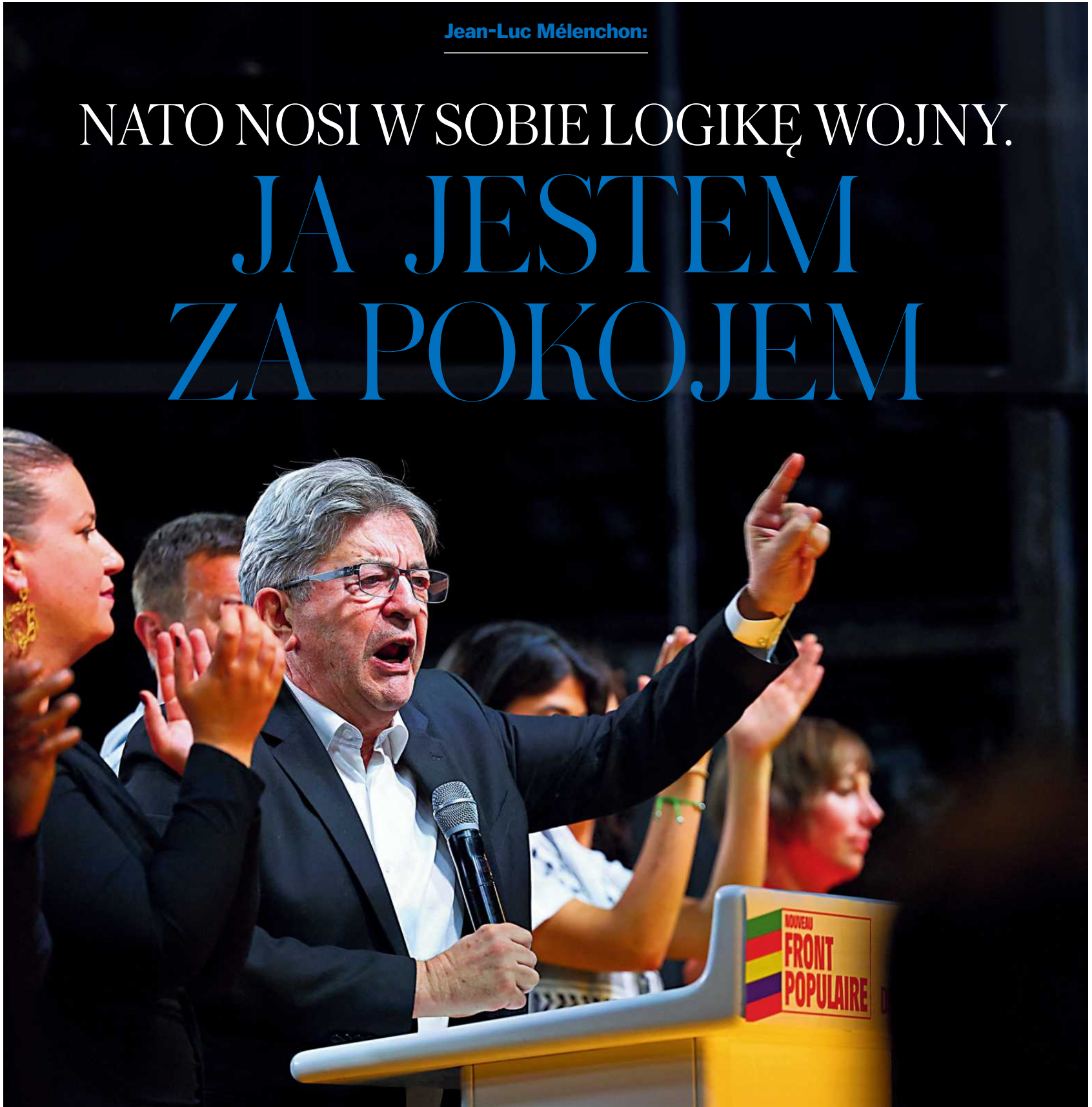
Młodzi republikańscy publicyści i intelektualiści widzą w nim idola, który Nową Prawicę może skutecznie zakotwiczyć w głównym nurcie amerykańskiej polityki. Redaktorzy internetowego magazynu Compact, jednego z bardziej ambitnych głosów konserwatyzmu za oceanem, już w kwietniu ubiegłego roku napisali, że „Vance jest przyszłością Partii Republikańskiej”. Jak podsumowuje Ian Ward z POLITICO, wskazanie go przez Trumpa jako kandydata na wiceprezydenta oznacza, że i on zgadza się z taką oceną sytuacji.

Kamala kontra J.D.

Symbioza Vance’a z Doliną Krzemową nie jest oczywiście całościowa, przynajmniej na razie. Tę relację warto jednak obserwować w najbliższych miesiącach, zwłaszcza w kontekście zastąpienia Joeego Bidena Kamalą Harris u Demokratów. Obecna wiceprezydent wywodzi się przecież z Kalifornii i sama ma dobre relacje z technologiczną stolicą świata, chociaż niekoniecznie z jej liderami czy najbogatszymi przedstawicielami.

Choć to Harris jest teraz główną kandydatką Demokratów, pod wieloma względami właśnie Vance, a nie Trump, będzie jej najważniejszym przeciwnikiem. Wpływy w sektorze technologicznym są w tym starciu o tyle ważną areną, że to tam w tej chwili znajduje się centrum amerykańskiej władzy. Oksfordzki historyk prof. Timothy Garton Ash, już w październiku 2016 roku, a więc chwilę przed triumfem Trumpa ostrzegł w swoim wykładzie na Uniwersytecie Stanforda, że w Stanach Zjednoczonych doszło do odwrócenia ról w tworzeniu zasad przestrzeni publicznej – a więc i demokratycznego państwa. Dawniej to liderzy przemysłu i później biznesu pielgrzymowali do Waszyngtonu po radę i przede wszystkim po pomoc. Dzisiaj ta pielgrzymka odbywa się w przeciwnym kierunku. Waszyngtońscy politycy jeżdżą do Doliny Krzemowej, bo są w wielu aspektach po prostu na łasce szefów koncernów technologicznych. Te dwa światy prędzej czy później musiały się spotkać, połączyć w jedno. To właśnie z tej fuzji wyłonił się James David Vance – polityczny geniusz na miarę naszych czasów. ●

Zasady są dla ludzi małych, leniwych, wręcz głupich. Wybitne jednostki się na nie w ogóle nie oglądają, tworząc w ten sposób nowy, wspaniały świat



FOT. FABRIZIO BENSCH / REUTERS

– **Macron musi zaakceptować rezultat wyborów.**

Jeśli nie, zostaje tylko jedno demokratyczne wyjście z kryzysu: dymisja prezydenta

– mówi lider Francji Niepokornej, największej partii w Nowym Froncie Ludowym, który niespodziewanie wygrał wybory z 7 lipca.

Marta Kielczewska-Konopka Paryż

Po wyborach parlamentarnych rząd Gabriela Attala nadal istnieje, a macronistka Yael Braun-Pivet głosami prawicy ponownie została wybrana na przewodniczącą Zgromadzenia Narodowego. Wszystko się zmienia, aby nic się nie zmieniło. Czy taki jest pana zdaniem plan Emmanuela Macrona?

– Rozwiązując parlament, prezydent dążył do wyjaśnienia sytuacji politycznej. To jego słowa, nie nasze.

W dziesiątkach sondaży i komentarzy skrajnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe było faworytem, my byliśmy z tyłu. Wyniki wyborów okazały się dokładnie odwrotne.

Gdyby prezydent zaakceptował wynik głosowania, jak to jest w innych demokracjach, powołałby kogoś z Nowego Frontu Ludowego (NFP) na premiera. On natomiast stwierdził, że nikt wyborów nie wygrał. Tymczasem uzyskaliśmy większość relatywną – jak on w 2022 r. Prezydent chce wymazać polityczne znaczenie głosowania. Do tego stopnia, że kryzys polityczny staje się kryzysem systemu. Wybory zwykle służą do eliminowania kryzysów, a nie do tworzenia nowych. Tymczasem właśnie z tym mamy do czynienia od 2017 r., kiedy rozpadł się dawny system zmiany u sterów władzy między prawicą i lewicą.

Ten kryzys polityczny wkroczył teraz w kolejną fazę. Macron wyczerpał swoją zdolność do reprezentacji politycznej, stosując zajadłą politykę neoliberalną, która już dawno zawiodła. Teraz zaprzecza wynikom wyborów. Im dłużej będzie to czynił, tym bardziej będzie zmierzał w stronę kryzysu systemowego. Jego początkiem jest obecna blokada polityczna.

Dlaczego lewica wciąż nie jest w stanie wskazać swojego kandydata na premiera?

– Dyskusje są w toku. Minęło 12 dni [wywiad przeprowadzono w ubiegły piątek – red.] od ogłoszenia wyników wyborów. Nie zapominajmy, skąd startowaliśmy: udało nam się we Froncie osiągnąć porozumienie w ciągu 24 godzin. A w 48 godzin podzielić okręgi wyborcze dla wspólnych kandydatur. Opracowanie programu zajęło nam pięć dni.

To niewiele w porównaniu z Niemcami, którym utworzenie rządu zajęło osiem miesięcy, czy Hiszpaniami, którym zajęło to pięć miesięcy. We Francji nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

Fakt, że tak szybko udało wam się zbudować sojusz, rozbudził nadzieje wśród lewicowych wyborców. Stąd tak duże rozczarowanie, że nie udaje wam się dogadać.

– Zaczniemy od początku. Najpierw udało się nam porozumieć, następnie wygraliśmy wybory. Od tego momentu, już od powyborczego poniedziałku, socjaliści powtarzają do upadłego: „Mélenchon nie będzie premierem”. Ponoć dlatego, że jestem postacią polaryzującą. Czy inni tacy nie są?

Od początku Partia Socjalistyczna blokuje wszystko, co nie jest nią. Moja partia Francja Niepokorna (LFI) zrezygnowała z mojej kandydatury, a następnie przedstawiła listę trzech nazwisk. Socjaliści postavili weto. Zaproponowaliśmy Huguette Bello. Znow weto. Co mamy jeszcze zrobić?

Mówi się o kandydaturze poszerzającej bazę w Zgromadzeniu Narodowym. Przedstawiliśmy wspólnego kandydata na marszałka. Ale został odrzucony. Gdzie są partnerzy do rozszerzenia bazy?

Zdaniem liderki Zielonych Marine Tondelier negocjacje się przeciągają z powodu wojny o przywództwo we Froncie Ludowym między pańską Francją Niepokorną a socjalistami.

– Obecna sytuacja jestem jeszcze bardziej rozczarowany niż Tondelier. Z czego wynika to bezustanne weto? Powiedzmy otwarcie: nie ustąpimy w sprawie wdrożenia w życie naszego programu. Całego programu.

Polityka we Francji cierpi na polityków, którzy mówią jedno, a robią drugie. Trzeba położyć kres temu bezustannemu kłamstwu.

Wasze wspólne rządy nie wychodzą z kadłuba

– Jest w tym trochę racji. Ale ufam, że się uda. Wspólne działanie łączy. Socjaliści nie wybrali drogi kompromisu. Odrzucili naszą kandydatkę na premiera i chcą narzucić nam panią Laurence Tubiana. W dodatku zażądali zorganizowania przesłuchania pani Bello. Dlatego że to kobieta z mniejszości pochodząca z terytoriów zamorskich? Francuzi mają często przerażającą mentalność postkolonialną i nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

Czy powstał wokół pana kordon sanitarny, jak wokół skrajnej prawicy?

– To wynik kilku miesięcy nieustannego znęcania się nad nami. Zgodnie z zasadą, która stała się ogólnością: lider radykalnej lewicy jest systematycznie oskarżany o antysemityzm.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś podobnego we francuskim życiu politycznym.

Zarzuca się panu podtrzymanie dwuznaczności w tym względzie, by – odmawiając uznania Hamasu za organizację terrorystyczną po atakach z 7 października – zdobyć głosy francuskich muzułmanów.

– To hańba, odwrócony rasizm. Muzułmanie mieliby być z definicji antysemitami?

Dlatego ja, mając ponad 70 lat i biorąc pod uwagę całą moją działalność polityczną, miałbym nagle stać się antysemitą? Uważam te oskarżenia za podłe. Są raniące, zaprzeczają mojemu życiu. Przewodniczący Senatu powiedział mi, żeby „trzymać głowę na klódce”. A kiedy wyciągnę pana Hollande’a i otrzępano go z naftaliny, pierwsze jego słowa po wyborze do parlamentu brzmiały: „Niech milczy”.

Człowiek, który zrujnował lewicę i doprowadził ludzi do obrzydzenia naszą opcją polityczną, każe mi się zamknąć – to przemoc. Nikt nigdy nie był traktowany we Francji tak jak ja, nawet Le Pen.

Jeśli zaś chodzi o Hamas, trzymaliśmy się prawa międzynarodowego. Sto razy mówiłem, że dla mnie atak Hamasu jest aktem terroryzmu. Wraz z Nowym Frontem Ludowym podpisaliśmy cały rozdział przeciwko antysemityzmowi, która wspomina również o walce z islamofobią.

Ale jest również jasne, że nie akceptuję określenia mianem ter-

rorystów organizacji, która jest zaangażowana w walkę z państwem kolonialnym. Jestem krytykowany za moją walkę przeciw ludobójstwu. Oskarża się mnie o antysyjonizm? Nie wszyscy są zgodni, że antysyjonizm równa się antysemityzmowi.

Czy pana wypowiedzi nie zwiększają podziałów na lewicy?

– Mówimy: podpisaliśmy program, więc będziemy go realizować. Na to nam mówią, że trzeba „uspokoić relacje”. Całkowicie się z tym zgadzamy: uspokójcie się, przestańcie nas obrażać i rzucać w nas kamieniami.

Przestańmy wierzyć, że żyjemy w świecie życzliwości i przyzwoitości. Nie! We Francji toczy się straszliwa walka. W jej wyniku jesteśmy krajem, w którym ubóstwo wzrosło jak nigdzie indziej, gdzie milionerzy wzbogacili się najbardziej w całej Europie, co stworzyło olbrzymie nierówności i zniszczyło usługi publiczne w niespotykanym dotąd stopniu.

Czy bogacze, którzy korzystają z systemu przez ostatnie 10 lat, zaakceptują fakt, że nagle impreza się skończyła? Tu leży pies pogrzebany.

Ponoć chęć realizacji naszego programu oznacza nieprzejednaną postawę. To jak nazwać porzucenie go?

Mając zaledwie 193 posłów w 577-osobowym parlamencie, jak można wdrożyć w życie „cały program”, jak pan zapowiedział?

– Trzeba grać w grę demokratyczną. Tak się robi w każdym kraju. Jeśli inni nie chcą, abyśmy wdrożyli w życie nasz program, niech zgłoszą wotum nieufności, jeśli mają odwagę. Nie chcemy politycznych sztuczek. Nie jesteśmy nieprzejednani, po prostu szanujemy demokrację. To coś nowego we Francji.

Jeśli uda się wam już porozumieć w sprawie premiera, co jeśli Macron odmówi jego nominacji?

– Dojdzie do przesilenia reżimu. Nie wiemy, jak długo potrwa ta komedia Macrona, który zarządzając wyborami celowo stworzył kryzys.

Doszło do głosowania. Kryzys się zaostrzył. Ale osoba za niego odpowiedzialna nie wyciąga żadnych wniosków. To my powinniśmy ustąpić? Nie! Musi zaakceptować rezultat wyborów. Jeśli nie, zostaje tylko jedno demokratyczne wyjście z kryzysu: dymisja prezydenta.

To jedyne rozwiązanie?

– Jeśli prezydent będzie uparcie zaprzeczał wynikom wyborów, doprowadzi do takiego kryzysu, że nie bę-

dzie innego wyjścia. Posłowie Francji Niepokornej nie mogą sami rozwiązać Zgromadzenia Narodowego. Co mamy zrobić? To wszystko jest z góry wiadome. Jeśli wszyscy wszystko zablokują, szybkowar wybuchnie. I tyle. Nie trzeba być wielkim strategiem, żeby to zrozumieć. Lepiej więc dopuścić Nowy Front Ludowy do rządów!

Co chce pan powiedzieć przez „wybuchnie”?

– Kryzys sięgnie dna, wymknie się spod kontroli.

Ci, którzy uratowali lewicę i Republikę [przed zagrożeniem skrajnej prawicy], ludzie młodzi i z dzielnic robotniczych, których udało nam się skłonić do wzięcia udziału w wyborach, powiedzą: „to wszystko nie ma sensu”.

To my do nich wyszliśmy. Mamy więc bezwzględny obowiązek dotrzymać słowa.

Jednym z zarzutów pod naszym adresem jest to, że zbytby koncentrujecie się na dzielnicach robotniczych i całkowicie zaniedbujecie obszary wiejskie i peryferie Francji. Jak Francja Niepokorna może przemawiać do tej Francji, która głosuje na Marine Le Pen?

– Ta opowieść o wiejskiej Francji oderwanej od interesów miasta nie odpowiada ani rzeczywistości wyborczej, ani socjologicznej.

Uluda jest sądzić, że ci, którzy kiedyś głosowali na lewicę, teraz głosują na Le Pen. Poglądy tych ludzi się nie liczą? Dlaczego negować fakt, że są rasistami lub sekсистami? Co najmniej 30 proc. klasy robotniczej zawsze głosowało na prawicę. Klasa robotnicza składa się z istot ludzkich zdolnych do zmiany poglądów. To nie innego jak dynamika przekonań. Lewica była nieobecna bądź odpowiedzialna za polityki, które uderzały w lud.

Kiedy kopalnie i fabryki zostały zamknięte pod rządami lewicy, nie było alternatywy politycznej. Albo głosowałeś na lewicę i akceptowałeś zamknięcie swojej fabryki, linii kolejowej czy szpitala położniczego, albo przychodzili ludzie, którzy ci mówili: „to wina Arabów”.

Stworzyliśmy alternatywę polityczną wobec neoliberalizmu – Front de Gauche – w 2008 r., a potem powstała Francja Niepokorna. I to był kroczący sukces: w pierwszych wyborach prezydenckich 12, w drugich 19, w 2022 r. – 22 proc. Ta strategia działa.

Zajęliśmy się problemem od innej strony. Powiedzieliśmy: „Musimy skłonić lud, który stroni od wyborów, żeby głosował”.

Nasi przeciwnicy uczynili inne równanie: dzielnice robotnicze są synonimem muzułmanów, a ci – terrorystów bądź antysemitów. Wychodząc z takich założeń, nigdy nikogo nie włączymy.

Naszym punktem wyjścia jest rzeczywistość społeczna: ludzie mieszkający w dzielnicach robotniczych i ich godność, szacunek, na jaki zasługują. Mają prawo praktykować religię, jaką tylko chcą. Biorąc pod uwagę, że 60 proc. Francuzów w ogóle nie wyznaje żadnej religii.

Czy w kwestiach takich jak siła nabywcza, miejsca pracy i usługi publiczne nie można odyskać wyborców RN?

– Nieustannie się o to staramy: płaca minimalna na poziomie 1,3 tys. euro, przywrócenie oddziałów położniczych, ponowne otwarcie szkół. Ale to nie starcza! To nie działa, ponieważ ich priorytet jest rasistowski.

Wielu ludziom trudno jest zaakceptować fakt, że istnieją rzesze rasistów. A ich problemem numer 1 są Arabowie i czarni. Skupiają się na imigracji, bezpieczeństwie. I na wszystkich innych kwestiach, którymi są nieustannie karmieni przez media.

Trzeba wyjść do tych, którzy nie głosują, ale są otwarci na dialog.

Do zwycięstwa trzeba by przekonać do siebie więcej Francuzów niż tych 7,7 mln (21,95 proc.), które głosowało na pana w 2022 r.

– Aby zmienić sytuację, musimy nadal stosować metody, które działają. I na wracać do starych, które wszystko zniszczyły: kłamstwa, zdrady, załatwiania spraw między sobą, dzielenia się stanowiskami i zaprzeczanie rzeczywistości, która dotyczy ludu.

Dzięki naszej strategii zyskujemy poparcie i ono będzie rosło. Każda inna zaprowadzi nas z powrotem do punktu wyjścia, czyli do kłamliwej lewicy i hegemonii faszystów. Nie ma alternatywy.

We Francji istnieje klasa medialna, która nas demonizuje. To zrozumiałe. Francuska klasa dominująca jest szczególnie: przed wojną ich slogan brzmiał „Raczej Hitler niż Front Ludowy”. Ci, którzy byli potem w ruchu oporu, stanowili znikomą mniejszość. Ale opierali się na dążeniu do wolności i godności dla wszystkich klas społecznych.

Program oporu z zasady jest radykalny. Nie łagodzi się go, by wygrać. Bo właśnie w tym celu jest radykalny.

Partia Le Pen wydaje się być bardziej skuteczna w swojej normalizacji na scenie politycz-

nej. Wasza stawia na rewolucyjne zmiany.

– Nie zwracamy się do tych samych wyborców. Normalizacja oznaczałaby nasz koniec. Le Pen chce zostać naturalnym liderem całej prawicy i robi wszystko, by to osiągnąć. W całej Europie prawica skręca coraz bardziej na prawo i nie ma już problemu z kontaktami z rasistami. Doszło już do tego raz na początku ubiegłego wieku, czyż nie? Czy to dlatego, że nie nosiliśmy krawata w parlamencie, Hitler, Mussolini i Franco doszli do władzy? To ogólne warunki tworzą rezultaty polityczne, a te warunki są tworzone przez neoliberalów i ludzi bez kręgosłupa, którzy odmawiają podjęcia decyzji przeciwko sprawującym władzę. Le Pen stara się pozyskać prawicę, a prawicy może udać się pozyskać większość wyborców tylko jednym, co wszyscy tam podziwiają: rasizmem.

Czy pana celem są kolejne wybory prezydenckie?

– Wreszcie wejdziemy do drugiej tury. Wówczas powiemy: „Wybierajcie, tylko nie sądzcie, że to nie jest wybór”. Reszta to demokracja. Pokłonimy się przed wynikiem. Jeśli kraj zgłasza na faszystów, będziemy mieli faszystowski rząd we Francji.

Jaka jest alternatywa? Stać się „przyzwoitym”, siedząc cicho, akceptując, że nasz program popadnie w zapomnienie, ponieważ uniemożliwia spokój społeczny? Każda próba wyjścia z naszej roli jest zaprzeczeniem demokracji, a to z kolei prowadzi do faszyzmu.

Jeśli popełnilibyśmy głupstwo, poddając się, akceptując rząd „frontu republikańskiego”, za jednym zamachem dajemy partii Le Pen 10 punktów procentowych poparcia.

W jaki sposób można zintegrować europejskie zasady budżetowe z waszym programem?

– Europa twierdzi, że Francja ma nadmierny deficyt? Zgadza się. Ale jeśli zaleca nam cięcia w usługach publicznych, nam to nie odpowiada. NFP oparłby się na decyzji Unii Europejskiej, by zwiększyć dochody.

Nie mówimy, że zamierzamy opuścić Unię lub strefę euro. Opracowaliśmy jednak zasadę nieposłuszeństwa w przypadku podważania naszego programu wynikającego z woli ludu.

Czy to nieposłuszeństwo oznaczałoby nieprzestrzeganie traktatów handlowych?

– W razie konieczności istnieje opt-out, którą stosowali Brytyjczycy w odniesieniu do długości godzin pracy, płacy minimalnej, itd. Rozbić Europę może absolutna odmowa

Macron: nowy rząd najwcześniej po zakończeniu Igrzysk Olimpijskich

Po 16 dniach negocjacji, które niemal doprowadziły sojusz lewicy do rozpadu, 23 lipca koalicjanci Nowego Frontu Ludowego (NFP) doszli w końcu do porozumienia w sprawie wspólnego kandydata na premiera. To 37-letnia Lucie Castets, dyrektorka finansów w merostwie Paryża. W wywiadzie udzielonym agencji AFP wymieniła jako swoje priorytety uchylene reformy emerytalnej oraz zatrzymanie regresu usług publicznych. Obiecała przeprowadzić reformę podatkową, by „każdy, zarówno obywatela, jak i korporacje międzynarodowe, płacił swoją sprawiedliwą część”, oraz pracować nad poprawą siły nabywczej poprzez podniesienie płac i świadczeń socjalnych. Wcześniej brak konsensusu sprawił, że zarówno komunistka Huguette Bello, jak i dyplomatką Laurence Tubiana odmówiły ubiegania się o urząd prezesa Rady Ministrów.

Jednak na mianowanie nowego premiera trzeba będzie poczekać co najmniej do połowy sierpnia i wcale nie musi nim być kandydat lewicy, która zyskała najwięcej miejsc w parlamencie – zasugerował Emmanuel Macron w wywiadzie udzielonym telewizji publicznej France 2 i Radio France. Prezydent uznał porażkę swojego obozu, ale zaznaczył też, że „nikt nie wygrał”. Oznajmił, że zmiana rządu teraz wywołałaby „nieporządek”. Wezwał ponownie do „politycznego zawieszenia broni”. – Musimy skupić się na Igrzyskach. Potem, w zależności od postępu dyskusji, w mojej gestii będzie powołanie premiera, który będzie w stanie działać i mieć stabilną pozycję. Prezydent obiecał, że nie będzie kolejnych przyspieszonych wyborów, które mógłby rozpisać dopiero za rok. Odrzucił też hipotezę podania się do dymisji wobec zaostrzającego się kryzysu politycznego w kraju i groźby blokady instytucji.

– Partie powinny stanąć na wysokości zadania powierzonego im przez Francuzów, wyjść poza utarte szlaki, potrafić zawierać kompromisy. Wszystkie europejskie demokracje to czynią. Prezydent ocenił, że zaproponowany przez prawicowych Republikanów (47 mandatów) pakt legislacyjny „idzie w dobrym kierunku”. To 13-punktowa baza możliwej współpracy w parlamencie z blokiem centrowym bez zawierania z nią koalicji. Jej główne osie to: autorytet (zero tolerancji dla braku bezpieczeństwa i stop dla niekontrolowanej imigracji), industrializacja i rozwój francuskiego rolnictwa oraz wzmocnienie usług publicznych na poziomie obywatela. Macron wierzy, że paryskie Igrzyska umożliwią „otwarcie nowego rozdziału”: – Musimy ponownie wzbudzić entuzjazm, zjednoczyć się wokół witającej u siebie świat Francji.

MARTA KIEŁCZEWSKA-KONOPKA, Paryż

uwzględnienia żądań ludu, całkowity priorytet nadany wolnej i niezakłóconej konkurencji. Spójrzmy na Hiszpanię, której udaje się złapać oddech po podniesieniu płacy minimalnej o 30 proc. Gdzie jest ruina, spustoszenie, które niby jej groziło? Wręcz przeciwnie, powstało ponad 800 tys. nowych miejsc pracy.

Nie mam więc nic przeciwko temu, że ludzie nazywają nas radykałami, podczas gdy w naszym programie nie ma ani jednej nacjonalizacji. Spójrzmy raczej na pozytywne sprzężenie zwrotne, który tworzy w gospodarce.

Mówi się, że z powodu pańskiego zażartego antyamerykanizmu jest pan de facto prorosyjski.

– Gdyby Amerykanie w porę zdecydowali się nie uznawać Rosjan za swoich przeciwników, życie w Europie wyglądałoby dziś inaczej. Ale rosyjska inwazja wszystko zmieniła. Francja była czterokrotnie ofiarą inwazji ze strony sąsiada. Jesteśmy całkowicie przeciwni tej metodzie. Dwie godziny po inwazji Rosji na Ukrainę ją potępiliśmy.

Co więcej, jako jedyni we Francji użyczyliśmy gościny rosyjskim lewicowym dysydentom, którzy sprzeciwiają się wojnie.

Nie dysponuję cudownym rozwiązaniem, które wyciągnęłoby nas z wojny. Kreślę tylko konkretne trajektorie, np. demilitaryzację stref wokół elektrowni jądrowych. Jeśli zaczniemy od powiedzenia Rosjanom: „Przegraliście”, sprawimy sobie przyjemność, ale nie posuniemy się ani o metr do przodu.

Macron powiedział, że powinni istnieć wzajemne gwarancje bezpieczeństwa dla pokoju. Kiedy powiedziałem to ja, wywołało to oburzenie. Ale prace nad tym są w toku. I takie byłoby stanowisko Francji, gdybym był u władzy. Ale w przeciwieństwie do Macrona, jestem przeciwny wysłaniu wojsk lądowych, podobnie jak jestem przeciwny przekazywaniu Ukrainie broni dalekiego zasięgu. Wszystko, co zamienia nas w uczestnika tej wojny, jest szaleństwem.

Czy rząd Nowego Frontu Ludowego zmieniłby francuską pomoc wojskową dla Ukrainy?

– Nie, ale nie zgadzam się na przekazywanie Kijowowi samolotów i pocisków zdolnych do zadawania strat 300-500 km w głąb Rosji. Jest wiele rzeczy, które możemy zrobić, aby pomóc: saperzy, obrona powietrzna... Ukraińcy zresztą wcale się na nas nie skarżą.

Czy nadal opowiada się pan za opuszczeniem NATO, nawet w obliczu wojny toczącej się na kontynencie?

– NATO nosi w sobie logikę wojny. Ja wybieram logikę rozbrownienia i pacyfikacji. To linia polityczna, która nie jest tylko mrzonką. Gdybym był w Pałacu Elizejskim, wycofałbym się z jednolitego dowództwa wojskowego NATO. W sposób zaplanowany i zorganizowany. Zwłaszcza w czasie ogólnego zagrożenia wojną, abyśmy nie zostali uwikłani w tę awanturę.

Jak więc dalej bronić Ukrainy?

– Polityka Niepokornych polega na niewiązaniu się z żadnym blokiem politycznym i jest antyglobalistyczna. Wojna ma według mnie priorytet zerowy. Priorytetem jest dla mnie masywna zmiana infrastruktury w celu ograniczenia konsekwencji zmian klimatycznych.

Nigdy nie powiedziałem, że Francuzi porzucą swoich sąsiadów lub Europę. Nie opuszczamy Unii Europejskiej. Jesteśmy Europejczykami – ale nie NATO-wcami. Traktaty europejskie stanowią, że nasza obrona przed agresorami ma charakter zbiorowy. Tak więc środki podjęte przez UE w celu pomocy Ukrainie wspieralibyśmy zależnie od konkretnej sytuacji.

Jeśli chodzi o wybory w USA, jest pan raczej za Demokratami czy Trumpem?

– Nie dotyczy mnie to. Ich polityka jest zdeterminowana przez ich własne interesy. My jesteśmy naiwni, romantyczni co do Ameryki. Większość amerykańskich przywódców nie wie nawet, gdzie leżą nasze stolice. To często prostacy. Nie mówię, że są naszymi wrogami! Ale mam obowiązek ich krytykować.

Czy przyspieszone wybory prezydenckie to jedyny możliwy sposób na wyjaśnienie sytuacji?

– Wszyscy wiedzą, że to prezydent ma pełnię władzy. Francja nigdy nie była w stanie zmienić się inaczej. Nigdy. Zawsze przechodziłśmy od jednej konstytucji do drugiej w przerażającym chaosie.

W perspektywie wyborów prezydenckich w 2027 r. dojście dziś do władzy to dla pana atut?

– Gdybyśmy rządzili, udowodnilibyśmy, że nasze metody przynoszą efekt. Wdrożenie w życie naszej polityki dałoby ludziom taki oddech, że mielibyśmy szansę na wygraną.

W sondażach jest pan najbardziej odrzucanym przez Francuzów politykiem (78 proc.).

– Nieważność sondaży właśnie została udowodniona. Ale media są do nich przywiązane.

Od 2010 r. reaguję na to w ten sam sposób. Już wtedy zadano bardzo miłe pytanie: „czy Mélenchon jest kulą u nogi”? Odpowiedź była w 70 proc. twierdząca. Mam wielkie oczy, gestykuluję, pochodzę z kultury łacińskiej: dla śmietanki towarzyskiej taki facet pachnie siarką. Ale to ja uzyskałem prawie 22 proc. w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2022 r., a socjaliści 1,67 proc. Więc jest mi to obojętne. Jeśli 78 proc. Francuzów mnie nie chce, zostaje mi 22 proc. W drugiej turze wyborów prezydenckich zobaczymy, kogo bardziej nienawidzą: mnie czy Le Pen. ●

Wywiad przeprowadzono w ramach współpracy z europejskimi dziennikami (LENA) wraz z Anais Ginori z „La Repubblica” i Carłą Mascią z „El Pais”



Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Harris jako gamechanger

Nagle Trump wygląda na jeszcze starszego i bardziej obłąkanego

Nie wiem, co będzie działo się dalej – i o to właśnie chodzi. Ciężkie poczucie nieuchronności które roztaczała wokół siebie republikańska konwencja, zostało unieważnione. Kadry po cichu szykujące się do demontażu Ameryki jaką znamy już nie maszerują nieuchronnie do władzy.

Anne Applebaum

Kilka dni po zakończeniu Narodowej Konwencji Republikanów nagle wydaje się ona czymś zupełnie innym, niż wtedy, gdy ją oglądałam.

Robiłam to z przerwami, w telewizji, wraz z około 25 milionami innych Amerykanów (to względnie niewielka liczba, ale wystarczająca, by mieć znaczenie). Skupiłam się na najważniejszych punktach programu, jak większość widzów. Czytałam spływające analizy i myślałam, że dobrze rozumiem, co się wydarzyło.

Ale teraz, wobec odważnej i bezprecedensowej decyzji prezydenta Joe Bidena o wycofaniu się z wyścigu, to, co robili i mówili Donald Trump oraz ludzie z jego partii, nagle nabiera dla mnie całkiem innych znaczeń. Podejrzewam, że dotyczy to również przynajmniej części z pozostałych 25 milionów z nas, widzów konwencji.

Cokolwiek stanie się dalej, zasadnicze ramy tej kampanii się zmieniły. Teraz to Republikanie są obarczeni starszym kandydatem, który nie potrafi przedstawić jasnego argumentu ani dokończyć zdania bez popadania w niedorzeczną anegdotę. Teraz to Demokraci proponują coś nowego. A wielu ekspertów, którzy byli już znudzeni powtórką starcia dwóch najstarszych kandydatów w historii i gotowi przesądzać jego wynik, nie wie, gdzie podziać oczy.

Konwencja Republikanów była starannie wyreżyserowaną, skrupulatnie zaplanowaną prezentacją. Jak to ujął mój redakcyjny kolega Tim Alberta, tematem przewodnim była „siła”. Siła została wyrażona przez przesadne, absurdalne, komiksowe postaci: Hulka Hogana czy Kid Rocka. Ten ostatni skandował „Walcz, walcz!” i „Trump, Trump!”, podnosząc zaciśniętą pięść. Następnie zaśpiewał „American Bad Ass”, utwór w takim dysonansie, że nienadający się do słuchania.

Sam Trump wkroczył na scenę do przy dźwiękach męskiego szowinistycznego hymnu Jamesa Browna „It’s a Man’s Man’s Man’s World”.

Siła była implikowana także przez niemal choreograficzne demonstracje poniżenia. Nikki Haley, która walcząc o nominację wielokrotnie kwestionowała to, że Trump jest „mentalnie zdolny” do bycia prezydentem – a nawet oświadczyła, że „ta partia, która jako pierwsza odeśle na emeryturę swojego 80-letniego kandydata, wygra wybory” – teraz zaofiarowała Trumpowi swoje „zdecydowane poparcie”. Kandydat na wiceprezydenta, J. D. Vance, który kiedyś porównywał Trumpa do Hitlera, a słuchanie go do wstrzykiwania heroiny, wykonał pokłon, pojawiając się na konwencji jako ktoś pomiędzy petentem, akolitą a symem marnotrawnym. Podobnie jak wielu innych republikanów, uległ mocy Trumpa, wulgarności Hulka Hogana, całej masy rzeczy, których kiedyś nie lubił i być może nadal nie lubi. Podjął nawet osobiwą, naciąganą próbę retorycznego powiązania swoich dzieci oraz żony, córki imigrantów z Azji, z cmentarzem we wschodnim Kentucky, gdzie, jak powiedział, zostaną pochowani – tak jakby nasze działania nie miały sensu, dopóki wszyscy nie umrzemy.

Ale potem pojawił się sam Trump i było to tak, jakby na scenę wkroczył nagi cesarz z baśni. Nie było nic świadczącego o sile w tym, co zobaczyliśmy: starszy mężczyzna z nadwagą, mocno umalowany, ale mimo to o błyszczącej twarzy, który belkował przez półtorej godziny, całkowicie podważając wizum stworzony w ciągu poprzednich czterech dni.

Zaczął zgodnie ze scenariuszem, uroczyście odnosząc się do nieudanej próby zamachu na niego kilka dni wcześniej. Ale nawet przy tym nie potrafił

utrzymać odpowiedniego tonu i niemal natychmiast zmienił temat. „I jest ciekawa statystyka” – wtrącił – „uszy są najbardziej ukrwioną częścią. Jeśli coś stanie się z uszami, krwawią bardziej niż jakakolwiek inna część ciała. Z jakiegoś powodu, lekarze mi to powiedzieli”.

Ostatecznie, zamiast brzmieć jak „American Bad Ass”, popadł w swój regularny, czysty belkot.

Oto próbka: „Przychodzą z więzień. Przychodzą z aresztów. Przychodzą z zakładów psychiatrycznych i domów wariatów. Wiecie, że prasa zawsze się tym zajmuje, bo to mówię. Czy ktoś widział ‘Milczenie owiec’? Zmarły, wielki Hannibal Lecter. Chciałby mieć was na kolację. Te szpitale dla obłąkanych. Opróżniają swoje przytulki dla obłąkanych. I terroryści w liczbie, jakiej nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Będą się działy złe rzeczy”.

I jeszcze jeden przykład: „W Wenezueli, Caracas, wysoka przestępczość, wysoka przestępczość. Caracas, Wenezuela, naprawdę niebezpieczne miejsce. Ale już nie, ponieważ w Wenezueli przestępczość spadła o 72 procent. W rzeczywistości, jeśli kiedykolwiek w ogóle, nienawidzę nawet tego mówić, zorganizujemy naszą następną konwencję republikańską w Wenezueli, ponieważ będzie bezpieczna. Nasze miasta, nasze miasta będą tak niebezpieczne, że nie będziemy w stanie ich tam zorganizować”.

W czwartek wieczorem ten występ wydawał się obłąkańczy, złowieszczy i przerażający. Teraz, po decyzji Bidena o rezygnacji ze starań o reelekcję, występ Trumpa jest już tylko obłąkańczy. Z jednej strony mamy urzędującego prezydenta, który zrozumiał swoje ograniczenia i w akcie patriotyzmu, bezinteresowności i w imię jedności partii postanowił oddać władzę. Z drugiej strony mamy byłego prezydenta uzależnionego od władzy, desperacko trzymającego się mitu przegranych wyborów, przywołującego te same obrazy rzezi i katastrofy, które serwował osiem lat temu. Dziś wciąż atakuje Bidena, choć ten już nie jest jego przeciwnikiem.

Z perspektywy czasu konwencja Partii Republikańskiej wygląda nie tylko na drobiazgowo zainscenizowaną, ale także pustą i fałszywą. Dla kontrastu, konwencja Partii Demokratycznej będzie zapewne spontaniczna, a może nawet merytoryczna.

W ciągu kilku godzin, które minęły od niedzielnego oświadczenia Bidena, w sieci pojawiło się milion różnych memów, miksov i klipów z Kamalą Harris, wcale nie zaaranżowanych przez jej sztab ani przez żadną kampanię, po prostu zebranych przez przypadkowych ludzi, spośród których niektórzy ją lubią, a niektórzy nie. Tylko jeden mash-up z jej co zabawniejszych wystąpień, jej śmiechu i piosenki Charli XCX miał 3,4 miliona wyświetleń do dzisiejszego poranka.

Nie wiemy jeszcze, czy Harris będzie kandydatką, a jeśli tak, to czy będzie dobrą kandydatką, ale energia już przeniosła się z mężczyzn w średnim wieku, próbujących narzucić całemu krajowi swoją wizję, na pokolenie Z, które może zmienić scenariusz tej kampanii w dowolny sposób.

Nie wiem, co będzie działo się dalej – i o to właśnie chodzi. Ciężkie poczucie nieuchronności które roztaczała wokół siebie republikańska konwencja, zostało unieważnione. Kadry przygotowywane przez Heritage Foundation i tuzin jej odgałęzień, po cichu szykujące się już do demontażu praw amerykańskich kobiet, zastąpienia urzędników państwowych lojalistami, likwidacji kontroli zanieczyszczeń i przekazania jeszcze większej ilości pieniędzy w ręce miliarderów przyjaznych Trumpowi – otóż ci ludzie nie maszerują już nieubłaganie w kierunku władzy. Ludzie, którzy spędzili na swojej konwencji tydzień, próbując nagiąć rzeczywistość, by pasowała do ich fatalnego, mściwego kandydata, zbyt szybko stali się zbyt pewni siebie. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

(C)2024 The Atlantic Monthly Group. All Rights Reserved. Distributed by Tribune Content Agency, LLC.

Nie nadaje się na wzór dla dziewczynek, dziewczyn i młodych kobiet, bo w wieku 34 lat nie ma męża i dzieci.

Maja Staniszevska

W pierwszym odruchu – pół żartem, pół serio – odpowiadam: dziennikarze. Nie da się dziś bowiem nie pisać o Taylor Swift. Od pandemii ta amerykańska piosenkarka i autorka piosenek wydała cztery płyty. W 2023 roku ruszyła w trasę koncertową „The Eras Tour”. To 152 występy na pięciu kontynentach, bijące rekordy przychodów i wywołujące lokalne trzęsienia ziemi oraz małe boomy gospodarcze.

1, 2 i 3 sierpnia zagra na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Została Osobą Roku 2023 tygodnika „Time”. Zdobyła czwartą w karierze nagrodę Grammy za Album Roku – nikt nie ma ich w tej kategorii więcej. Trafiła też do grona miliarderów jako pierwsza osoba w historii, która zrobiła to dzięki swojej muzyce.

nie za wiele?”. Autorzy pisali o jej „wysysającym tlen” światowym tournée i zastanawiali się, czy nie pojawiło się w końcu zmęczenie Taylor Swift.

W internecie złośliwie komentowano, że może i tak, ale wśród dziennikarzy. I to niektórych. Sami zastanawialiśmy się w redakcji, czy przed sierpniowymi koncertami nie piszemy o niej za dużo. Ale na przykład Gannett, wydawca konkurencyjnego wobec „NYT” dziennika „USA Today” i kilkunastu amerykańskich gazet lokalnych, zatrudnił dziennikarza zajmującego się pisaniem wyłącznie o Taylor Swift.

Nucić czy nie nucić

Nie sposób od niej uciec, dlatego łatwo można sobie wyobrazić, że dosyć Taylor mają ci, których ona i jej muzyka nie interesują. A widzą ją wszędzie – w internecie, gazetach, telewizji, na plakatach, w kinach. Słyszą jej nazwisko w filmach, a muzykę w ulubionych serialach, choćby ostatnio w „Bridgertonach” czy „The Bear”.

Nie rozumiem, o co ta wrzawa, i pytam, że skoro jest tak znana i utalentowana, to dlaczego nie potrafią zanucić żadnej jej piosenki?

Ale dosyć Swift mogą mieć po prostu fani popu. Także ci, którzy cenią i lubią ją jako artystkę, ale jej fandom zwany Swifties uważają za męczący, jeśli nie toksyczny.

Taylor Swift jest bardzo ważna dla wielu osób. Jej fanki – bo to kobiety, dziewczyny i dziewczynki stanowią zdecydowaną większość Swifties – widzą w niej wyra-

KTO MA DOSYĆ TAYLOR SWIFT

Swift całuje futbolistę dla Bidena

Do tego ogromne zainteresowanie budzi jej związek z graczem futbolu amerykańskiego Travisem Kelce’em. Nie tylko plotkarzy.

Zimą rozpisywały się o nim poważne amerykańskie media, bo powstała teoria spiskowa, że romans najsłynniejszej obecnie amerykańskiej gwiazdy z popularnym sportowcem, którego drużyna awansowała do finału Super Bowl, to tak naprawdę „psypop”, operacja psychologiczna.

Najbardziej amerykański z amerykańskich obrazków, powielany w filmach o licealistach i komediach romantycznych: cheerleaderka całująca swojego chłopaka futbolistę po wygranym meczu, czyli Swift całująca Kelce’a po wygranym finale, miał wpłynąć na widzów i zaprogramować ich do głosowania na Demokratów i Bidena.

Nie, to nie jest żart. W sondażu przeprowadzonym przez Monmouth University Polling Institute 18 proc. badanych stwierdziło, że w to wierzy. Trudno było o tym nie pisać.

A w kwietniu Swift wydała 11. płytę „The Tortured Poets Department”, podwójną, zawierającą 31 piosenek. Tego też nie można było zignorować.

Ale wtedy w prasie coraz głośniejsze stały się głosy, że przesadziła. Nawet w „New York Timesie” ukazał się artykuł „Taylor Swift dała fanom wiele. Czy to już

zicielkę swoich emocji, przyjaciółkę, którą przeżyła i przeżywa to, co one.

Milenialski, do których jako 34-latką się zalicza, dorastała razem z nią i w jej tekstach znajdowały odbicie swojego życia, także uczuciowego.

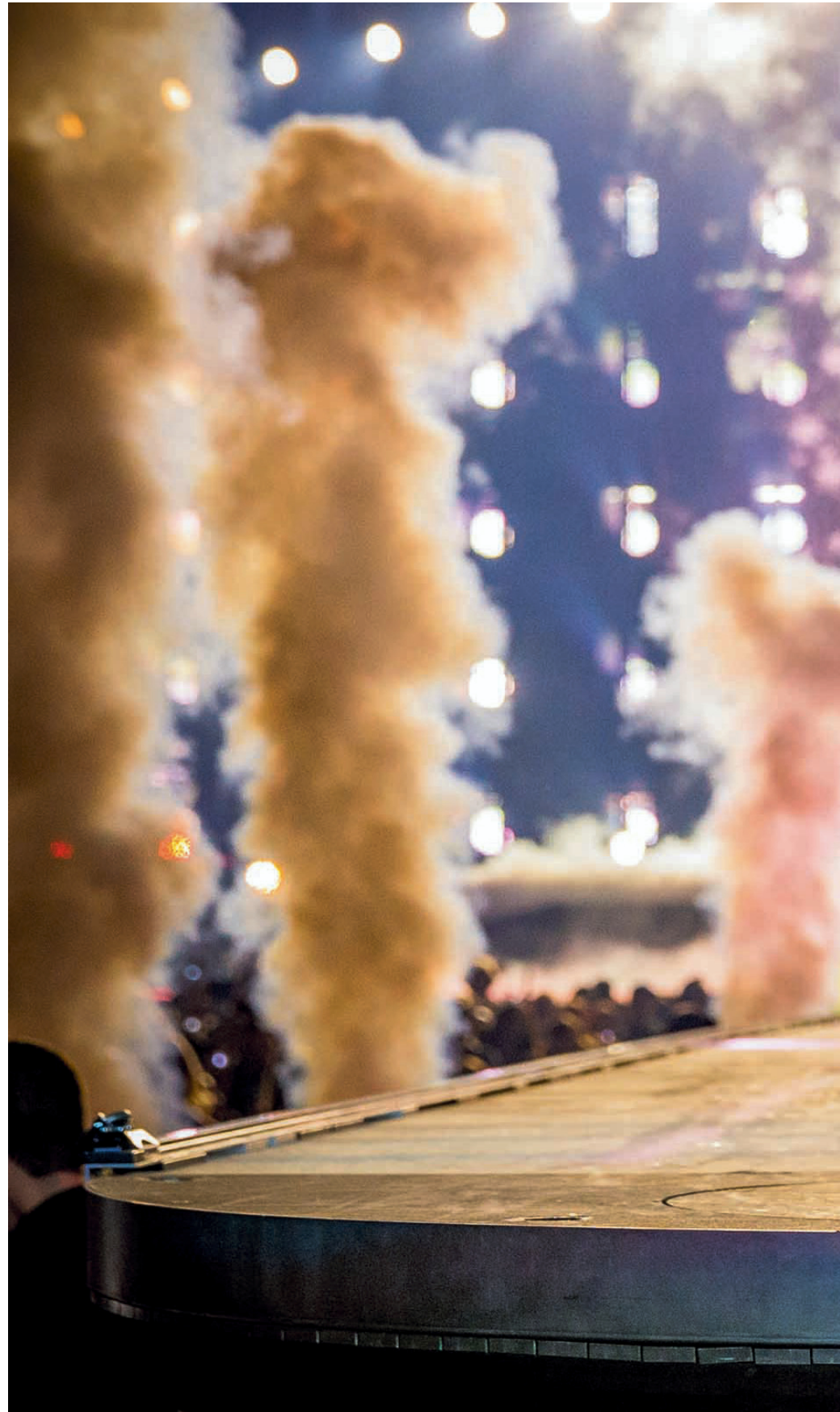
Ona, choć piękna, utalentowana i bogata, tak jak one długo i trochę na oślep szukała Tego Jedyne. Wydawało się, że znalazła, ale związek skończył się po sześciu latach. I teraz na najnowszej płycie w piosence „So Long, London” śpiewa: „Jestem wściekła, że pozwoliłeś mi oddać sobie całą tę miłość za darmo”.

A one aż za dobrze znają to uczucie. Część młodszego pokolenia Z też się odnajduje w jej muzyce, bo piosenki pisane od czasu liceum, inspiracje czerpane z własnego, wciąż prowadzonego pamiętnika są uniwersalne.

Swifties potrafią być niemiłe

Na opisywaniu własnych przeżyć i emocji Swift zbudowała potęgę. Bywa za to atakowana, choć wielu mężczyzn też to robi, ale oni nie są z tego powodu wysmiewani ani nie umniejsza się ich doświadczeń.

Choć w dzisiejszej muzyce popularnej, pełnej przeprodukowanych, generycznych piosenek mających po kilku autorów, powinna być za swoje autorskie teksty i melodie raczej chwalona.



Próbuje się ją infantylizować, podobnie jej fanki. „To jak sekta”, „to niezdrowe”, „co za histeryczki” – takie komentarze pojawiają się w portalach społecznościowych choćby pod zdjęciami czy filmikami ze stadionów „The Eras Tour”. Jakby tłum ubrany w szczególny sposób, wspólnie śpiewający i przeżywający wielkie emocje to na stadionie było coś niezwykłego czy niewłaściwego...

Swifties potrafią jednak posunąć się za daleko, nawet do internetowego hejtu. Z tego powodu muzyczny magazyn „Paste” opublikował recenzję jej najnowszej płyty bez nazwiska autora czy autorki. A na Reddicie powstało specjalne forum TaylorNeutral, na którym nie wolno obrażać osób mających krytyczne zdanie na temat Swift.

Nie da się ukryć, portale społecznościowe sprawiły, że wiele fandomów stało się toksycznym miejscem, irytują plemiennym podejściem czy gatekeepingiem – przyznawaniem sobie prawa do decydowania, kto jest prawdziwym fanem, a kto nie.

Swifties uważają, że muszą swojej idolce bronić i przed seksistowskim przemyśleniem muzycznym, i przed krytykami. Stały się jednak tak zaborcze, że sama Swift na najnowszej płycie w piosence „But Daddy I Love Him” grozi im palcem: „Niech Bóg zachowa najbardziej osądających dziwaków/ Którzy mówią, że chcą dla mnie jak naj-

piej/ Wygłaszając świętoszkowate monolog, których nigdy nie usłyszę”.

Billie Eilish się nie przebija

Fani popu, którzy Swift nie cenią, mają jej dosyć tym bardziej. Widzą w niej Lewiatana, który nie tylko pożera uwagę mediów, ale jest też „chciwy”, „łasy na sławę” i ma „obsesję statystyk”.

„The Tortured Poets Department” zadebiutował na pierwszym miejscu amerykańskiej listy Billboardu i utrzymywał się na nim 13 tygodni, do 20 lipca.

Przez to szans na nr 1 nie mają inni. Choćby Billie Eilish czy Charli XCX, które także wiosną wydały nowe płyty. Swift jest oskarżana, że wydając wciąż nowe kolekcjonerskie i specjalne wersje „TPPT”, manipuluje sprzedażą albumów.

Co ciekawe: w Polsce na liście OLIS płyty Swift nie ma ani w aktualnej pierwszej dziesiątce, ani w pierwszej dziesiątce roku.

Charli XCX musiała nawet zaapelować do swoich fanów, żeby na koncertach przestali skandować „Taylor Swift nie żyje” i powstrzymali się od podobnych komentarzy w portalach społecznościowych.

Czy Swift rzeczywiście jest łasa na sławę? Lana Del Rey, która z nią nagrywała, stwierdziła w wywiadzie dla BBC, że Swift jest tak sławna i popularna, bo jak sama jej powiedziała, „chce tego bardziej niż ktokolwiek inny”.



• Taylor Swift stała się w kulturze testem Rorschacha. To, co ludzie widzą, patrząc na nią, mówi więcej o nich, niż o niej. Co widzą państwo?

Nazywali ją „aryjską boginią”. Złamała ich prawicowe serduszka

Kanye West wrywa mikrofon

I tu pojawia się kolejna grupa, która ma Swift dość. Nieliczna, ale bardzo głośna, a może nawet groźna. Grupa, która uważa, że Taylor Swift urosła za bardzo i trzeba ją przyciąć. Umniejszyć jej sukces, poskromić, uciszyć.

Na niektórych bowiem ten sukces działa jak płachta na byka. Już w 2009 roku, gdy nastoletnia Swift odbierała nagrodę MTV, raper Kanye West wkroczył na scenę, zabrał jej mikrofon i powiedział, że na wyróżnienie nie zasłużyła.

Później napisał o niej mizoginiczną piosenkę, w której twierdził, że „uczynił tę sukces sławną”. Gdy zaprotestowała, razem z ówczesną żoną Kim Kardashian rozpętali afery, która prawie kosztowała Swift karierę. Artystkę, która zbudowała ją na tym, że jest szczerą i autentyczną, oskarżyli bowiem o dwulicowość i kłamstwa.

Dziś rozwiedziony i skompromitowany m.in. antysemickimi wybrykami West jest na marginesie. A Swift na szczycie.

Z tego szczytu próbują ściągnąć ją przedstawiciele manosfery, internetowego zjawiska, które skupia mężczyzn przekonanych, że to oni są współcześnie najbardziej dyskryminowaną grupą społeczną, i zwykłych mizoginów.

Mógłby uleczyć Swift z feminizmu

Wśród tych drugich jest Andrew Tate, samozwańczy „mizoginiczny influencer”, człowiek, który byłby komiczny ze swoim spojrzeniem na kobiety jaskiniowca, gdyby nie to, że trafia do dużego grona odbiorców.

W Wielkiej Brytanii, skąd pochodzi, laburzyści obiecywali przed wyborami, że jeśli dojdą do władzy, wesprą szkołę w próbie ograniczania jego wpływu na chłopców, którzy coraz częściej zachowują się agresywnie i wulgarnie wobec koleżanek i nauczycielek. Przeciwnie Tate’owi toczy się też kilka procesów, w tym o przemyt ludzi i gwałt.

Tate atakuje Swift za to, że jest kobietą samodzielną i niezależną, także finansowo. Wulgarnie ją obraża i próbuje poniżyć. Ostatnio pisał na X/Twitterze, gdzie ma ponad 9 mln followersów, że mógłby „uleczyć Swift z jej feminizmu”, ale jest dla niego za stara, pytał też: „Jeśli jesteś dziewczyną, po co w ogóle żyjesz ponad 30 lat, jeśli nie masz dzieci?”.

Tate wcześniej został z serwisu usunięty za nienawistne wobec kobiet wpisy, ale Elon Musk po kupieniu Twittera przywrócił mu konto.

Tate’a można jeszcze ignorować, ale podobna opinia pojawiła się w szanowanym niegdyś amerykańskim „Newsweeku”. Niejaki John Mac Ghlionn napisał tam 27 czerwca, że Taylor Swift nie nadaje się na wzór dla dziewczynek, dziewczyn i młodych kobiet, bo w wieku 34 lat nie ma męża i dzieci. Aż chciało się sprawdzić, czy tekst powstał na pewno w 2024, a nie 1954 roku.

Dalej autor wyliczał, z iloma mężczyznami spotykała się Swift. Uznał, że 12 „na przestrzeni zaledwie kilku lat” to duża liczba. Poza nawiasem: to było 15 lat, z których sześć trwał jeden związek.

I pytał: „Czy kochający rodzic chciałby tego dla swojej córki?”. Zarzucał też Swift hipokryzję, bo walcząc z patriachatem, na partnerów wybiera mężczyzn sukcesu. I projektował, że swoimi relacjami z mężczyznami zachęca młode słuchaczki do promiskuityzmu.

Tekst wywołał falę oburzenia, ale odezwali się też obrońcy. Wciąż bowiem dla niektórych kobieta niebędąca matką jest wybrakowana. Choćby była miliarderką, choćby stała na czele globalnej marki, którą stworzyła dzięki swojemu talentowi, uporowi i ciężkiej pracy.

I choćby na stadionach świata co wieczór dziesiątkom tysięcy kobiet dawała trzy godziny emocjonalnego katharsis czy chociaż dobrej zabawy. Swift, dająca im radość, ale też dająca im przykład, jest wrogiem wcielonym konserwatystów.

Panna Ameryka i test Rorschacha

I tu dochodzimy do ostatniej grupy tych, którzy mają Taylor Swift dosyć. Tych, którym złamała ich skrajnie prawicowe i rasistowskie serduszka. Przed laty uznali, że wywodząca się z country blondynka o niebieskich oczach i pomalowanych czerwoną szminką ustach jest żywym symbolem Ameryki. Biel, niebieski i czerwień to przecież kolory amerykańskiej flagi. Niektórzy nazywali ją nawet „aryjską boginią”. Byli przekonani, że ma konserwatywne poglądy.

Swift jednak okazała się demokratką, zwolenniczką ograniczenia dostępu do broni, sojuszniczką osób LGBT, feministką opowiadającą się za prawem do aborcji. A żeby dopełnić czary goryczy – w wyborach w 2020 roku poparła Joegę Bidena i Kamalę Harris.

Pewien amerykański dziennikarz napisał, że Swift stała się w kulturze testem Rorschacha. To, co ludzie widzą, patrząc na nią, mówi więcej o nich, niż o niej. Co widzą państwo? ●

Co mnie urzekło

Lawenda, opera i zielone ludziki

W Aix-en-Provence miał być ścięty markiz de Sade.
Prowansalczycy skazali go na śmierć za „grzech sodomii”.
Ale im zwał...

ANNA S. DĘBOWSKA

1 W lipcu w Prowansji kwitnie lawenda, wielkie kombajny jeżdżą po polach i polykają jasnofioletowe polacie kwiatów. W Aix pachnie mydłem i perfumami. Zapach docho-
dzi z uchylonych drzwi sklepików wypełnionych ziołami, torebkami suszonej lawendy, kostkami mydła różnej wielkości, buteleczkami aromatycznych olejków.

Turyści w spiekocie 35-stopniowego upału przeciskają się przez stragany pełne warzyw i owoców, idą w stronę placu ratuszowego, przechodzą przez wieżę zegarową z XVI wieku, fotografują się przy fontannie. Można w niej przemyć twarz, ochłodzić szyję, ale wody pić nie wolno – to nie Wenecja, gdzie do miejskich studni dopływa kryształ z Dolomitów. Już lepiej wypić kieliszek rosé, wi-
na różowego, z którego produkcji słynie Prowansja – ni-
gdzie nie smakuje ono tak dobrze, jak tam.

2

Aix-en-Provence jest miastem tysiąca fontann – małych i dużych, ozdobnych i ascetycznych, pomników i zwykłych kraników z kamienną sztukaterią. Fontanny wyrastały w średniowieczu, za rządów Burbonów i w czasach największej chwały miasta, która przypadła na przełom XVIII i XIX wieku. Źródła termalne w Prowansji odkryli jeszcze Rzymianie, obecni tam w I w. p.n.e. Zbudowali sieć akweduktów, doprowadzając wodę do miasta, które nazwali Aquae Sextiae, Wodami konsula Sekstiusza – stąd francuska nazwa Aix.

Tu urodził się malarz Paul Cézanne, dorastał pisarz Emil Zola. Zaprzyjaźnili się jeszcze w gimnazjum, za to na całe życie. Muzeum Granet ma tylko kilka obrazów Cézanne’a, m.in. portret Madame Cézanne, ale i tak warto tam dotrzeć. Za rok w Aix odbędzie się wystawa stu je-
go prac.

Droga do Granet wiedzie przez plac des Prêcheurs, na którym przed wiekami wieszano, łamano kołem i palono na stosie. Tam właśnie wyrokiem parlamentu prowansalskiego w Aix mieli stracić życie Markiz de Sade i je-
go lokaj Latour, który dostarczał swemu panu prostytut-
tek – obu oskarżono o próbę otrucia trzech dziewcząt,

z którymi markiz usiłował odbyć stosunek analny. Ponieważ „grzech Sodometrii” był z wyjątkową zaciekłością tępio-
ny przez Kościół katolicki, libertyn miał zostać ścięty, a je-
go lokaj powieszony, ich ciała zaś spalone na placu. Sa-
de zdołał uciec do Sabaudii, więc egzekucję na placu des
Prêcheurs wykonano symbolicznie (*in effigie*), prawdopo-
dobnie paląc portret skazańca.

3

Najbardziej rozpoznawalnym placem Aix-en-Proven-
ce jest Rotonde z widoczną z daleka białą fontanną. U jej
szczytu splatają się trzy kobiece figury – to alegorie. Spra-
wiedliwość zwraca się twarzą do głównego bulwaru (Co-
urs Mirabeau), Rolnictwo i Sztuki Piękne spoglądają
w stronę Marsylii i Awinionu.

Z Rotonde blisko już na starówkę utkaną z placyków
i wąskich uliczek, przez które przebijają się wielkie do-
stawczaki, uprzejmie wymuszające pierwszeństwo na
pieszych. To w końcu Francja, tu nawet przypadkowo po-
tracony przechodzień powie ci „Pardon!”.

Ludzie idą w stronę jednego z „must see” miasta – do
katedry Saint-Sauveur. I znów – jak to we Francji – głów-
na nawa romańska, tymparon ozdobiony figurą Matki
Boskiej z Dzieciątkiem – gotycki, nawy boczne z ołtarza-
mi – barokowe. Kamienny palimpsest. W środku chrzciel-
nica z VI w. n.e. Przed katedrą las parasoli – ludzie pi-
ją rosé i kawę w klimatycznej kawiarence „Le Gaulois”.
Miejsc brak.

Późnym wieczorem upał nie opada, słońce nadal świe-
ci, gdy idzie się w tę samą stronę do Pałacu Dawnego Ar-
cybiskupstwa (Palais de l’Archevêché). Tam, na dziedziń-
cu, na który wieki temu wjeżdżały pańskie powozy, gra-
ją opery. To jedno z miejsc koncertowo-scenicznych let-
niego Festiwalu d-Aix-en-Provence, jednego z najważniej-
szych w Europie.

4

Tu właśnie wszystko się zaczęło – w 1948 roku Gabriel
Dussurget, założyciel festiwalu, wizjoner i artystyczna du-
sza upatrzył sobie podwórzec starego pałacu jako miej-
sce, gdzie będzie wystawiał opery. Dussurget doznał ob-

jawienia – idąc klasycystycznym bulwarem noszącym na-
zwisko hrabiego de Mirabeau, jednego z najświetniej-
szych synów Prowansji, usłyszał w wyobraźni dźwię-
ki „Cosi fan Tutte” Mozarta. „Poczułem jakby Fiordili-
gii i Dorabella unosiły się wokół mnie jak lekkie duszki”
– wspominał.

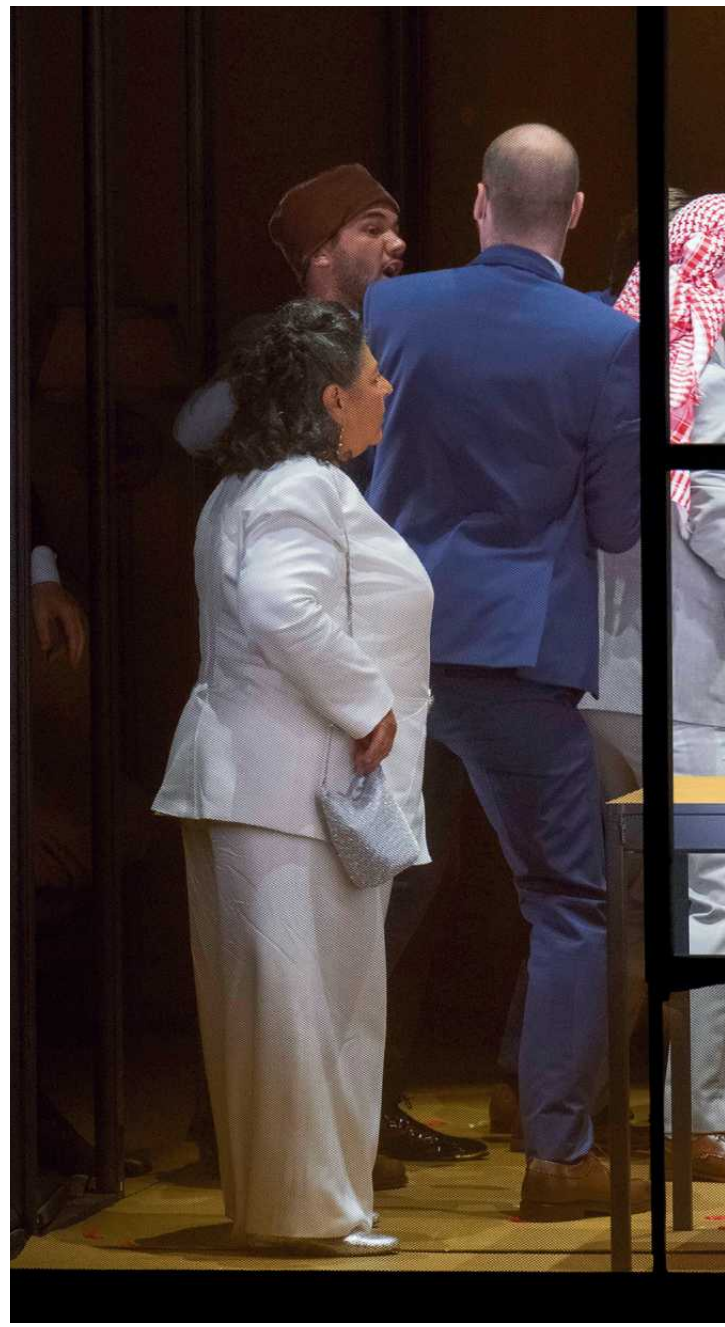
Ów marzyciel potrafił myśleć konkretami – pozyskał
dla festiwalu bogatą arystokratkę z Marsylii, hrabinę Lily
Pastré i jej pieniądze. Pierwsze festiwalowe przedstawi-
enie – oczywiście, „Cosi fan Tutte” – zagrano na miniatu-
rowej scenie z baldachimem, wepchniętej w jeden z ro-
gów podwórca między krzesła i wysoki platan, dziś wi-
doczny tylko na zdjęciach z przeszłości. Początki festiwa-
lu były skromne, a dziś gra on na wielu scenach, w tym
w nowoczesnym Grand Théâtre de Provence zaprojekto-
wanym przez Vittorio Gregottiego i oddanym do użytku
w 2007 roku.

5

Tam właśnie oglądam cztero- i półgodzinny dyptyk ope-
rowy „Ifigenia na Aulidzie” i „Ifigenia w Taurydzie”. Pierre
Audi – od sześciu lat na czele Festiwalu w Aix-en-Proven-
ce – przywiązuje dużą wagę do repertuaru francuskiego.
Pierwsza korzeniami tkwi jeszcze w baroku, druga to już
klasycyzm przepowiadający nadejście romantyzmu. Cho-
ciaż kompozytor Christoph Willibald Gluck, pisząc obie
opery w odstępie pięciu lat (1774-79) nie myślał o stwo-
rzeniu dyptyku, wyrastają one z jednego pnia – okrutne-
go antycznego mitu o rodzie Atrydów, w którym rodzice
i dzieci zabijają siebie nawzajem.

Realizację Audi powierzył wziętemu na Zachodzie ro-
syjskiemu reżyserowi Dmitrijowi Czerniakowowi, który
dostrzegł w „Ifigeniach” opowieść o niszczycielskiej sile
wojny. W pierwszej części Ifigenia (Corinne Winters) ba-
wi się z bratem armią zielonych żołnierzyków, a mężczyź-
ni w zaciszu gabinetu decydują o losie kobiet.

W części drugiej wódz Taurydów, Thoas (Alexandre
Duhamel) jest żołnierzem cierpiącym na zespół stresu po-
urazowego. Może to weteran sowieckiej wojny w Afgani-
stanie? Brat Ifigenii, Orestes i jego przyjaciel, Pylades, są
jeńcami ubranymi w mundury obcej armii. Jeden z nich
ma zginąć, ale Ifigenia nie chce wykonać wyroku na wła-
snym bracie. Mimo to, trudno mówić o szczęśliwym za-
kończeniu przedstawienia.





• Brawurowe przedstawienie „Ifigenii na Aulidzie” podczas tegorocznego festiwalu muzycznego w Aix-en-Provence

Oglądając dyptyk operowy „Ifigenia na Aulidzie” i „Ifigenia w Taurydzie”, zastanawiam się, czy rosyjski reżyser Dimitrij Czerniakow chciał przekazać Francuzom, że wojna, którą w Ukrainie rozpętała jego ojczyzna jest wojną bratobójczą. Mam nadzieję, że nie



• Latem zapach dochodzi tu z uchylonych drzwi sklepików wypełnionych ziołami, torebkami suszonej lawendy, mydłem, buteleczkami aromatycznych olejków FOT. JON HICKS/GETTY IMAGES

Tauryda to kraina, do której wojna powraca cyklicznie. Na razie pokiereszowani ludzie siedzą przy wielkim stole, pijąc herbatę i dając odpocząć nogom obutym w walonki. Ale Ifigenia już wyjmując spod łóżka torbę, z której wysypuje się ta sama armia „zielonych ludzików”. Zastanawiam się, czy Czerniakow chciał przekazać Francuzom, że wojna, którą w Ukrainie rozpętała jego ojczyzna jest wojną bratobójczą. Mam nadzieję, że nie. I muszę przyznać, że spektakl jest pod wieloma względami wybitny.

6

Lepiej jednak przenieść się na Dziedziniec Pałacu Arcybiskupiego. To coś, o czym nie da się zapomnieć. Wchodzi się przez wspaniały portal zwieńczony wyciętym w kamieniu herbem jednego z biskupów. Od frontu pałac, jeden z wielu *hôtels particuliers* (rezydencji pałacowych), w które obfituje Aix, zachwyca sztuką kamieniarską.

Za to mury dziedzińca przypominają starą oberżę, pośrodku której wybudowano drewniany amfiteatr, w którym gruchają gołębie (Théâtre de l'Archevêché). Bilet kosztuje 300 euro, ale festiwal w Aix to jedno z nielicznych miejsc, gdzie dziennikarze są wciąż uprzywilejowani. Siedzisz więc na jednym z ciasno upchanych fotelików i masz wrażenie, że czas się zatrzymał i za moment z głównej bramy wyłonią się przybyli z Paryża kardynałowie Richelieu z Mazarinem w otoczeniu d'Artagnana i trzech muskietierów. Albo filozof Wolter pod rękę z kompozytorem Rameau, bo grają akurat ich operowy projekt – „Samsona” – dokończony po blisko trzystu latach przez niemieckiego reżysera Clausa Gutha i dyrygenta Raphaëla Pichona.

Zanim zabrzmi muzyka, zapada cisza, przez którą przebijają się cykady. Jest wciąż gorąco, mimo że wybiła 21.30. Cykady są głośne, obojętne na to, że właśnie zaczyna się przedstawienie, doskonale wyreżyserowana przypowieść o miłości, zdradzie, podstępnie, rozpacz matki, która traci jedynego syna.

Powoli zapada zmrok, ale powietrze wciąż jest ciepłe. Na przerwie ludzie szukają ochłody pod kamiennymi sklepieniami pałacu, popijając szampana, choć w takim upale lepiej smakuje lodowata cola. Trzeba przyznać, że nigdzie indziej nie słucha się muzyki pod rozgwieżdżonym niebem tak dobrze, jak w Aix. ●

MURY NIE SĄ ROZWIĄZANIEM

Z JANINĄ OCHOJSKĄ
ROZMAWIA DOMINIKA WIELOWIEYSKA



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

**Rządzący na granicy zrobili dokładnie to, co PiS — ustawkę z żołnierzami.
I wrócili do Warszawy**

DOMINIKA WIELOWIEYSKA: Zabrakło dla ciebie miejsca nie tylko na listach Koalicji Obywatelskiej, ale także na listach Trzeciej Drogi.

JANINA OCHOJSKA: Sądzę, że zaszko-dziła mi sprawa granicy polsko–białoru-skiej, w którą byłam zaangażowana, i moje poglądy na temat migracji. I nawet jestem dumna, że zostałam odrzucona z powodu obrony praw człowieka. Pozostałam wierna swoim poglądom. Nie zmienia to faktu, że nadal jestem zwolenniczką Donalda Tuska, byłam na wszystkich marszach, ale w tej jednej kwestii mam inne zdanie.

Jesteś rozgoryczona?

– Jeżeli czuję rozgoryczenie, to tylko z te-go powodu, że nikt do mnie nie zadzwonił. Ani nikt od Donalda Tuska, bo oczywiście nie spodziewam się, że dzwoni on, ani z Trzeciej Drogi. Można było powiedzieć: pani Janino, dajmy szansę młodszemu, bar-dzo pani dziękujemy. A tak czuję się po-traktowana lekceważąco. Z drugiej strony to mi daje pewną wolność, nikt nie będzie naciskał, abym się dostosowywała do linii partii. I będę mogła robić inne rzeczy, na których mi zależy.

A ta różnica zdań bierze się stąd, że Tusk nigdy nie rozumiał procesów migracyjnych – tak uważam. Jako przewodniczący Rady Europejskiej o migracjach wypowiadał się tak, że właściwie nie było wiadomo, co tak naprawdę myśli.

Wiadomo: chciał uszczelnić granice i powstrzymać falę migracji.

– Ale pytanie, w jaki sposób te granice uszczelniasz. Ja przez ich uszczelnianie ro-zumiem, że my wiemy, kto je przekracza. I legalna migracja taką kontrolę umożli-wia. Można było znaleźć rozwiązania, któ-re szanowałyby prawa człowieka, a jedno-cześnie zapewniały bezpieczeństwo granic Unii Europejskiej i Polski. Czuję się trochę oszukana przez Donalda Tuska w tej kwe-stii, ponieważ mówiąc o praworządności, stwarzał takie wrażenie, że to także dotyczy działań na granicy. I jestem pewna, że tak to rozumiało wielu aktywistów. Naprawdę wierzyliśmy w to, że po 15 października jed-ną z pierwszych decyzji nowego rządu bę-dzie wycofanie przepisu o pushbackach.

Śluchałam Tuska w kampanii wyborczej i napisałam tekst, który przypomina wszystkie jego wypowiedzi na ten te-mat. I było jasne, jakie jest jego zdanie. Obsztorcował posłów, którzy biegali tam na granicy z reklamówkami, mówił o ochronie granicy, o tym, że wspiera Straż Graniczną, że migranci na granicy to akcja Łukaszenki.

– Twój artykuł przypominał mi jego wcześniejsze wypowiedzi, bo dokładnie ich nie pamiętałam. Ale to był czas, kiedy mię-dzy nami, aktywistami, mówiliśmy, że trze-ba dać Tuskowi szansę. Uważaliśmy, że on mówi to, co mówi, po to by wygrać wybory.

Zakładałaś, że — delikatnie rzecz ujmu-jąc — wprowadza wyborców w błąd? Nastroje są takie, że ludzie chcą zatrzy-mania fali migrantów, uchodźców.

– Tak. I Tusk się temu poddawał. Do dzi-siaj jest mi wstyd, że — tak jak wiele osób — ja również poddawałam się temu. I przesta-łam pisać w serwisach społecznościowych o ludziach na granicy polsko–białoruskiej.

A to nie jest tak, że europoseł z KO An-drzej Halicki poprosił cię, żebyś w czasie kampanii wyborczej była wstrzymieźli-wa w ocenie wydarzeń na granicy?

– Nie. Na jednym ze spotkań Andrzej Ha-licki prosił o to wszystkich europarlamen-tarzystów. Byłam też na spotkaniu z polski-mi posłami EPP (Europejskiej Partii Ludo-wej) przed głosowaniem nad paktem mi-gracyjnym. Halicki powiedział, że Donald Tusk prosi, żebyśmy głosowali przeciwko paktowi. Powiedziałam: tak się składa, że ja będę głosowała przeciwko paktowi, ale nie dlatego, że o to prosi Tusk, tylko dlatego, że ten pakt przyzwala na łamanie prawa czło-

wieka. Pozwala taśmowo odrzucać wnioski o azyl i deportować ludzi. Jestem krytyczna wobec eksternalizacji migracji. Unia dawa-ła pieniądze sąsiadnym państwom, by zaję-ły się zatrzymywaniem migrantów. Niepo-kojące są te raporty z Libii, w jaki sposób są wykorzystywane fundusze, które przekaza-ła szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Głównie służył temu, by wywozić tych ludzi na pustynię.

Byłaś bardziej wstrzymieźliwa w kampa-nii wyborczej w wypowiedziach, właśnie ze względu na to, że PiS mógłby to wyko-rzystywać przeciwko ówczesnej opozy-cji.

– I na początku rządu Donalda Tuska też się powstrzymywałam od komentarzy, ale po trzech miesiącach kolejne dwie oso-by zmarły w lesie i już nie mogłam milczeć. Swoje milczenie uznałam za błąd, który trzeba teraz naprawić.

PiS mówi tak: jak my byliśmy u władzy i robiliśmy na granicy to, co robiliśmy, to mierzyliśmy się z bardzo ostrą kry-tyką. Dotyczyła ona rządu PiS i Straży Granicznej, a w momencie kiedy rządzi Donald Tusk, mainstream nagle zakrył oczy i nie widzi, że polityka na granicy się nie zmienia.

– Nie. Na chwilę zamilkliśmy, żeby dać Tuskowi szansę zbudowania rządu. Ufa-łam, że to jest chwilowe, że premier z na-mi się spotka i znajdzie rozwiązanie na je-go miarę, tzn. takie, które będzie stosować prawo. Ale jak zobaczyłam, że ministro-wie, którzy rezygnują z odpowiedzialności, których się podjęli, i uciekają do Parlamen-tu Europejskiego, to – z niechęcią to mó-wię – pomyślałam, że to wygląda tak, jakby

szczury uciekały z okrętu, którego nie chcą już ratować.

Nie ma jakiegoś szczególnego powodu, dla którego były minister Bartłomiej Sien-kiewicz powinien być w Brukseli. To doty-czy też innych uciekinierów. I jak widzę, że właściwie nie ma polityki migracyjnej, że to idzie w bardzo złym kierunku, oczywi-ście przyłączam się do tej krytyki. Nie podo-ba mi się polityka Tuska i Władysława Kosi-niaka-Kamysza w tej dziedzinie.

Widzisz różnicę między tym, co robi rząd Donalda Tuska, a tym, co robił rząd Mateusza Morawieckiego w sprawie granicy? Czy stawiasz między nimi znak równości?

– Jako osoba z wykształceniem ścisłym dałabym znak równości lub mniejszości na korzyść Tuska.

Jeśli chodzi o strefę buforową, to dziś — inaczej niż za rządu PiS — media oraz aktywiści mogą wystąpić o pozwolenie na wejście do niej.

– Tak. Zamierzam starać się o to pozwo-lenie. Zobaczymy, czy je dostanę. Chcę swój czas poświęcić sprawie granicy polsko–bia-łoruskiej i pomóc w tym, żeby Polska by-ła jednak krajem, w którym nie stosuje się pushbacków, i krajem, który prowadzi bar-dziej przyjazną politykę migracyjną. Wiem, że podobnie myślą osoby, których opinia dla mnie jest bardzo ważna — Agnieszka Holland czy Hanna Machińska.

Przywoływane są twoje wcześniejsze wypowiedzi, że polskiej granicy nie trzeba bronić, bo nikt jej nie atakuje. Odczucie społeczne jest inne, że jednak jest atakowana.

– To jest sprawa nazewnictwa. Ja rozu-miem, że jak ktoś atakuje naszą granicę, to jej integralność jest zagrożona. I wtedy tej granicy musimy bronić. Natomiast my ją powinniśmy chronić, bo powinniśmy wiedzieć, kto ją przekracza. A to, że ktoś rzuca kamieniami, to nie jest powód do wywołania wojny.

Mówiłaś też do PiS: „Nie wmawiajcie nam, że na granicy polsko–białoruskiej rodziny z dziećmi są traktowane tak samo jak na polsko–ukraińskiej, zosta-niecie osądzeni za te zbrodnie, które kojarzą mi się z nazizmem i rasizmem”. Skojarzenie tej sytuacji z nazizmem to jednak wielka przesada.

– Oczywiście. Natomiast myślałam, że ludzie odpowiedzialni za śmierć mi-grantów na granicy zostaną osądzeni, ale nie zostali. Użyłam tego porównania po śmierci młodej kobiety, Somalijki, pozos-tawionej w lesie bez pomocy. Takie były moje odczucia i może to były daleko idące porównania, ale nazizm polegał między innymi na tym, że ludzi innej kultury i in-nej religii, o innym kolorze skóry skazy-wano na śmierć. Tak dzieje się na granicy polsko–białoruskiej, bo na polsko–ukraiń-skiej przyjmowano ludzi — białych chrze-ścijan.

Pozostawienie ludzi bez pomocy w lesie, bez możliwości złożenia wniosku o ochronę międzynarodową, doprowadze-nie do ich śmierci – to jest sytuacja, która kojarzy się z jednym.

Rozumiem, że jak ktoś atakuje naszą granicę, to jej integralność jest zagrożona. I wtedy tej granicy musimy bronić. Ale jak ktoś rzuca kamieniami, to nie jest powód do wywołania wojny

Jednak nie z masową i systematyczną eksterminacją Żydów.

– Oczywiście, że nie. Natomiast do czego można porównać tę sytuację? Nazizm nie polegał tylko na eksterminacji Żydów. Gdy-by PiS rządził dalej, to pytanie, do czego to jeszcze by doprowadziło? Ale i rządy Tuska doprowadziły już do śmierci dwóch osób.

Byłaś ostro krytykowana za tę wypo-wiedź o masowych grobach na granicy pol-sko–białoruskiej. Potem powiedziałaś, że wyraziłaś się skrótowo.

– Nie chodziło mi o to, że jest jakiś jeden masowy grób, tylko o to, że tych grobów trochę w puszczy jest. I były już odkrywa-ne ciała, częściowo wyjedzone przez zwie-rzęta. Nie wiem, czy ustalono, kto to był. Na pewno w jednym przypadku, bo znale-ziono paszport przy tej osobie, to był chy-ba Etiopczyk.

Mówiłaś także: „Ofiar na granicy jest o wiele więcej, niż myślimy. One albo są w jakimś zbiorowym grobie, bo zdzi-wiłabym się, gdyby w czasie, gdy był zamknięty dostęp do granicy, po prostu pobierano ciała, żeby nie było tych do-wodów”.

– Byłam na siebie zła, że użyłam takie-go wyrażenia, bo ono na pewno nie było uprawnione. Zrobiłam to w emocjach. To była reakcja na bardzo dramatyczne donie-sienia z granicy. Ale myślę, że o tyle mia-łam rację, że te groby gdzieś są. Pewnie nie zgromadzono ich w jednym miejscu, bo by-

łoby to łatwe do odkrycia. Prawda o tym, co działo się w strefie, jeszcze wyjdzie na wierzch.

Niemniej bulwersuje mnie to, że nikt ze Straży Granicznej nie został ukarany. Osoby, które były szefami, komendantami punktów granicznych, zostały przeniesione na inne stanowiska. Nikt nie poniósł konse-kwencji za śmierć kilkudziesięciu osób.

Nie wiesz, czy ktoś z nich jest winien. Masz dowody na to, że Straż Graniczna przyczyniła się do śmierci kogokolwiek?

– Są przypadki, w których to można by-ło udowodnić. Weźmy historię Somalij-ki. Złapano dwie osoby, które przekroczy-ły granicę, i one powiedziały, że niedale-ko jest umierająca kobieta. Straż Granicz-na — ktoś konkretny — obiecała, że tam ko-goś pošle. Nikogo nie posłała i dziewczyna zmarła. Myślę, że takich przypadków było więcej. Ktoś nie wykonał swoich obo-wiązków.

Nadal uważasz, że ten mur powinien zostać rozebrany?

– On w żaden sposób nie chroni naszej granicy, nie rejestruje przejścia migrantów.

Rząd się z tobą zgadza i mówi tylko, że będzie ten mur umacniał, czy też wyposa-żał elektronicznie. Pytanie, czy ty uważasz tak jak rząd, czy uważasz, że należy go ro-zebrać?

– Mur berliński w końcu rozebrano. Mury nie są rozwiązaniem. Jednak roze-branie tego muru to ogromne koszty i pew-nie on na długo pozostanie. Ale w sferze symbolicznej uważam, że źle się stało. Być może kiedyś Białoruś się zmieni. Być może wejdzie do UE. Taką mam nadzieję i tego bym im życzyła. I wtedy mur zniknie.

Mówiłaś, że milczenie w czasie kampanii wyborczej było błędem. Na czym on pole-gał?

– Na tym, że zarówno podczas kampa-nii, jak i zaraz po wygranych wyborach po-winniśmy byli naciskać bardzo mocno, że-by jednak Tusk podjął odważne decyzje do-tyczące migracji. Próbowалам się z nim spotkać. On mi to obiecał kiedyś na Kongre-sie Kobiet. Ale pani, która zawiadywała je-go czasem, odpowiadała, że przewodniczą-cy nie ma czasu. Na marszach miałam oka-zję uścisnąć mu rękę, powiedzieć dwa sło-wa, że właśnie mam takie nadzieje, że on podejmie wyzwanie, jeśli chodzi o migra-cję. Przyłączyłam się do nurtu wspierania Tuska i niekrytykowania, żeby mógł spo-kojnie ułożyć rządzenie.

Jakie miałaś oczekiwania?

– Najmniej to usunięcie tego zapisu o pushbackach i przestrzeganie prawa. Bo gdyby na granicy przestrzegano procedur, to nie dochodziłoby do takich tragedii.

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar w TOK FM powiedział, że procedury są przestrzegane: jeżeli migrant przekro-czył granicę, straż go pyta, czy chce się ubiegać o ochronę międzynarodową, uprzedzając, iż to oznacza, że zostanie odtransportowany do zamkniętego ośrodka. Migrant mówi, że nie chce, i straż odstawia go z powrotem poza granicę. Zdaniem ministra to zgodne



• Premier Donald Tusk w Ozieranach Wielkich podczas wizyty na granicy polsko-białoruskiej. Towarzyszą mu Komendant Główny Straży Granicznej, gen. dyw. SG Robert Bagan (z lewej) i zastępca Komendanta Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej płk Marek Sochański FOT. PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

z prawem. A ja myślę, że ten migrant myśli tak: wolę wrócić na Białoruś, bo nie chcę iść do ośrodka, spróbuję przejść granicę jeszcze raz, a nuż uda mi się funkcjonariuszy ominąć.

– Za bardzo w takie oświadczenia nie wierzę, bo praktyka mówi coś innego. Aktywiści powątpiewają, czy faktycznie te osoby nie chcą składać wniosku o ochronę międzynarodową, czy to jest tylko taka interpretacja funkcjonariuszy. Ale jak było – nikt nie wie.

Sądy kilka razy przyznały rację migrantom, uznając, że straż nie dała im szansy na złożenie wniosku o azyl. Ale byli i takie wyroki, kiedy sąd uznawał, że to Straż Graniczna ma rację, bo migrant podpisywał dokument, że nie chce ochrony międzynarodowej. A tym samym zgadzał się na powrót do Białorusi.

– Ale ja bym chciała spojrzeć na sprawę szerzej. Polskę stać by było na odważną politykę migracyjną. Gdyby były przejścia legalne, to strażnik żądałby dokumentów i widziałby, że ten przybysz może poprosić formalnie o wizę, i wtedy zawracamy taką osobę. Z kolei inny nie może, bo chociaż jest z Egiptu, to jednak są dowody, że był torturowany. I trzeba dać mu ochronę międzynarodową. Potrzebna jest dyskusja na temat tego, co robimy z ludźmi, którzy nie powinni w Polsce zostać, ale deportowanie ich do Białorusi nie jest dobrym rozwiązaniem. Mówienie, że Białoruś to bezpieczny kraj, jest nieporozumieniem. Gdybyśmy zorganizowali sprawne procedury rozpatrywania przypadków tych migrantów, to Polska mogłaby na tym zyskać. Przecież to nie są tak duże grupy ludzi. I nawet relokacja nie jest zagrożeniem. Policzyłam, że w ramach relokacji rocznie przybywałoby do nas około 800 osób.

Tak, to śmieszna liczba. O wiele więcej osób przekracza granicę teraz i za czasów PiS.

– Lepiej kontrolować ten przepływ, stworzyć kanał legalnego przekraczania granicy, aby wiedzieć, kto do nas zmierza.

A tak część z tych ludzi przekracza granicę skutecznie, umyka Straży Granicznej i my nie wiemy, kto to jest. Część dociera do Niemiec, a część zostaje w Polsce. Kto został w Polsce? Może to któraś z tych osób podpalila ostatnio te obiekty.

Teraz mówisz coś przeciwnego niż założenia całej tej opowieści, którą wcześniej snułaś. To znaczy, że osoby, które przekraczają polsko-białoruską granicę nielegalnie, mogą być dla Polski zagrożeniem.

– Nie, to nie jest sprzeczne, ponieważ ja mówię o tym, żeby granica była szczelna, żeby były legalne przejścia, przez które przychodzą ludzie i składają wnioski. Ci, którzy nie wiadomo, czy powinni zostać w Polsce, trafiają do ośrodków zamkniętych. I tam rozpatrywane są ich sprawy. Ale wtedy wiemy, kto dokładnie przekroczył granicę Polski.

Jeżeli te osoby przylatują z Iraku czy z innych państw Azji, to tam są polskie placówki dyplomatyczne, gdzie można te wnioski składać np. o pozwolenie na pracę w Polsce. PiS masowo je dawał i pojawiło się wiele wątpliwości czy ta polityka nie była zbyt liberalna. Tych osób nikt nie zmuszał do tego, żeby przyjeżdżały do Białorusi. Jest to więc inna sytuacja niż uchodźca, który ucieka z terenu objętego wojną do kraju sąsiedniego.

– Po pierwsze, nie każdy Irakijczyk, a zwłaszcza Kurd, czuje się bezpieczny w swoim kraju, dlatego szuka dróg ucieczki. I oczywiście do niego należy wybór drogi. Tacy ludzie, obojętnie czy migrują w poszukiwaniu pracy, czy migrują z powodu bezpieczeństwa, wybierają Białoruś, ponieważ pomimo wszystko jest bezpieczniejsza niż Morze Śródziemne. Poza tym ludzie wiedzą, że na tej granicy są luki. I – jeśli dopisze im szczęście – to się przedostaną. Nie każdy może złożyć wniosek w polskich placówkach.

Uczestniczyłam w wyciągnięciu Egipcjanina z deportacji. Tak się zdarzyło, że wracałam z Hanną Machińską ze Strasbur-

ga i Hania dowiedziała się w samolocie, że właśnie będą deportować Egipcjanina, obrońcę praw człowieka. To prawnik, który bronił ludzi przed wywłaszczeniami z terenów, które władza chciała przeznaczyć na zabudowę. Wielokrotnie go pobito, był w więzieniu, torturowany. Miał na to dowody. I Hania – miałam okazję obserwować ją w akcji – nie odpuściła. Udało nam się wyładować dosłownie w momencie, kiedy ten Egipcjanin był już przywieziony na lotnisko. Hania przedarła się tam do tych strażników i szybko załatwiła w Strasburgu interim, czyli miesiąc pobytu w Polsce na wyjaśnienie jego sprawy. Ta historia zakończyła się dobrze. Akurat Egipt, któremu zresztą pani von der Leyen dała pieniądze, oraz Tunezja, to są rządy reżimowe, opresyjne.

Wielu przybyszów niszczy swoje dokumenty i służby nie są w stanie dojść, z kim mają do czynienia. Czy w ich kraju faktycznie grozi im niebezpieczeństwo.

– Jeżeli nie ma żadnych dowodów tożsamości, takie osoby trafiają do ośrodków zamkniętych. I po to mamy służby, żeby dowiedziały się, kto to jest, bo są na to sposoby.

Wielka Izba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wydała wyrok w sprawie przeciwko Hiszpanii, stwierdzając jednoznacznie brak naruszenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. A sprawa dotyczy wydalenia do Maroka obywateli Mali i Wybrzeża Kości Słoniowej. Próbowali dostać się do hiszpańskiej enklawy w północnej Afryce, pokonując płot graniczny. Po jego przekroczeniu zostali zakuci w kajdanki i przekazani władzom Maroka. Skarżący twierdzą, że nie byli poddani identyfikacji przez władze hiszpańskie, nie mieli możliwości podania powodów swojego działania, nie zostali zbadani. Jednak Europejski Trybunał uznał, że władze hiszpańskie miały prawo to zrobić, bo jeżeli ktoś przekracza nielegalnie granicę, to musi się liczyć z tym, że będzie zawrócony. Szczególnie jeśli przybywa z państwa,

gdzie nie grozi mu niebezpieczeństwo. Trybunał dopuścił sytuację, że władze mają prawo przetransportować te osoby z powrotem na drugą stronę granicy.

– Osoby, które znajdują się przy murze po stronie białoruskiej, tak naprawdę są już w Polsce. Mają więc prawo złożyć wniosek o ochronę międzynarodową. A historia, którą opowiadasz, świadczy o tym, że niestety, polityka migracyjna Unii zaciska pętlę.

Ale ci obywatele Wybrzeża Kości Słoniowej też byli już na terytorium Hiszpanii – i zostali zawróceni. Notabene Helsińska Fundacja Praw Człowieka bardzo krytykowała ten wyrok, ale on jest w obiegu prawnym.

– Ten wyrok, niestety, potwierdza politykę Unii. Pakt migracyjny służy zbudowaniu forticy Europa. Ja nie chciałabym, żeby Polska szła w tym kierunku. Chciałabym, żeby była u nas bezpieczna migracja, żeby zacząć myśleć o niej pozytywnie, że to jest coś, co przyniesie korzyści. W tym temacie bardzo jest potrzebna edukacja szkolna i społeczna, potrzebne są instytucje, które by wspierały integrację. Choćby część z tych 10 mld euro na umocnienie granicy mogłoby zostać przeznaczone na budowanie właśnie takiej bezpiecznej migracji i bezpiecznej atmosfery wokół niej, mogłaby pójść na programy edukacyjne.

Gdyby grupa osób, która koczowała w Usnarzu przy granicy polsko-białoruskiej, została przyjęta, to dzisiaj byłibyśmy w innym miejscu, bo nie przyjmując ich, przyjęliśmy styl polityki Putina i Łukaszenki. Powiedzieliśmy: dobra, będziemy z wami grać w waszą grę. Nie sądzę, że napłynęłaby wielka fala ludzi, z którą nie dalibyśmy sobie rady. Liczba osób gotowych przejść przez granicę jest raz mniejsza, raz większa, ale to nie są zastraszające liczby.

Małgorzata Tomczak w „Wyborczej” napisała, że o migracji i kryzysie na granicy wytwarzamy fałszywą wiedzę: „Kryzys na granicy jest od dwóch lat prezentowany w dwóch narracjach. Tej otwarcie antyimigranckiej odwołującej się do

bezpieczeństwa i tej humanitarnej skupionej na łamaniu praw azylowych”. Jej zdaniem dominuje ten sposób opowieści, który jest w książce Mikołaja Grynerberga „Jezus umarł w Polsce” i w filmie „Zielona granica” Agnieszki Holland. A rzeczywistość wygląda inaczej. Oba te dzieła pokazują wycinek rzeczywistości. Zdecydowana większość ludzi na szlakach do Europy to młodzi mężczyźni, a dzieci, czy też kobiet, jest stosunkowo niewiele, szczególnie teraz. Przodują Tunezyjczycy, Egipcjanie i Marokańczycy, Algierczycy, Pakistańczycy. Teraz na dodatek mamy do czynienia po prostu z agresywnymi grupami mężczyzn, którzy atakują Straż Graniczną.

– Ale to jest właśnie efekt prowadzenia takiej polityki, jaką wybiera rząd. Człowiek jest wyrzucony ileś tam razy poza granicę, pobity, obłany zimną wodą. Zniszczono mu telefon, zabrano plecak, rozebrano do goła, zabrano wodę, wielokrotnie poniżano go. Wtedy taka osoba może się stać agresywna. Każde poniżenie człowieka wywołuje po pewnym czasie takie reakcje.

Nie wiemy, kto był w tej atakującej grupie. Nie wiemy, czy byli to ludzie zawracani przez Straż Graniczną.

– W grupie z Usnarza przeważali młodzi mężczyźni. Ale dlaczego młodzi mężczyźni nie mogą przyjechać do Polski, pracować i wysyłać swojej rodzinie pieniądze, a tutaj płacić podatki.

Zdecydowana większość społeczeństwa oczekuje od rządu ochrony granicy i niewpuszczania migrantów. Władza powinna liczyć się ze zdaniem większości, oczywiście przy poszanowaniu praw mniejszości. Chcesz wbrew większości otworzyć szeroko drzwi wszystkim chętnym przybyszom z Azji i Afryki?

– Zdaję sobie sprawę z tego, że większość społeczeństwa jest przeciwko. Ostatnie badania dotyczące strzelania do migrantów są porażające i jest mi wstyd, że jesteśmy takim społeczeństwem.

Myślę, że to było złe zadane pytanie. Ludzie uważali po prostu, że w momencie, kiedy agresywna grupa naciera na granicę, to straż ma prawo strzelać w powietrze albo używać innych środków w ramach obrony koniecznej.

– Tak, to było pytanie złe zadane, ale jednak aż tyle ludzi opowiedziało się za strzelaniem. To pokazuje, jak przerażający jest stan wiedzy społeczeństwa o migracjach. My, jako Polska Akcja Humanitarna, wspieraliśmy uchodźców w procesie integracji, ale też w procesie otrzymywania zezwoleń na pracę, zezwoleń na pobyt, uzyskanie azylu, prowadziliśmy też bardzo szerokie działania edukacyjne. Potem PiS nas wyrzucił ze szkół tak jak wiele innych organizacji. Ta edukacja jest dziś bardzo potrzebna. Chyba w 2014 roku MSZ zrobił badania dotyczące uchodźców i wtedy 63 proc. Polaków opowiadało się za przyjęciem nawet uchodźców z kontynentu afrykańskiego, to było mocno podkreślone. Od tej pory wiele się zmieniło, także za sprawą propagandy PiS. Dlatego myślę o tym, by wrócić do tych programów edukacyjnych, chcę to robić w porozumieniu z innymi organizacjami, które podobnie jak ja patrzą na sprawę migracji. Polska i w ogóle Europa migracji potrzebuje. Tylko migracja musi być kontrolowana, zaplanowana.

Polskie społeczeństwo widzi, co się dzieje we Francji czy Szwecji: z rodzin imigranckich, także w drugim pokoleniu, duża grupa się nie asymiluje. Jest wyobcowana w społeczeństwie także kulturowo i po prostu wśród Polaków jest lęk, że będziemy musieli się mierzyć z podobnymi problemami. I oczywiście można tłumaczyć, że rząd francuski zrobił za mało, ale prawdę powiedziawszy, mało kogo ten argument przekonuje, bo wysilek asymilacyjny był naprawdę potężny.

– No widzisz, potężny, ale niewystarczający. Pytanie, dlaczego tak się stało? Nie dlatego, że to są zli ludzie, tylko dlatego, że próbowano ich asymilować, a trzeba integrować. To różnica, bo nie można odbierać tożsamości religijnej czy kulturowej. Dla mnie to interesujące móc poznać, jakie błędy popełniła Francja, i jak ich uniknąć w naszej polityce. Jakie błędy popełniła Szwecja, których my możemy nie popełnić.

Zamiast tego mamy politykę straszenia migrantami, przed którymi władza ma nas obronić. Ona da 10 mld na ochronę tej granicy, bo ma. A to, że to będzie nieskuteczne, że pieniądze zostaną zmarnowane i będzie trzeba znowu wdrażać jakieś śledztwo, powoływać komisję, przemilczamy. Zbudujemy schrony, pola minowe. Jakby w tym wszystkim w ogóle nie było człowieka, bliźniego.

Nikt ze Straży Granicznej nie został ukarany. Osoby, które były szefami, komendantami punktów granicznych, zostały przeniesione na inne stanowiska. Nikt nie poniósł konsekwencji za śmierć kilkudziesięciu osób

Bardziej otwarta polityka migracyjna oznaczałaby tworzenie tutaj dużych skupisk obywateli z Azji czy Afryki, i to jest właśnie lęk, który jest w polskim społeczeństwie. Efektem jest to, że rośnie poparcie dla ugrupowań skrajnie antyimigranckich. Osoby, które są za społeczeństwem otwartym, wielokulturowym, osiągają efekt odwrotny do zamierzonego, ponieważ w siłę rośnie ta grupa, która właśnie chce bardzo ostrej polityki antyimigracyjnej i często szermuje hasłami rasistowskimi. Tak jest w przypadku wzrostu notowań Marie Le Pen. Tak jest z Alternatywą dla Niemiec. Tusk chce zapobiec sytuacji, w której skrajne ugrupowania zyskują popularność.

– Ale też nie stworzył absolutnie niczego w tym kierunku, żeby integracja migrantów odbywała się w sposób, który naprawdę zapewnia integrację. Nie doprowadził do stworzenia żadnej polityki migracyjnej, pomimo że o tym mówi się już od lat. Również za PiS o tym mówiono. Poza tym to nie jest prawda, że takie skupiska muszą koniecznie prowadzić do zachowań niezgodnych z prawem.

Ale wiemy, że prowadzi to do napięć społecznych, bo brexit w sumie też jest ich efektem: część Brytyjczyków nagle poczuła się przytłoczona falą ludzi także z Europy Wschodniej. Pewne procesy społeczne są bardzo trudne do opanowania.

– Ale ja jestem przekonana o tym, zresztą praktyka do 2014 roku na to wskazywała, że osoby, które pozostawały w Polsce — Czechenicy, Gruzini, potem Somalijczycy i Afgańczycy — pracują, żyją w jakichś środowiskach, nie stanowi to problemu. Czy ktoś słyszał o przestępstwach popełnionych przez migrantów czy uchodźców?

Zgadzam się, przy tej skali nie ma problemu, ale przy szeroko otwartych drzwiach to się może zmienić. Gdy w 2015 roku wielka fala ludzi napłynęła, UE nie dawała sobie z tym rady, nie miała gdzie ich umieszczać. Włochy wołały na pomoc UE, więc argument, że skala problemu jest niewielka, ludzi nie prze-

konuje. Jeśli ogłosimy: przychodźcie, to fala przybyszy z Afryki będzie potężna. I państwo polskie temu nie sprostą, bo bogatsze od nas kraje sobie z tym nie radzą.

– Polska nie jest dla nich w ogóle atrakcyjnym krajem. Niektórzy zostają, bo muszą. Inni chcą tu zostać. Na przykład „mój” Amir, Afgańczyk, którego z rodziną wyciągnęłam z ośrodka dla uchodźców. Jest w Gdyni, chciał być w Polsce, bo pracował w Afganistanie dla polskiego wojska, poznał tych ludzi i jest autentycznie szczęśliwy. I wiesz, jest lubiany na osiedlu, jego żona także. Badania pokazują, że większość uchodźców jednak pracuje, płaci podatki. „Mój” Amir to robi.

Sama mogę ci podać wiele takich przykładów i trzeba zrobić wszystko, aby te

osoby dobrze się czuły w Polsce kraju. Ale znów podkreślam: chodzi o skalę. Odwołam się do Maxa Webera i jego etyki odpowiedzialności, że od przekonania i wrażliwości moralnej polityka ważniejsza jest odpowiedzialność za losy społeczności, którą zarządza. Musi przewidywać skutki swoich działań, a otworenie szeroko bramy migracji może oznaczać tworzenie się skupisk ludzi, którzy nie do końca się asymilują.

– Widzę to trochę inaczej. Dobra polityka migracyjna wcale nie oznacza, że będziemy przyjmować w Polsce wszystkich chętnych. Chcę ucywilizować to, co dzieje się teraz na granicy. Nie sądzę, że gdybyśmy prowadzili otwartą politykę migracyjną, to zaraz pojawiłyby się u nas miliony chętnych.

Jeżeli aktywiści znajdą grupę osób, które przekroczyły granicę, oczywiście starają się im pomóc: karmią ich, ogrzewają, jeżeli są wyziebieni. Ale czy ich obowiązkiem jest zgłoszenie tego wydarzenia do Straży Granicznej?

– Jest i nie jest, dlatego że jeżeli te osoby chcą wnioskować o ochronę międzynarodową, to oczywiście aktywiści po nakarmieniu ich, po udzieleniu pomocy, zgłaszają to Straży Granicznej. Ale jeżeli oni nie chcą ubiegać się o azyl, to uważam, że aktywiści powinni ich zostawić w spokoju. To już nie jest ich sprawa.

Ale w ten sposób toleruje się nielegalne przekraczanie granicy przez osoby naprawdę niewiadomego pochodzenia i z niewiadomymi celami. A przecież w Ukrainie toczy się wojna i Łukaszenka nie jest w tej wojnie neutralny.

– Jednocześnie nie zważamy na to, że przez granicę „prześlizguje” się niewiadoma liczba osób, ponieważ Straż Graniczna jest niewydolna. Poza tym aktywiści nie są od pilnowania szczelności granicy! Czemu Straż Graniczna nie wie o tych osobach? Mamy patrzeć, jak ci ludzie umierają? Zresztą to są tak niewielkie liczby migrantów, że tak naprawdę nie mają znaczenia.

Ale sama przed chwilą mówiłaś, że jednak to mogą być osoby, które mogą

stanowić zagrożenie, tak? Mielśmy przecież serię podpaleni...

– Myślę, że aktywiści dobrze wiedzą, kogo puszczają dalej, bo przecież sprawdzają dokumenty tych osób. Powtarzam, czemu Straż Graniczna nie wie o tych przekroczeniach.

Część z nich niszczy dokumenty.

– Czasami niszczą je Białorusini. Ja bym namawiała tych ludzi do tego, żeby złożyli wniosek o ochronę międzynarodową i żeby można było zawiadomić władze.

A jeżeli odmówią, to co wtedy zrobisz?

– Uszanuję ich wybór.

Czyli po prostu nie zawiadomisz władz i oni sobie pójdą dalej swoją drogą?

– To trudny wybór.

Z moich rozmów wynika, że niektórzy aktywiści z założenia nie chcą zawiadamić funkcjonariuszy, bo nie mają do nich zaufania. Uważają, że Straż Graniczna, nawet jeśli ktoś chce złożyć wniosek o ochronę międzynarodową, to i tak przez zastraszanie albo manipulację odsyła taką osobę na drugą stronę.

– Tak, ale sama chcę się tego dowiedzieć, dlatego tam pojadę. Chcę sobie wyrobić zdanie na temat tego, co się tam dzieje.

Gdybym знаła dokumenty tych ludzi, zrobiłabym wszystko, żeby postąpić legalnie, bo nie chcę, żeby ludzie w Polsce przebywali nielegalnie. Ale jeżeli to by byli ludzie, po którymś z kolei pushbacku, z dziećmi, ktoś chory, nie wiem, czy miałabym sumienie.

Znana jest historia Irakijczyka, który spadł z dużej wysokości i na kocu został przyniesiony przez rodzinę przez granicę. Tę rodzinę wyrzucano, nie pamiętam, ile razy, na pewno z tym chłopakiem na kocu ich wyrzucili. W końcu przeszli nielegalnie i ta rodzina dzięki pomocy ludzi znalazła się w Niemczech. Tam dostali azyl, ten chłopak trafił do szpitala. Są ludzie, którzy chcą się przedostać do Niemiec, bo tam jest ich rodzina. Gdyby były procedury, które to umożliwiają, nie byłoby problemu.

Można im odpowiedzieć: załatwcie sprawę legalnie przez swoją rodzinę, niech rodzina, która jest w Niemczech, was zaprosi, wystąpcie o wizy.

– Nie zawsze to jest możliwe. Jeżeli to są Kurdowie, to nie dostaną wizy, nie wszędzie są ambasady, nie wszędzie możesz pojechać.

Władysław Kosiniak–Kamysz mówi tak: „Weryfikujemy doniesienia o działaniach aktywistów. Ci, co mają dobre intencje, nie powinni działać w sposób niezgodny z prawem i nie powinni ułatwiać przekraczania granicy. Zwracam się do aktywistów, pracujących na granicy, rozumiem pomoc dla drugiego człowieka, ale wskazywanie, gdzie łatwiej jest przejść granicę, gdzie nie ma polskich żołnierzy, to stwarzanie zagrożenia”. Prosił aktywistów, aby zawrócili z tej drogi.

– Po pierwsze, nie ma dowodów na to, żeby aktywiści ułatwiali przedostawanie się przez granicę, bo nie działają po tamtej stronie, tylko pomagają po tej. Po drugie, czy Kosiniak–Kamysz albo ktoś z jego gabinetu, albo ktoś od Tuska spotkali się z aktywistami? Rządzący byli na granicy, zrobili dokładnie to samo, co zrobił PiS, czyli ustawkę z żołnierzami. I wrócili do Warszawy. Jakże więc mają być odczucia aktywistów?

Rozumiem, że dla ciebie jednak jest niedopuszczalne, gdy aktywista kon-taktuje się na komórkę z jakąś osobą, która usiłuje przekroczyć granicę, i informuje ją, gdzie akurat nie ma żołnierzy. Ja oczywiście nie wiem, czy do tego doszło. Pytam tylko, czy uważasz, że takie działania powinny być krytykowane, czy nie?

– Uważam, że aktywistom nie wolno robić takich rzeczy. Nie słyszałam, żeby coś takiego miało miejsce. Na razie wobec aktywistów są tylko pomówienia bez żadnych dowodów. Zobaczymy, co jeszcze rząd wymyśli. Boję się, że na granicy będzie wzrastała agresja, ponieważ tam w tej chwili podobno gromadzi się grupa czeczeńskich przemytników.

Na razie Straż Graniczna informuje, że fala trochę opadła. Prezydent Andrzej Duda w porozumieniu z rządem negocjował w czasie wizyty w Chinach w tej sprawie. Chciał, aby chińskie władze zaczęły naciskać na Łukaszenkę, by ograniczył transfer ludzi z Bliskiego Wschodu. I ta interwencja okazała się skuteczna. Na szali było to, że Polska jest ważnym punktem na szlaku kolejowym i jest istotna dla chińskiego handlu z Europą. Ale wróć jeszcze do kwestii agresji na granicę. Możesz spotkać się z zarzutem, że usprawiedliwiasz przemoc. Zginął młody żołnierz ugodzony nożem. Nie można wszystkiego tłumaczyć tym, że migranci byli źle potraktowani, więc trudno się dziwić, że są agresywni, atakują strażników.

– Stosuję zasadę: jeżeli coś wyszło nie tak, to najpierw szukam winy u siebie. I w miarę rozpoznawania tej sytuacji dochodzę do określonych wniosków. Zastanawiam się, dlaczego ci młodzi ludzie są tak agresywni. Jak byli potraktowani? My stosujemy politykę siły, która będzie prowadziła z jednej strony do narastania w Polsce rasistowskich zachowań, które będą wykorzystywali oczywiście Putin i Łukaszenka, a z drugiej – my właśnie działamy na ich korzyść. Wiesz, jacy byliby zaskoczeni, gdyby były normalne przejścia, z kontrolą, a granica byłaby tak ściśle strzeżona, że mysz by się nie prześlizgnęła?

Takie punkty nie rozwiązały problemu, bo większość osób przekraczających granicę to migranci ekonomiczni. Oni do tych punktów by się nie zgłaszali, bo wiedzą, że nie mają szans na azyl. I tak przekraczaliby granicę nielegalnie. Mówię o tych, którzy nie są prześladowani w swoich krajach.

– Czemu migranci ekonomiczni jest argumentem przeciw migracji. Ci ludzie mają do tego prawo, a my ich potrzebujemy. Boję się takiej sytuacji, kiedy trzeba będzie rzeczywiście użyć broni. Ten młody chłopak, który na nieszczęście stracił życie, nie został przeszkolony. Był od kilku miesięcy na służbie, rzucono go w akcję, do której w ogóle nie był gotowy. Wtedy bardzo łatwo o nieszczęście.

Absolutnie nie usprawiedliwiam tego czynu. Tylko pytanie, czy tak musiało się stać i co zrobić, żeby do tego znowu nie doszło, bo skoro okazuje się, że ci chłopcy sami muszą sobie kupować buty czy polary, muszą się dożywiać, to ja się zastanawiam, gdzie jest państwo. Jeżeli naprawdę chcemy tę granicę chronić i wiedzieć, kto ją przekracza, to miej-

my tam przeszkolonych ludzi, przygotowanych do tego, że może być agresja z tamtej strony.

Z drugiej strony, kiedy doszło do przewrotu w Afganistanie i talibowie wrócili do władzy, to nie kto inny, tylko rząd PiS samolotami wojskowymi przewiózł do Polski grupę Afgańczyków z rodzinami. Osoby, które były narażone na represje ze strony nowych władz.

– Czy zadałaś sobie pytanie, co się dalej stało z tymi ludźmi? Zostali umieszczeni w ośrodkach, w warunkach, w których nie chciałabyś mieszkać. Jeden z tych ośrodków znam, wyciągnęłam stamtąd trzy rodziny. Jedna mieszka teraz w Gdyni. Mają dwójkę dzieci, ona była w ciąży, syn już urodził się tutaj. On zrobił prawo jazdy na ciężarówkę i pracuje. Dziewczynki chodzą do szkoły. Zulejka jest najlepszą uczennicą, ma mnóstwo koleżanek. Byli u mnie na Boże Narodzenie. To może brzmi dziwnie, bo to muzułmanie, ale zobaczyli, jak my obchodzimy Boże Narodzenie. Miasto Gdynia pomogło znaleźć dla nich lokum i dwie rodziny wyciągnęłam do Wrocławia, gdzie prezydent Jacek Sutryk dał dwa mieszkania, które zresztą były remontowane. No i teraz te rodziny tam mieszkają.

Jeden pan miał nawet wystawę swoich obrazów, bo maluje, ale musiał się znaleźć ktoś, kto im pomógł wyjść z tego ośrodka. Przylecieli też ludzie, którzy mieli pieniądze. Sami opuścili ośrodek, wynajęli mieszkania, założyli firmy i dali sobie radę. Państwo tylko ich przywiozło i oczywiście dało prawo do pobytu, to już jest dużo. Ale ludźmi, którzy pieniędzy nie mieli, nikt się nie zajął. Państwo ich zostawiło. PiS blokował środki dla organizacji, które mogłyby się tym zająć.

Dla porządku musimy odnotować jeszcze jedno niedawne wydarzenie: grupa młodych ludzi zachowywała się ostatnio agresywnie wobec żołnierzy: pluła, przeklinała, wykonywała obraźliwe gesty. Wyglądali na nietrzeźwych. To nie poprawia wizerunku osób działających na granicy. Czujesz żal do swojego państwa za politykę migracyjną?

– Kocham Polskę, nie wstydzę się tego powiedzieć. Chcę, żeby była bezpieczna, ale widzę tu miejsce dla migrantów. Oczywiście musimy stworzyć przyjazne środowisko. Edukacja i wspieranie w integracji migrantów czy uchodźców, są kluczowe. Nie czuję żalu, tylko wiem, że ja i ludzie dobrej woli mają ważną misję do spełnienia w zakresie migracji.

Pamiętajmy, że my, Europejczycy, nasze bogactwo budujemy właśnie na tych ludziach, którzy próbują się do nas przedostać. Że nasze fasolki rosną gdzieś w Kenii, że róże kupowane na Dzień Matki też przyjechały z Kenii, że na biopaliwo hodujemy rośliny w krajach afrykańskich, więc wykorzystujemy ich ziemię, surowce, pracę i ich wodę. A robimy bardzo niewiele, żeby ci ludzie mogli tam zostać, żeby mieli tam godne warunki do życia.

Taka organizacja jak PAH wie, co robić, żeby ludzie mogli pozostać w miejscu swojego pochodzenia. Budujemy im dostęp do wody, szkolimy, rozwijamy lokalne rolnictwo, lokalny rynek. Tymczasem polityka Europy jest taka: postawić na drenaż mózgów, przyciągnąć osoby wykształcone, a jak dawać pieniądze, to na restrykcyjne traktowanie przez władze ludzi, którzy chcą się dostać do Europy. To droga donikąd.

Janina Ochojska, z wykształcenia astronomka, z pasji społeczniczka i działaczka humanitarna, w czasach PRL działaczka opozycji demokratycznej. W 1992 roku założyła Polską Akcją Humanitarną, w latach 2019–24 europosłanka Komitetu Obywatelskiego. ●

Szklana pułapka

Zaczyna się od prób wezwania przez telefon strażaków. To czytelna aluzja do innego filmu z udziałem Grzegorza Brauna, przedstawiającego jego wyczyny z gaśnicą w rodzimym parlamencie.



Michał Rusinek

Szklana pułapka w Strasburgu” – taki tytuł mógłby nosić sequel słynnego filmu akcji z Bruceem Willisem. Ponieważ jednak stan zdrowia nie pozwala już Bruce’owi Willisowi na uprawianie zawodu, w rolę nieustraszonego Johna McClane’a wcielił się w tej produkcji europoseł Konfederacji Grzegorz Braun. Za zdjęcia nie odpowiadał tym razem Jan de Bont, ale kolega Brauna z klubu, europoseł Tomasz Buczek.

Sequel był znacznie krótszy od oryginału (2 minuty i 16 sekund), od razu też zrealizowany w wersji polskojęzycznej, dzięki czemu tytuł stracił nieco na dramatyczności. Oryginał amerykański zatytułowany jest bowiem „Die Hard”, tkwi więc w nim element śmierci, choć określenie to oznacza kogoś w rodzaju fanatyka, a przymiotnik „die-hard” przetłumaczyć można jako „zagorzały”. Fabuła sequelu była o wiele mniej skomplikowana i nie zawierała szczególnie dużo zwrotów akcji. Szczercze mówiąc, w ogóle ich nie zawierała. Miejsce akcji filmu stanowiła szklana winda, w której zatrzaśnięci zostali Braun, Buczek i europosłanka austriackiej partii FPÖ Petra Steger. A zatem wszyscy – delikatnie mówiąc – eurosceptycy. Trudno tu więc uznać tę sytuację za przypadek. Zwłaszcza jeśli naoglądaliśmy się hollywoodzkich filmów w stylu „Die Hard”.

Ale po kolei. Film zaczyna się od prób wezwania przez telefon strażaków. Jest to czytelna aluzja do innego filmu z udziałem Grzegorza Brauna, przedstawiającego jego spektakularne wyczyny z gaśnicą proszkową w rodzimym parlamencie. Słusznie więc wśród uwiecznionych pojawia się pomysł wezwania służb bliskich Braunowi. Na tym nie koniec aluzji. Ponieważ w windzie przestaje działać klimatyzacja, po chwili jej szklane ściany robią się zaporowane. Takiej sytuacji nie przepuści żaden filmowiec. Od razu staje nam bowiem przed oczami kultowa scena erotyczna z filmu „Titanic”, w której widziemy dłonie Kate Winslet na zaporowanej szybie samochodu. W „Titanicu” owa dłoń kreśli na niej zaledwie niezrozumiały wzór, być może tajemny miłosny komunikat: byłam tu i przeżyłam chwile uniesienia. W „Szklanej pułapce w Strasburgu” palec odpowiedzialnego za los współtowarzyszy i współtowarzyszki europosła pisze na zapoconej szybie słowo „HELP”. Widać, że w windzie kończy się powietrze, a więc i spada poziom tlenu w mózgu europosła, przez co pisze to słowo tak, że jest czytelne wyłącznie od wewnątrz. Z perspektywy operatora kamery jest to kierunek pożądaný, ale ludzie, którzy są na zewnątrz i którzy mogliby ruszyć z odsieczą uwiecznionym, widzą coś w rodzaju słowa „PLEH”, które może wprawiać ich w konsternację.

Uwięzieni Polacy od razu planują wszczęcie kroków prawnych. Skoro nieprzypadkowo eurosceptyczni europosłowie utknęli w eu-

rowindzie, to powinni zbadać sprawę i żądać euroodszkodowania. Ktoś proponuje, by poddali się obdukcji. Ktoś inny, że trzeba „zbudować konsorcjum” i „szarpnąć się na wspólnego adwokata”. O ile, rzecz jasna, wyjdą z tego cało. Na razie nic jednak na to nie wskazuje, bo powietrza jest coraz mniej. Europoseł Braun jednak bierze się w garść i zaczyna snuć wizję czynów. Ostatnie cząsteczki tlenu docierają do jego mózgu i mówi: „Gdyby ktoś chciał nam podać jaki łom i kilof, to dalibyśmy sobie radę”. W tym momencie jednak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się pomoc, drzwi windy się otwierają i europarlamentarzyści z niej po kolei wychodzą. Wszyscy komentują fakt uwolnienia z uczuciem wielojęzycznie wyrażanej ulgi. Tylko Grzegorz Braun oświadcza bohatersko, że wyjdzie ostatni. Jak na Bruce’a Willis’a przystało.

To jednak nie koniec filmu. Już po napisach („post-credit scene”), stojąc na tle siedziby Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, czyli budynku im. Louise Weiss, mówi: „Eurokolchoz w pigułce. Z zewnątrz lśniąca fasada, a w środku niejedno się już śpię”. Z wyjaśnieniem tej sceny spieszy recenzent „Najwyższego Czasu”: „Jak komuna, to komuna. Polacy dobrze znają ten problem z czasów PRL-u, ale najwyraźniej stare dobre socjalistyczne budownictwo kontynuuje swoje tradycje w równie czerwonej Unii Europejskiej [...]. Pamiętamy problemy z windami z czasów PRL-u. Socjalistyczne budownictwo i wieczne niedobory części zamiennych powodowały, że zacięcia wind i kartki »winda nieczynna« często gościły w komunistycznych blokach. Sytuacja z windą świetnie się więc wpisuje w kierunek, który obrała Unia Europejska – przez trudy do socjalizmu”. Nie jestem pewien, czy kartki mogą gdziekolwiek gościć, ale z pewnością trudno o bardziej obrazowe wyjaśnienie określenia „eurokolchoz”, zakładającego łączność Unii Europejskiej z byłym ZSRR.

Eurosceptycyzm w Polsce miał różne oblicza i przyjmował różne formy językowe. Niegdyś Unia była targowicą, unijna Komisja Wenecka – „nieformalnym gremium”, a UE dopuszczała się „szantażu” i „narastającej ingerencji w polskie sprawy”.

Najważniejsza była więc walka o naszą suwerenność, czego wyrazem była chociażby zmiana nazwy partii Solidarna Polska na Suwerenna Polska. Suwerenna, czyli niechętna podporządkowywaniu się europejskim standardom. Do czasu jednak. Kiedy poseł Marcin Romanowski został zatrzymany na wniosek prokuratury, po czym zwolniony przez sąd z aresztu na podstawie immunitetu ze Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy – okazało się, że jednak Unia ma swoje plusy. Mariusz Błaszczak zapowiedział, że władze europejskie będą informowane o „permanentnym łamaniu prawa” w Polsce (co jeszcze niedawno było nazywane „donoszeniem na Polskę”), Tobiasz Bocheński mówił o „wstydzie w skali europejskiej” w kontekście działań rządu, a sam Romanowski stwierdził, że „Rada Europy ma sprawne instytucje” i „śledzi stan praworządności w Polsce”. Do niedawna była to „tak zwana praworządność”.

Czasy się, jak widać, zmieniły. W produkcji takiej, jak „Szklana pułapka w Strasburgu” nie będą na razie grali aktorzy ze Zjednoczonej Prawicy – dopóki instytucje europejskie będą wydawały wyroki po ich myśli. Co innego – Konfederaci. Ich eurosceptycyzmu nic nie jest w stanie podważyć. Jest to bowiem nastawienie, które po angielsku najlepiej charakteryzuje przymiotnik „die-hard”. I żadne złośliwe windy tego nastawienia nie zmieniają. ●

Wiecej Bralczyków niż jego krytyków!

Umieranie czy zdychanie zwierząt to nie tylko dyskusja, ale także wojna idei.



Marcin Matczak

Język nam się aktualnie przepoczwarza. Stare, pocziwe narzędzie do komunikacji staje się albo pałąką, albo papierkiem lakmusowym. Jako pałka służy do bicia, jako papiererek – do odkrywania prawdziwej natury człowieka. Ostatnio zbito i odkryto profesora Bralczyka, a właściwie najpierw odkryto, a potem zbito.

Profesor powiedział, że pies nie umiera, ale zdycha. Za dawnych czasów na takie dictum odpowiedzielibyśmy jako naród dyskusją. Dzisiaj odpowiadamy chłostą.

Bo dzisiaj, mówiąc, nie tyle mówisz, ile pokazujesz swoje prawdziwe oblicze. I jak powiesz coś, co się ludziom nie podoba, to zaczyna się lustracja twojego wnętrza. Wprawdzie myślałeś, że tylko się wypowiadasz, ale w rzeczywistości ujawniłeś, żeś okrutnik, myśliwy i osioł, bo i takie porównania Profesora spotkały. To ostatnie, w „Polityce”, niekoniecznie negatywne w świetle powszechnej miłości do zwierząt.

Od roku prowadzę projekt finansowany przez NCN, który ma zbadać, czy proponowane zmiany w języku są uzasadnione czy manipulacyjne. Chodzi o zmiany w języku prawnym: użycia terminów „suwerenność” czy „praworządność”, ale mechanika zmiany językowej jest uniwersalna.

Ludzie mają podobne powody, aby „umieranie” odnoszone do człowieka rozszerzyć na psa i aby „segregację” odnoszoną do rasy przenieść na „segregację sanitarną”, a więc różnicę w prawach zaszczepionych i niezaszczepionych. I tu, I tu ktoś widzi podobieństwo w świecie i podkreśla je tym samym słowem.

Wydaje mi się, że rozszerzenie segregacji na szczepienia jest manipulacyjne,

a rozszerzenie umierania na psy – uzasadnione. Czy więc popieram tych, którzy prof. Bralczyka krytykują? Nie do końca. Zmianę językową dobrze jest analizować za pomocą teorii ewolucji. Gdy ktoś używa słowa na nowo, to tak, jakby produkował mutację.

Jak ją ocenimy, zależy od tego, czy poprawia nasze radzenie sobie ze światem. Innymi słowy: czy zwiększa sprawność języka, który jest narzędziem nawigowania w rzeczywistości, czy zaciemnia jej obraz, przez co radzimy sobie z nią gorzej.

Nowe terminy („ludobójstwo” albo „sztuczny tłok”, czyli metoda kieszonkowców) są przydatne, bo dzięki nim adekwatnie karzemy za zbrodnie i możemy uniknąć utraty telefonu. Zastosowanie „umierania” do zwierząt ma sens: zwiększa empatię, pokazuje głęboką miłość do innego stworzenia.

Ale może też pozbawić język zdolności do rozróżniania między śmiercią człowieka i zwierzęcia. A więc język upośledzić, bo rozróżnianie jest w języku ważne. I choć ukochane, pojedyncze zwierzę na pewno umiera, nie zdycha, to w rzece po katastrofie ekologicznej pływają śnięte, a nie zmarłe ryby, choroba wściekłych krów powoduje pomór bydła, a drób pada.

To są zwierzęca śmierci anonimowe – zwierzęca śmierć indywidualna jest na pewno inna, choć przecież i to, co stało się w 2023 roku z Odrą, spowodowało nie swoistą, ale rzeczywistą żalobę. Sprawa nie jest więc jednoznaczna, jak to często bywa ze zmianami językowymi, które dzieją się na naszych oczach.

Ciekawsze od językowego dzielenia włosa na czworo jest to, jak ludzie reagują, gdy autorytet nie popiera zmiany językowej. Tu widać wyraźnie, jak język nam się zmilitaryzował.

W spolaryzowanym społeczeństwie miłość do zwierząt przestała być sprawą prywatną – jest elementem światopoglądu, nad którym język powiewa jak sztandar. Prozwierzęcość, czy tego chcemy, czy nie, jest kluczowym elementem lewicowych ruchów ekologicznych.

Choć i wśród konserwatystów jest wielu takich, którzy ekologizmowi kibicują, jest też duża grupa sprzeciwiająca się całowitemu zrównaniu zwierząt z ludźmi, a czasami postawienia ich ponad ludzkością.

Prof. Bralczyk, postrzegany dotąd jako autorytet, przestał być neutralny. Myślał, że wypowiada się językoznawczo, a oto jednych zdradził, a drugich wsparł

W skrajnych przypadkach ekologizm traktuje ludzkość jak raka w ciele natury czy wirusa, który powinien zostać wyępiony – spojrzcie na dyskusję wokół książki Warrena Herna „Homo Ecophagus: Głęboka Diagnoza, by uratować Ziemię”. I trudno im to zaakceptować.

„Umieranie czy zdychanie” to więc nie tylko dyskusja, ale także wojna idei.

I profesor Bralczyk, postrzegany dotąd jako autorytet szanowany ponad podziałami, przestał, być może nieświadomie, być neutralny. Myślał, że wypowiada się językoznawczo, a oto jednych zdradził, a drugich wsparł. Wydawało mu się, że broni zdolności języka do rozróżniania: przecież to, że w naszym języku jakieś zwierzęta „zdychają” czy „padają”, paradoksalnie nasycia miłością to wyznanie wobec zwierzęcia bliskiego, o którym mówimy, że nam „umarło”. A przeszedł na złą stronę mocy.

Nie lubię tej postmodernistycznej idei: jesteś tym, co mówisz (tak jak jesteś tym, co jesz). Język cię zdradza, ujawnia twoją przynależność do grupy, klasy, plemienia. Jak nie lubisz feminatywów, toś mi-

zogin. Jak rozróżniasz pomór bydła i epidemię, w której umierają tysiące ludzi, toś dziaders i okrutnik. Co wtedy, gdyś niepiśmienny i niemowa? Nie wiadomo, bo już nie czyni się liczą, ale słowa.

To nie wypowiedź Bralczyka spowodowała nazwanie go osłem, ale jego „zdrada”.

To, że dla wielu przestał być sprzymierzeńcem, a więc stał się wrogiem.

Nie jest to normalne – język mamy po to, by formułować myśli niedokończone. Mówienie jest sposobem myślenia, wyrażania intuicji, które można dookreślić, ale jeśli mówienie jest walką, to mówca jest jak saper – nie wolno mu się pomylić, bo zostanie rozerwany na strzępy.

Na tym polega słynne „kancelowanie” – to odmiana religijnej cenzury, która mimo swojego lewicowego rodowodu zakłada, że możesz bluźnić, a więc obrażać słowem, coś, co twoja społeczność uznaje za święte. A jeśli bluźnisz, podlegasz ekskomunice.

To podejście – odwrócone – doskonale pozwala ludziom maskować swoją prawdziwą naturę, dopóki mówią to, co wypada mówić. Prowadzi do powszechnej prawomyślności, obawy przed wyrażaniem kontrowersji, uniemożliwia kwestionowanie status quo.

Krytyka Profesora, choć formułowana z pozycji postępowej, sama może być wstecznictwem. Żeby język nie zdiadział, musi być nieskrępowanym narzędziem wyrażania myśli, nie przejściem przez pole minowe. Żeby nasz język się rozwijał, potrzebujemy więcej Bralczyków niż jego krytyków, bo on mówi osobno, a oni mówią w tłumie. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieślak
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

REKLAMA

Kraj/34324971

JAK POLACY ZADEBIUTOWALI NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH?

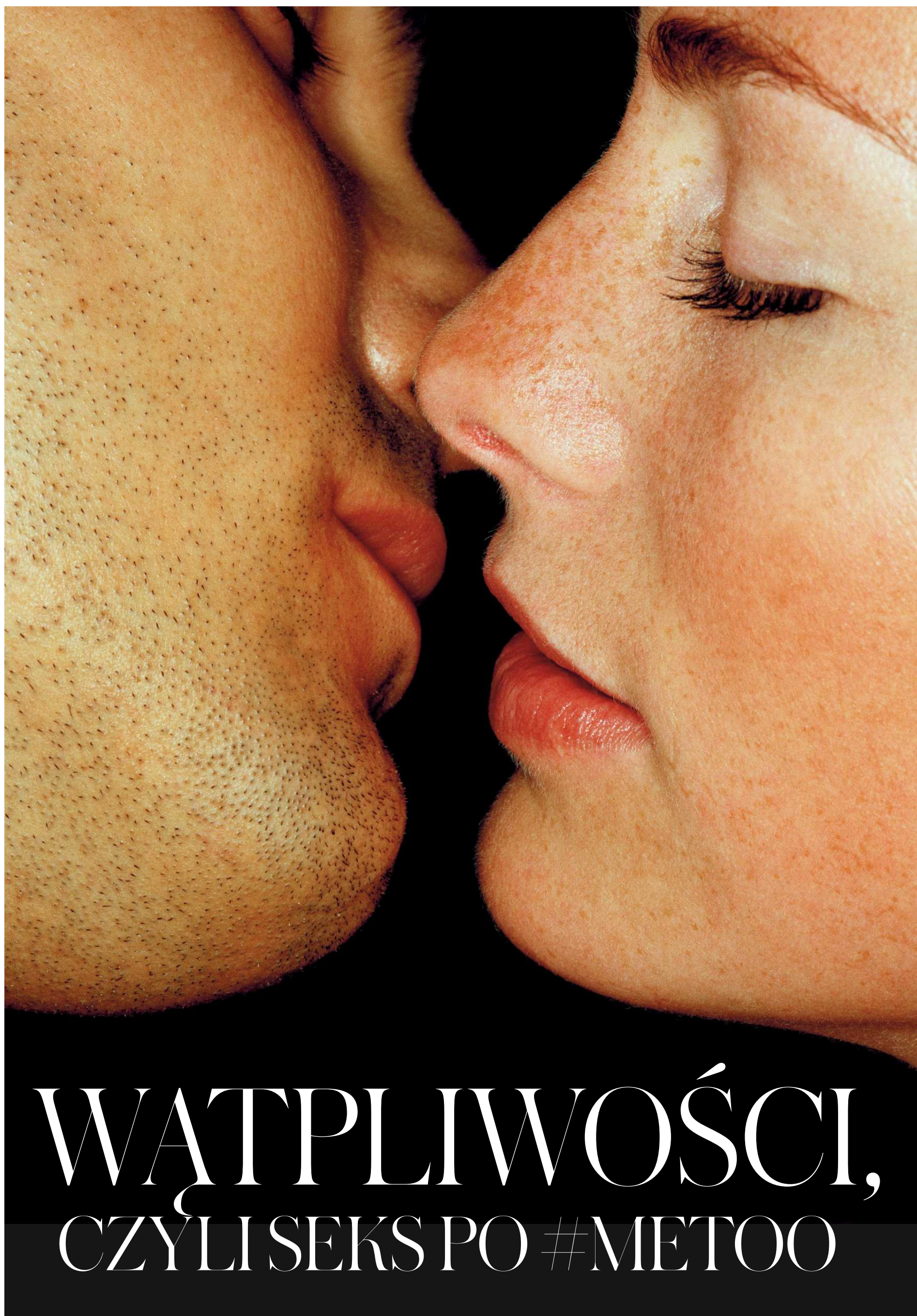
Daniel Lis przybliży zapomniane historie pierwszych olimpijczyków. Opowiada o burzliwych początkach ruchu olimpijskiego w naszym kraju, ale też o nadzwyczajnej odwadze i determinacji ludzi, którzy chcieli go tworzyć.

PARYŻ TO W 1924 ROKU STOLICA ŚWIATA – ROZŚWIELONA METROPOLIA, GDZIE ZAPACH SPALIN MIESZA SIĘ Z PERFUMAMI COCO CHANEL.

Na jego sportowych arenach rywalizują weterani wojenni, cudem ocalony z katastrofy „Titanica”, przyszły filmowy Tarzan i bohaterowie oscarowych „Rydwanów ognia”. Jak wśród nich odnajdą się debiutanci z biednego, skłóconego, z trudem budowanego państwa, które dopiero co wywalczyło sobie granice? Czy wśród nich od tego, co ich dzieli, okaże się to, że po raz pierwszy mogą być jedną drużyną?

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.PL**



WĄTPLIWOŚCI, CZYLI SEKS PO #METOO

FOTOWE KREJOI/GETTY IMAGES

1RP

Rewolucja seksualna trwa.
Zmienia się wrażliwość, świadomość tego, co jest wolnością, a co wykorzystaniem. Często łądujemy w sytuacjach, które są cholernie niejednoznaczne.

Katarzyna Tubylewicz*

Medialna burza wywołana sprawą byłych studentek poznańskiego Uniwersytetu Artystycznego, które oskarżyły niegdysiejszych wykładowców o niewłaściwe zachowania, w żaden sposób mnie nie zaskoczyła. Myślę, że nie wynika ona ani z polskiego konserwatyzmu, ani z niezrozumienia feminizmu przez którąś z autorek tekstów. Bo w tej dyskusji biorą udział tylko kobiety.

Jedne autorki słusznie opowiadają się po stronie ofiar i podkreślają, że walka o możliwość stawiania granic nie tylko w seksie, ale też we flirtcie i podczas picia drinków po zajęciach, to ważny temat emancypacyjny. Ba, tu chodzi o prawa człowieka. O prawo do godności i integralności.

Inne autorki, w sumie też słusznie, nie zgadzają się na uproszczony obraz własnej płci jako tej biernej i nieustannie molestowanej. Stąd chyba prowokujące opowieści o podrywaniu profesorów w celu uzyskania lepszych ocen i o tym, gdzie na wydziale da się uprawiać seks z żonatym wykładowcą.

Obie strony w tej dyskusji mówią o wolności. Jedna o wolności od cudzych łap, nachałności, niepożądanych zalotów i oczywiście od molestowania, gwałtu i przemocy.

Druga o wolności do bycia istotą seksualną, także w sposób prowokujący i „niegrzeczny”, bez narażania się na slut shaming. Obie strony chcą prawa do proklamowanego przez Zofię Nałkowską całego życia. Chcą być w pełni sobą.

Ani madonny, ani ladacznice

Skoro przyczynkiem do dyskusji jest sprawa studentek, to w modnym stylu autobiograficznym pozwolę sobie wyznać, że we wczesnej młodości w Polsce lat 90. moja rodząca się kobiecość cierpiała z dwóch powodów. Okropnie się czułam, gdy jakiś obleh na ulicy komentował mój biust w obcisłym golfie, nie wspominając już o doświadczeniu świnińskich propozycji, które dziewczynom z mojego pokolenia zdarzało się usłyszeć choćby w zatłoczonym autobusie.

Ale równie mocno doskwierał mi świętoszkowaty klimat unoszący się wówczas w powietrzu (nie wiem, może było tak tylko w moim liceum i na moich studiach), który sprawiał, że bycie uznaną za łatwą, stanowiło straszak i uniemożliwiało radosną eksplorację ciała, czy choćby petting bez większych zobowiązań.

Piszę o tym, żeby przypomnieć, że feminizm rozumiany jako walka o prawa i wolność kobiet, w tematach powiązanych z erotyką zawsze musiał sobie radzić z uświadamianiem kobietom, że mogą stawiać granice męskiej żądzy. Ale, że do owej żądzy tak samo jak mężczyźni mają prawo i nie potrzebują być grzecznymi, cnotliwymi dziewczynkami. A podział kobiet na madonny i ladacznice to patriarchalna bzdura.

Mając w głowie te dwie myśli rozumiem postulat Magdaleny Czyż, by nie robić ze wszystkich studentek zagubionych we mgle świętoszek, a jednocześnie całą sobą stoję po stronie Natalii Waloch, która w świetnym tekście wyjaśnia, że istnieją kobiety, które „lubią decydować, kto może im świntuszyć do ucha i wsadzać rękę w majtki.”

Szkopuł polega na tym, że żyjemy w intelektualnie czarno-białych czasach, w któ-

rych oczekuje się od nas, że staniemy tylko po jednej ze stron głośnych sporów. Upięram się, że tym razem się nie da, mamy do czynienia z feerią niejednoznaczności oraz ze starym, dobrym konfliktem tragicznym, choć w nowej odsłonie.

Swoje racje mają obie strony i niezależnie od tego, którą z dróg myślenia wybieremy, coś i tak będzie nas w tym uwierało. Żadna prawda nie jest tu jednoznaczna i nie wyczerpuje tematu. Szczególnie jasne staje się to, gdy spojrzysz na sprawę studentek z Poznania, która to według Magdaleny Czyż „położy się długim cieniem na ruchu #MeToo w Polsce”, z perspektywy jednej ze światowych stolic #MeToo, czyli Szwecji.

W szwedzkim lustrze

Po co tu komu szwedzkie lustro, zapytacie. Otóż nie ma lepszego sposobu na wielowymiarowe rozumienie rzeczywistości od analizy porównawczej. Poza tym wszystko to, co niestety tylko na liberalnym marginesie dyskutujemy obecnie w Polsce – umówmy się, #MeToo to u nas ruch niszowy – zostało w Szwecji przerobione i to nie w skromnym formacie lagom, ale na dużą, promieniującą na cały świat skalę.

Szwecja bywa bardzo odważna, szybka w przemianach społecznych i radykalna w dążeniu do sprawiedliwości. Dlatego warto na nią zerknąć, jak do próbowki pokazującej przyszłość. Zerknąć także pod powierzchnię.

W Szwecji #MeToo zaczęło się wcześniej, w październiku 2017 roku. Za symboliczny początek można uznać wpis na Instagramie Cissi Wallin, aktorki, aktywistki i publicystki (o polskich korzeniach!), która wyznała, że w roku 2006 została zgwałcona przez wpływowego dziennikarza piszącego o kulturze, Fredrika Virtanena, stałego współpracownika socjaldemokratycznego dziennika „Aftonbladet”.

Virtanen, lewicowiec, ojciec dwójki dzieci i w dodatku mąż feministki, pisarki Karoliny Ramqvist, zaprzeczał, ale odezwały się też inne kobiety. Twierdziły, że wiele lat wcześniej nie zachowywał się względem nich właściwie. Poza tym amerykańskie #MeToo inspirowało do szybkich reakcji. Dziennikarz stracił pracę, Wallin stała się na jakiś czas najważniejszym feministycznym głosem w Szwecji i narodził się ważny ruch społeczny, który miał zmienić Szwecję. Udało mu się to, ale niezupełnie.

Charakterystyczny dla szwedzkiego #MeToo był fakt, że w większości przypadków kobiety pisały i mówiły o molestowaniu i innych nadużyciach nie wymieniając nazwisk winnych mężczyzn.

Gazety publikowały manifesty reprezentantek różnych grup zawodowych. 576 aktorów zamieściło otwarty list w dzienniku „Svenska Dagbladet”, głos zabrały duże szwedzkie gwiazdy, między innymi Sofia Helin (z serialu Most nad Sundem), Lena Endre i Marika Lagercrantz. Pisano i mówiono o molestujących reżyserach, obleśnych propozycjach producentów, obmacujących koleżanek aktorów i próbach gwałtu.

Po aktorach przyszedł czas na inne grupy: pielęgniarki, z których aż 40 proc. do-

świadczyło molestowania w miejscu pracy, 1300 kobiet zaangażowanych w politykę, 653 śpiewaczek operowych i piosenkarzek, 12 000 prawniczek, 2400 pracowniczek uniwersytetów. Lista informujących o będących na porządku dziennym przekroczeniach prywatnych, intymnych granic stała się zawrotnie długa. Większość oskarżeń miało charakter ogólny, uderzały raczej w system i społeczne normy niż w jednostki. Kobiety domagały się zmiany postaw, uświadomienia problemu, zwiększenia świadomości związków zawodowych, zmian w prawie.

Co jakiś czas padały jednak nazwiska oprawców, pracę stracił znany dziennikarz telewizyjny, a po nim znany komik. Wspomniana już Sofia Helin w „The Guardian” opowiada o spotkaniu z aktywistką #MeToo aktorką i reżyserką Rosanną Arquette, która podobno już w 2019 z przerażeniem pytała, jak można dopuszczać do tego, by oprawcy nie byli karani. „What’s your fucking plan?” rzuciła ze zgrozą podczas ich lunchu w Sztokholmie.

Helin zastanawia się, czy nie było przypadkiem tak, że większość Szwedek przagnęło „mówić o brudnym temacie, nie brudząc się przy okazji”. Uważa, że szwedzkie #MeToo przyniosło pewne zmiany, ale niewystarczające. Na pewno jest tak w świecie filmu. A zapal do walki zgasił, podobnie jak wiara w siłę #MeToo. Pozostaje pytanie, czy zapal zgasił dlatego, że zbyt mało udało się zmienić, czy może dlatego, że w pewnym momencie wszystko się strasznie moralnie skomplikowało i walka o dobrą sprawę utonęła w nieznosnej niejednoznaczności.

Rok bez Nobla

Największa szwedzka bomba związana z #MeToo wybuchła w listopadzie 2017 po publikacji reportażu Matildy Voss Gustavsson. Na łamach „Dagens Nyheter” 18 kobiet opowiadało o przestępstwach seksualnych i nadużyciach, których dopuścił się względem nich szwedzki Francuz, Jean-Claude Arnault. To dyrektor artystyczny prestiżowej sceny Forum, mąż członkini Akademii Szwedzkiej, człowiek mający bardzo wysoką pozycję w szwedzkim świecie kultury, uznawany za autorytet.

Chodziło o molestowanie seksualne, pastowanie, a także gwałty. W miarę rozkręcania się afery coraz wyraźniejsze stało się, że Arnault perfidnie wykorzystywał swoje powiązania z przyznającą Nobla literackiego Akademią Szwedzką. A członkowie Akademii, czyli elita elit, przymykali oczy na jego wyjątkowo obleśny szowinizm.

O gwałtach nie wiedzieli, ale były zdarczenia, których przeoczyć się nie dało, jednak w pokornym, stadnym milczeniu je tolerowano.

Afera zatrzęsała w posadach nie tylko Szwecją, ale właściwie całym światem, mieliśmy wszak rok bez literackiego Nobla.

#MeToo doprowadziło do głębokiego kryzysu w Akademii Szwedzkiej, a następnie do publicznej ekspiacji i wprowadzenia pewnych demokratyzujących zmian w składzie oraz w zasadach funkcjonowania tego

nieco skostniałego grona, które przyznaje najważniejszą na świecie nagrodę literacką.

Przykładowo bycie członkiem Akademii przestało być dożywotnie, jest też dziś w niej więcej kobiet. Matilda Voss Gustavsson napisała świetną książkę „Klub” poświęconą tej sprawie. Jean-Claude Arnault trafił za gwałty do więzienia. Szwedzkie #MeToo przywróciło więc gdzieś sprawiedliwość i przyczyniło się do znaczących i naprawdę dobrych zmian na społeczno-kulturowych szczytach.

Gorycz

To dlaczego Åsa Linderborg, lewicowa feministka, wieloletnia szefowa działu kultury wspomnianego już „Aftonbladet” i autorka m.in. przełożonej na polski autobiograficznej powieści „Nikt mnie nie ma”, nazywa dziś szwedzką rewolucję #MeToo największym nadużyciem w historii szwedzkich mediów oraz medialną katastrofą etyczną?

Dlaczego uważa, że sposób w jaki potraktowali ten temat szwedzcy dziennikarze, w tym ona sama, to przykład szalejącego „populizmu klasy średniej”?

Napisała o tym książkę „Året med 13 månader”, czyli „Rok, który miał 13 miesięcy”. Linderborg rozprawia się w niej z medialnymi błędami, z brakiem researchu i pośpiesznie wydawanymi sądami i daje przy okazji wyraz przytłaczającemu ją poczuciu winy.

Bo w Szwecji #MeToo doprowadziło też do samobójstwa niewinnie oskarżonego człowieka i ona sama się jakoś do tego przyłożyła.

Zaraz wyjaśnię, w czym rzecz, ale najpierw dodam, że stojąca na straży przestrzegania etyki dziennikarskiej Szwedzka Rada Prasowa (Pressens Opinionsnämnd) uznała, że dziesięć artykułów opublikowanych w czasie #MeToo w sześciu szwedzkich gazetach nie spełnia standardów etyki dziennikarskiej. Czy to dużo? Nie wiem.

Emanuel Karlsten, felietonista „Göteborgs Posten” komentując wyrok napisał: „Czy owo dziesięć błędnych artykułów potrzebne nam było, żeby doznać oświecenia, które nas zmieniło? Jeśli tak, to było warto.”

Jednocześnie publicysta podkreśla, że ma świadomość, że początek #MeToo przyniósł w szwedzkim świecie mediów kilka tygodni anarchii i nieprzemyślanych decyzji. Po jakimś czasie desperackie poszukiwanie ratunku dla źle traktowanych kobiet zamieniło się w działania znacznie bardziej świadome, a nie da się przecenić, jak wielkie znaczenie miało #MeToo dla powszechnego uświadomienia sobie struktur władzy i poziomowi nadużyć.

Ale jest też prawdą, że o tym, co zrobiono w szwedzkich mediach źle w związku z #MeToo napisano więcej niż jedną książkę. Głośna stała się na przykład „Pierwsza ofiara rewolucji” (Revolutionens första offer), opowieść reporterkki najlepszego w Szejcji magazynu śledczego „Updrag gransking”.

Lina Makboul zajmowała się w czasie rewolucyjnego wzmocnienia analizą kilku głośnych oskarżeń o molestowanie, w tym sprawą Cissi Wallin. Spotkała ją gigantyczna fala hejtu oraz brak lojalności środowiska medialnego.

Jej książka uświadamia, że w czasie #MeToo zwykle dziennikarskie śledztwo i coś tak podstawowego, jak kontrola faktów, traktowane było przez część ludzi mediów i część aktywistek jako zdrada ideałów i próba odebrania głosu ofiarom.

Część świadectw media publikowały niemal od ręki. Jakby nie miano świadomości, że w przypadku inicjującym ruch, czyli sprawie Harveya Weinsteina, publikacje o występkach potężnego hollywoodzkiego producenta w „The New York Times” i „The New Yorker” poprzedziło długie i staranne dziennikarskie śledztwo.

Nikt nie poddawał w wątpliwość niektórych wypowiedzi Cissi Wallin, która przecieź sama przez pewien czas opowiadała w wywiadach o niepewności, co się stało między nią a Fredrikiem Virtanem. Dokładniej, że w 2006 roku po mocno zakrapianym wieczorze w klubie poszła do je-

go mieszkania i nadal piła z nim wino, a następnie wyładowała z nim w łóżku i przez czas jakiś nie pamiętała szczegółów tej sytuacji. Dopiero podczas terapii doszła do tego, że ją zgwałcił.

Oskarżyła go o to w 2011 roku, ale sprawę przegrała. W 2017 na fali #MeToo, na jakiś czas wygrała na całej linii. Virtanen została skancelowany, ale pozwał Wallin do sądu za zniesławienie i ...to on sprawę wygrał. Trochę to trwało, ale wygrał.

Po kolejnych odwołaniach stanęło na tym, że w 2022 roku Cissi Wallin została skazana na zapłacenie Virtanenowi odszkodowania w wysokości 100 tysięcy koron.

Nie zaszkodziło to jednak specjalnie jej nazwisku, już po wyroku sądu została felietonistką jednej z największych szwedzkich gazet „Expressen”.

A Virtanen do dziś jest persona non grata. Pisuje czasem w jakiejś małej, regionalnej gazetce. Wydał też autobiografię w norweskim wydawnictwie, bo żadne szwedzkie wydać go nie chciało.

Czy był facetem, który źle traktował kobiety i niejedną wykorzystał? Na sto procent tak. Sam to dziś przyznaje. Twierdzi też, że się zmienił po ślubie i odkąd został ojcem dwójki dzieci. Czy zgwałcił Cissi Wallin? Ona twierdzi, że tak. On twierdzi, że nie. Nikt z nas nie znajdował się pod łóżkiem, w którym wyładowali i nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Na tym generalnie polega sądowy problem z wieloma sprawami dotyczącymi przestępstw seksualnych. Brakuje świadków.

Czy Cissi Wallin próbowała w niektórych sytuacjach manipulować mediami? Są osoby, które tak twierdzą. Są i takie, które widzą w niej tylko ofiarę oraz waleczną aktywistkę, która pomogła tysiącom kobiet poświadczyć przy tym swój spokój.

Czy coś w tej historii jest jednoznaczne i pewne? Obawiam się, że nie. Jednocześnie zgodzę się ze słowami Sławomira Sierakowskiego, który w mojej własnej książce na temat wolności („Wolności moja. Książka o poszukiwaniu” ukaże się w październiku) mówi coś takiego: „Równość polega na równym prawie do błędów. Nawet jeśli pojawia się błąd, bo ktoś został źle i za szybko oceniony, to nie róbmy z tego pars pro toto, do wodu na to, że cancel culture jest zła.

Jak chcemy dać głos wykluczonym dotąd kulturom, jednostkom i podmiotom, to dajmy im też prawo i wolność, żeby zrobić czasem coś głupiego. Jeśli jednemu czy drugiemu facetowi stanie się krzywdą po pięciu tysiącach lat patriarchy, bo został źle potraktowany przez #MeToo, to nie jest to żaden problem. Albo jak jednemu czy drugiemu białemu będzie przykro, bo został skancelowany. To jest nic w porównaniu do Holocaustu rdzennych Amerykanów czy niewolnictwa”.

I to prawda. Nad Fredrikiem Virtanen nie będziemy płakać, bez przesady. Da sobie radę. W Szwecji doszło też jednak w czasie #MeToo do wydarzenia, które dla wielu ludzi jest jak otwarta rana. Nie da się go wyjaśnić tym, że nawet w najlepszych rewolucjach może, wręcz musi, pojawić się czasem jakiś błąd, bo rewolucje to rzecz ludzka.

Czego nie może sobie wybaczyć Åsa Linderborg?

Wygłąda na to, że krytycznej względem #MeToo książki Linderborg nie byłoby bez tragicznej sprawy Benny’ego Fredrikssona – wieloletniego dyrektora jednego z najlepszych teatrów w Szwecji.

Był grudzień 2019, gazeta „Aftonbladet” zaczęła publikować artykuły o tym, że Fredriksson jest dyrektorem autorytarnym i niedemokratycznym. 40 podwładnych świadczyło przeciw niemu, anonimowo. Po częściowo chodziło o to, że jest zbyt wymagający, zmusza do pracoholizmu, ale na fali #MeToo zaczęto dorzucać wiadomości, że molestował seksualnie pracowniczkę. Jeden z tytułów głosił, że „Fredriksson zmusił aktorkę do aborcji”. Åsa Linderborg pisała o tym w bardzo ostrych słowach.

58-letni Fredriksson został skancelowany i zniknął, ale powrócił na czołówki gazet pa-

rę miesiący później. Popelnił samobójstwo. Kilka dni po jego śmierci ogłoszono wyniki wewnętrznego śledztwa w teatrze, w którym pracował. Okazało się, że nikt nigdy nie oskarżał go o molestowanie seksualne. Powtarzam: nikt i nigdy. W tym temacie był czysty jak łąka.

Był za to bardzo wymagającym, niezbyt demokratycznym szefem i rzeczywiście powiedział jednej z aktorek, że w ciąży nie będzie mogła zagrać wymarzonej roli.

W tym roku ukazała się potężna i świetnie napisana przez Johana Hiltona biografia Fredrikssona. „Ostatni dyrektor teatru” jest opowieścią o człowieku, który zrewolucjonizował szwedzki teatr, a potem padł przypadkową ofiarą innej rewolucji.

Najgorsze jest chyba to, że gdy trwała nagonka na niego, nikt nie miał odwagi go bronić, dopiero po jego śmierci okazało się, że miał wielu przyjaciół. Czy to wina #MeToo? Powiedziałabym, że raczej wina ludzkich tendencji stadnych i braku odwagi cywilnej.

Åsa Linderborg uważa inaczej, oskarża nawet #MeToo, że na czas jakiś rewolucja doprowadziła do tego, że bycie ofiarą stało się sposobem na robienie kariery. Jej książka została zrównana z ziemią przez część szwedzkich feministek.

Jak w Polsce

Linderborg nie tylko uważa, że w czasie #MeToo szwedzkie media nie stanęły na wysokości zadania. Twierdzi też, że w całej masie publicznych wyznań, które przeanalizowała, znaleźć się da liczne historie kobiet „które, czują się wykorzystane, ponieważ pierwszy seks z mężczyzną nie doprowadził do niczego wielkiego”.

W Szwecji można zostać skazanym za coś, co jest raczej „nieporozumieniem i brakiem komunikacji”, a nie gwałtem

Nie może się też nadziwić wszystkim tym sytuacjom, w których ofiary molestowania, a nawet gwałtów po tym, jak zostały wykorzystane, nadal utrzymywały kontakt z oprawcą, spotykały się z nim i tak dalej. Dla Linderborg jest to podejrzane.

W wywiadach podkreśla, że jest feministką, ale obcy jest jej nowy feminizm (no czy nie brzmi to dokładnie jak słowa Magdaleny Czyż o „kwasifeministkach”?). Wierzy za to w feminizm, którego nauczyła ją mama: „równa płaca za taką samą pracę, dzielenie się obowiązkami domowymi, prawo do aborcji, wolna miłość”. Uważa, że nowy feminizm jest pruderyjny, wrogi seksualności i agresywny względem mężczyzn.

Zgadza się z nią między innymi publikowana też w Polsce pisarka i publicystka Lena Andersson. „Książka Linderborg jest pełna mizoginii” pisze za to Maria Sveland, pisarka i feministka, także opiniotwórcza i ciekawa. Twierdzi, że Linderborg to typowa „kowbojfeministka”, czyli kobieta, która sprzymierza się z mężczyznami zamiast z kobietami. „Kowbojfeministki chcą korzystać z praw, o które walczył ruch feministyczny, ale bez konieczności uczestniczenia w ciężkiej pracy na ich rzecz. Chętnie nazywają się feministkami, lecz zawsze dodają do tego jakieś „ale”. Nienawidzą pojęć takich jak siostrzeństwo. Chętnie się chwala, że mają mało przyjaciółek, bo wiadomo, kobiety są złośliwe, plotkują i nie potrafią się wzajemnie wspierać.” – pisze Sveland w recenzji książki Linderborg i dodaje, że powinna być to lektura obowiązkowa na kursach genderowych.

Autorka pokazuje, czym jest uwewnętrzniona, zinternalizowana mizoginia, a poza tym pozwala zrozumieć, jakie bzdury wypisywali i mówili krytycy #MeToo. Ludzie, którzy nie zrozumieli, że nie była to jakaś przepychanka w mediach, tylko „rewolucja, która zmieniła na dobre zarówno struktury polityczne jak i życie kobiet”.

Z Marią Sveland zgadza się wiele szwedzkich kobiet. I tak toczy się ta dyskusja, w której Szwecja jest jakby Polską, a Polska jakby Szwecją, i w której w moim odczuciu ponownie obie strony mają swoje istotne racje, a także ich nie mają.

Historia Elsy i Sebastiana

Mamy zwyczaj mówić, że rewolucja seksualna dokonała się na przełomie lat '60 i '70 zeszłego wieku na Zachodzie, że Polskę trochę ominęła, więc teraz nadrabiamy pewne opóźnienia. A nie jest to proste w kraju, w którym tak duży jest wpływ kościoła i brak porządnej edukacji seksualnej oraz taniej i powszechnie dostępnej antykoncepcji o prawie do aborcji nie wspominając.

Prawda jest jednak taka, że rewolucja seksualna nadal się toczy wszędzie. Zmieniają się definicje, wrażliwość, świadomość tego, co jest wolnością, a co wykorzystaniem. Dwoimy się i troimy, żeby jakoś to ogarnąć i często ładujemy w sytuacjach, które są cholernie niejednoznaczne.

Może taka jest zresztą natura seksu? Ot choćby fakt, że można intensywnie fantazjować o przekraczaniu różnych, także własnych granic, a zupełnie nie mieć na to ochoty w realu. Przykłady można mnożyć.

W Szwecji w czasie #MeToo zaproponowano i przeprowadzono zmianę prawa,

na, którzy spotkali się klubie, sporo wypili i zaczęli się całować. Całowanie przerodziło się w petting i palec Sebastiana wyładował w majtkach Elsy. Ta nie była pewna, czy tego chciała, porozmawiała o tym z koleżanką i razem wezwały policję. Wieczór w klubie zakończył się aresztowaniem Sebastiana.

Osiemnastolatek został skazany przez sąd rejonowy na trzy lata więzienia za gwałt. W kolejnych instancjach kara została zmniejszona do czterech miesięcy. Zgodnie z zapisami prawa Sebastian zgwałcił Elsę, która nie wyraziła zgody na taki rodzaj pieszczoty.

Szkopuł w tym, że nie jest wcale pewne, że taki sam wyrok wydałby inny szwedzki sąd. Największy problem z nowym prawem – poza tym, że być może definicja gwałtu jest w nim zbyt szeroka – jest taki, że z rozmów z prawnikami oraz ławnikami wynika, iż jest ono niejednoznaczne.

O wyrokach decyduje raczej wyczuć niż jasny zapis. Potwierdzają to tuzy szwedzkiego prawa, na przykład adwokat Thomas Bodström, który w latach 2000-2006 był ministrem sprawiedliwości w socjaldemokratycznym rządzie i znany jest z feministycznych poglądów.

W rozmowie z „Expressen” przyznaje, że po tych zmianach w sprawach o przestępstwa seksualne potrzeba dziś do skazania mniej dowodów, niż na przykład w sprawach dotyczących przestępczości zorganizowanej. „Od dawna zastanawiam się, dlaczego w przypadku przestępstw seksualnych do skazania wystarczą dziś zeznania jednej osoby, a nigdy nie byłoby to możliwe w sprawach dotyczących się gangów. Kiedy bronię gangsterów bywam zaskoczony, że tak łatwo oczyścić ich z zarzutów. W sprawach związanych z przestępczością seksualną jest dokładnie na odwrót”.

Nie jestem znawczynią polskiego prawa, ale czytając polskie media odnoszę wrażenie, że z kolei w polskich sądach, to ofiara przestępstwa seksualnego ma znacznie mniejsze szanse, by ją wysłuchano. W Polsce można kogoś zgwałcić i zostać łatwo uwolnionym.

W Szwecji można zostać skazanym za coś, co jak to ujmuję „Svenska Dagbladet” jest raczej „międzyludzkim nieporozumieniem i brakiem komunikacji”, a nie gwałtem, jak w głośnej sprawie Elsy i Sebastiana.

Wiadomo już, że nowe prawo musi iść do poprawki.

Czy oznacza to, że w Polsce jest do brze a w Szwecji źle? Albo że w Szwecji jest wspaniale, a w Polsce zupełnie nie? Absolutnie nie w tym rzecz.

Chodzi raczej o to, że erotyka jest obszarem niejednoznaczności i że żyjemy w czasie zmieniających się norm, stylu życia, wrażliwości i rozumienia tego, czym jest nasza podmiotowość. Wszystko negocjujemy na nowo. W takich okresach trzeba ze sobą nieustannie rozmawiać i bardzo uważnie się słuchać.

Historia napalonej baby

Nie sądzę, by w słuchaniu pomagało wzajemne obrzucanie się inwektywami. Nie pomaga też marzenie o czarno-białym uproszczeniu. W swojej nowej książce opowiadam historię fascynującej mnie od dawna szwedzkiej pisarki i ikony feminizmu Kerstin Thorvall, która w latach 70. zeszłego wieku wydała książkę tak wyzwoloną i nowoczesną, że w Polsce byłoby na nią za wcześnie jeszcze dziś.

Nosi tytuł „Jag minns alla mina älskare och hur de brukade ta på mig” (Pamiętam wszystkich moich kochanków i to, jak mnie brali) i opowiada o swoim przebudzeniu seksualnym, które dokonało się, gdy miała troje dzieci i zbliżała się do pięćdziesiątki.

Tak! Miała menopauzę, kiedy odkryła seks. Zaczęła szukać radości i osobistej wolności, robiła to na niespotykaną skalę. Z przytupem i z pełną świadomością ryzyka oraz tego, że jej wolność nie pasuje do uprządkowanego świata, w którym przyszło jej żyć, do płci, w której się urodziła. A już na pewno nie do jej mocno średniego wieku.

Kiedy już zaczęła szaleć, trudno jej było przestać. A przecież do dziś jest tak, że mężczyzna pod sześćdziesiątkę z młodszą partnerką nikogo nie gorszy, za to kobieta w tym wieku poszukująca młodych kochanków i to wielu, budzi zniesmaczenie.

Pisano więc o niej pogardliwie kåtkår-ring, co da się przetłumaczyć „napalona ba-ba” oraz knulltant, coś jak „podstarzała, która chce się pieprzyć”. Recenzenci nie wybierali w słowach. Björn Nilsson ironizował w „Expressen”: „Spódnica podejżdża raz w górę, raz w dół, w górę i w dół. Można mówić, co się chce o Kerstin Thorvall, ale nie da się jej oskarżyć o lenistwo”.

Szkowała nie tylko otwartością w opisywaniu seksualnych przygód. Otwarcie przyznawała się też do zaniedbywania obowiązków macierzyńskich. Znienawidzono ją za to, a potem wyniesiono na szczyty. Uznano za wyrazicielkę nowej epoki. Ważną feministkę i pisarkę. Uwielbiano ją. A ona uwielbiała seks, także ten niezobowiązujący, jednorazowy, taki, o którym w społeczeństwach konserwatywnych mówi się pogardliwie „zaliczenie” – to kobiety są w takich kontekstach zaliczane.

Kiedy miała sześćdziesiąt lat, rozstała się z wieloletnim kochankiem i poczuła, że dla kobiet w jej wieku i z jej apetytem na życie nie ma w Szwecji przestrzeni. Zupełnie nie interesowały jej akceptowane społecznie rozrywki dla „starszych pań”: opieka nad wnukami, koncerty muzyki poważnej i wyprawy do teatru w towarzystwie koleżanek.

Spakowała się i poleciała do Senegalu, żeby uczyć się afrykańskiego tańca. Oczywiście nie szukała tylko nowych rytmów. Jej autobiograficzna powieść „Svart resa” („Czarna podróż”) z 1987 roku zaczyna się słowami: „Można to ująć tak. Kiedy biali mężczyźni już jej nie chcieli, przerzuciła się na czarnych. Nic na tym nie straciła. Ich były większe.” Wyprawy do Tobago, do francuskiej Gujany i Tunezji stały się jej nowym sposobem na życie.

W swoich literackich konfesjach nie kryła się z tym, że zdarzało jej się za seks płacić. Przez długi czas nikt na to nie reagował. Dziś, długo po śmierci Thorvall, pojawiają się w Szwecji głosy oskarżające ją o rasizm, o to, że była seksualną turystką, że wykorzystywała i uprzedmiotawiała i w ten sposób przekroczyła nieprzekraczalne granice wolności.

Dlaczego o tym piszę? Bo mamy tu kolejny przykład płynności naszego myślenia nie tylko o seksie, ale także o tym, co jest w nim wolnością, a co wykorzystaniem. Mamy też wyjątkową feministkę, która zrobiła dużo ważnych rzeczy dla wyzwolenia kobiet. Była wspaniała. Ale okropna też. Bo była człowiekiem.

Nie wiem, co począć z tym, że jesteśmy ludźmi i czyni nas to niejednoznaczni. Nie wiem, jak oceniać sprawę studentek z Poznania. Znaką życie domyślam się, że część z nich była ofiarami, a część wcale nie. Na pewno wiem tylko jedno: to dialog i rozmowa czynią demokrację i w dobrej rozmowie chodzi właśnie o to, by słuchać i czytać także tych, którzy nas wkurzają i z którymi się nie zgadzamy. Tylko w ten sposób możemy się jakoś odnaleźć w rewolucji, która być może nigdy nie będzie mieć końca. Być może samo życie jest nieustanną rewolucją. ●



FOT DAREK LEWANDOWSKI

Katarzyna Tubylewicz

- pisarka, kulturoznawczyni, dziennikarka i tłumaczka literatury szwedzkiej.
- W październiku nakładem wydawnictwa Wielka Litera ukaże się jej nowy zbiór reportaży „Wolności moja. Książka o poszukiwaniu”. Prowadzi podkast „Morze możliwości”

Jak naprawić państwo?

Żeby rządy prawa były trwałe, powinniśmy je przywracać na drodze żmudnej pracy organicznej.

Tomasz Tadeusz Koncewicz*

Wydaje się, że niewiele zostało z obywatelskiej euforii i mobilizacji oraz politycznych obietnic wygłaszanych po wyborach 15 października. Dziś pogrążamy się w zwodniczą i destrukcyjną politykę tu i teraz, mikrozarządzanie z dnia na dzień i unikanie rzeczywistych problemów.

Słyszymy kompromitujące tłumaczenia, jak w przypadku głosowania w sprawie dekryminalizacji aborcji. W tym kontekście przypomnijmy sobie próbę postawienia przed Trybunałem Stanu ministra sprawiedliwości, późniejszego niszcyciela wymiaru sprawiedliwości. Wtedy też zabrakło pięciu głosów posłów, którzy nie przyszli, jak teraz, do Sejmu. Kalkulacja polityczna zwycięża nad zasadami i wiernością wobec konstytucji. Miało być lepiej, jest jak zwykle.

Gdy to piszę, upływ czasu nie jest, niestety, naszym sprzymierzeńcem. Przeszłe bezprawne działania pozostają nierozliczone, a w konsekwencji zamazują się w pamięci ludzkiej. Magister Przyłębska w oczach opinii publicznej staje się „prezesem”. Falszywi uzurpatorzy sędziami konstytucyjnymi. Trwająca bezprawność staje się elementem naszej rzeczywistości, którą zaczynamy akceptować.

Warto zadać pytanie, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy. Chodzi nie tylko o odbudowę praworządności, ale także przyzwoitości w życiu publicznym.

Gdy myślę o odbudowie państwa prawa, nadal czuję emocje. Chodzi o konstytucyjny pryncypializm, który musi się stać – a nadal nie jest – nową narracją polityków, prawników i obywateli. To niezbędne, jeśli ma się nam udać nie tylko w sensie normatywnym (trwa dyskusja, czy praworządność przywraca ustawą, czy uchwałą), pragmatycznym (pytanie o konsekwencje utrzymywania niekonstytucyjnego stanu rzeczy), ale także symbolicznym (dlaczego przywrócenie państwa prawa jest niezbędne?).

Aby móc sformułować recepty, niezbędne jest przyjęcie pewnych założeń. Kluczowe jest podkreślenie, że z uwagi na skalę bezprawia, chodzi o rozwiązania optymalne, a nie doskonałe. Optymalne, bo będące sumą tego, co jest możliwe z perspektywy prawnej i faktycznej w ramach konstytucji i wyroków sądów międzynarodowych.

Prawidłowe opisanie punktu startu zdeterminuje trasę oraz wybory legislacyjne, a także skalibruje punkt docelowy. Trasa musi być wierna konstytucji. To podstawa. Wierność konstytucji to więcej niż przywiązanie do jej tekstu, to także wartości i zasady.

Punkt docelowy to przywrócenie znaczenia podstawowym elementom porządku prawnego, a następnie lepsze ich zakorzenienia w świadomości społecznej. To konieczne, aby wydarzenia 8 lat rządów PiS nigdy się nie powtórzyły.

W latach 2015-23 nastąpiła w Polsce zmiana konstytucyjnego profilu państwa. Mieliśmy do czynienia z bezwzględną wojną z konstytucją. Prowadzono ją za pomocą niekonstytucyjnych uchwał Sejmu, tzw. orzeczeń wydawanych przez osoby powołane do TK w spo-

sób niezgodny z konstytucją, a także za pomocą niekonstytucyjnych ustaw, a najczęściej stosując siłę. Tworzyło to miksturę, której podanie było zabójcze dla instytucji i niezwykle wątlej kultury państwa prawa.

Dlatego gdy dzisiaj mówimy o odbudowie, działania nie mogą mieć tylko charakteru techniczno-normatywnego. Każde rozwiązanie musi realizować cel podstawowy: przywrócenie znaczenia kluczowym elementom naszego słownika prawniczego i obywatelskiego, które zostały odarte ze znaczenia: sąd konstytucyjny, państwo prawa, konstytucja, integracja, szacunek, powaga prawa, godność instytucji, podział władzy, kultura ograniczenia.

O doborze metod muszą decydować: *rozkład wartości konstytucyjnych dla konkretnej sytuacji; *konsekwencje utrzymania stanu niezgodnego z konstytucją dla porządku prawnego; *emocje i pamięć o bezwzględności, z jaką prawo było niszczone.

Te emocje i pamięć nie mają nic wspólnego z rewanżyzmem. Powinny być jednak brane pod uwagę, gdy w dobrej wierze kalkulujemy, jak działać, aby przywrócić konstytucji jej właściwe znaczenie.

Musi być jasne, że ludzie odpowiedzialni za destrukcję państwa prawa nie mogą nadal mieć przewagi nad tymi, którzy powagę konstytucji chcą przywrócić. A mają ją, niestety, i będą mieli, jeśli bezradnie zaakceptujemy i nie usuniemy truziczn i pułapek zastawione przez nich wewnątrz systemu.

Wybrane przez nas metody muszą być proporcjonalne do konsekwencji utrzymywania stanu obecnego bezprawia.

Prawnicza i legislacyjna wyobraźnia może napędzić ożywczą zmianę, ale potrzebna jest też gotowość do działań poza schematem. Niektóre z nich będą zgodne z zasadą legalizmu i literą prawa, a inne będą działaniami specjalnymi, co jednak nie oznacza, że niepraworządny. Nie każda interpretacja wychodząca poza brzmienie przepisu musi być niezgodna z prawem. Gdy nasze literalne odczytanie prawa prowadziło do absurdów czy rozwiązań niesprawiedliwych, wtedy możemy je przełamać, aby te absurdy i niesprawiedliwości wykluczyć.

Podobnie z wyborem metod przywracania praworządności. Czasami oparcie się tylko na literze prawa będzie prowadziło do absurdalnych konsekwencji, ale oczywiście w imię formalnego i destrukcyjnego legalizmu. Naiwne jest np. myśleć, że należy poczekać, aż skompromitowani sędziowie TK odejdą, a także wiara, że się teraz nawrócą. Nie nawrócą się!

Przemyślenie takiego legalizmu wymaga wysiłku i kreatywności. Da się to zrobić, ale tylko wtedy, gdy nasz azymut będzie wyznaczony przez wierność konstytucji.

I w tej sprawie dziewięć miesięcy po wyborach 15 października przegrywamy z kretesem.

W latach 2015-23 dostaliśmy bardzo bolesną lekcję: budowane odgórnie państwo prawa i demokracja liberalna okazały się zamkiem na piasku, który runął przy najmniejszym wstrząsie. Dyskutując, jak je odbudowywać, nie możemy sprowadzić debaty do technicznego sporu polityków i prawników przerzucających się argumentami niezrozumiałymi dla tych, którzy powinni być w centrum dyskusji – obywateli.

Musimy zadawać sobie pytanie i rozliczać z odpowiedzi, w jaki sposób nasza dyskusja może być lepiej osadzona społecznie i stać się żywym doświadczeniem, aby była trwała, zapadła w pamięć obywateli. To pytanie wykracza poza spór prawników i stawia przed nami bardziej wymagające wyzwanie: Jak wyjaśnić, na czym polegają rządy prawa? Jakim językiem o nich mówić do ludzi? Jak dotrzeć do obywateli?

Osiem lat demontażu państwa prawa i wcześniejszy okres prawniczej bierności nie działają na naszą korzyść i nie sprzyjają budowaniu wiarygodności zawodów prawniczych ani przekonywaniu obywateli, że rzeczywiście nam zależy. Dlatego każdy z nas powinien zadawać sobie pytanie, co może zrobić, aby było lepiej. Nie tylko pisać, ale także jeździć po Polsce i rozmawiać z tymi, którzy się boją, są nieufni i czują resentyment. Wyjaśniać – i co najważniejsze – ich wysłuchać.

Bądźmy gotowi powiedzieć „nie”, gdy dzieje się niesprawiedliwość. Nie akceptujmy stwierdzenia: „Nie, tego nie można zrobić”, ponieważ to uczy bierności tak pożądanej przez autokratów.

Żeby jakakolwiek społecznie „dobra zmiana” była trwała, musi się rozpocząć i rozwijać w postawach ludzi i nigdy nie może być przyniesiona „w prezencie” od rzekomo życzliwych im rządzących. Każda zmiana zaczyna się na poziomie mikro: w rodzinie, wśród przyjaciół, sąsiadów, w społeczności lokalnej – gminie czy powiecie. Taka zmiana trwa znacznie dłużej niż eksperymentowanie odgórne i jest przerażającą propozycją dla prawników (i polityków), którzy rozkoszują się zwodniczo prostym odgórnym podejściem do instytucji i rządów prawa.

Czy jesteśmy gotowi do przywracania rządów prawa na długiej drodze żmudnej pracy organicznej, a nie doraźnych działań dla chwilowego poklasku? Czy jesteśmy w stanie przezwyciężyć naszą polską ulotną gorliwość i popędliwość a postawić na wytrwałość?

Wybory z 15 października niczego jeszcze nie załatwiły. Raczej dały nam wszystkim jeszcze raz szansę i rzuciły wyzwanie, aby tym razem działać i myśleć długofalowo oraz pryncypialnie. Nasza wyobraźnia i odwaga muszą napędzać działania i rozwiązywanie już w „punkcie wyjścia”, a wybierane metody w „trasie” powinny nas doprowadzić do „punktu docelowego”. Jest nim odbudowa praworządności i przywrócenie powagi konstytucji.

Chodzi też o odwrócenie procesu delegitymizacji instytucji i mocniejsze ukorzenienie ich społecznego mandatu, tak aby obywatele z nimi się identyfikowali i byli gotowi ich bronić. To kluczowy aspekt dla długofalowej pomyślności rządów prawa w Polsce. Tylko wtedy konstytucja ponownie stanie się naszą KONS-TY-TUC-JĄ, a Polska na nowo przyzwoitym państwem prawa. ●

Tomasz Tadeusz Koncewicz

- profesor prawa, kierownik Katedry Prawa Europejskiego i Komparatystyki Prawniczej, Uniwersytetu Gdańskiego, członek Editorial Board Oksfordzkiej Encyklopedii Prawa. Zasiada w Radzie Fondation Jean Monnet pour l'Europe w Lozannie.

Małgorzata Skowrońska

Nie czuję się mądry specjalnie, być może także z powodu mojego udaru, ale czuję się wyzwolony. Jestem stary. Jest to właściwie odkrycie. Np. nie mogę już szybko chodzić. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę jeszcze mógł. Uczę się życia innego, niż miałem do tej pory” – mówił Annie Goc ks. Adam Boniecki w „Tygodniku Powszechnym” tuż przed 89. urodzinami.

Od tego czasu minął rok, a redaktor senior „TP” wrócił do publicystycznej formy, na łamy katolicko-społecznego czasopisma wróciły jego felietony, a w księgarniach można kupić jego najnowszą książkę „Testament”. To refleksja kogoś, kto z pełną świadomością zbliża się do kresu życia: jest tu miejsce na pożegnania, ale też powitania, przeprosiny i wybaczenie, życiowe odpowiedzi i praktyczną duchowość.

Mocny głos

Głosu duchownego brakowało, gdy dochodził do siebie po udarze. Podobnie jak wtedy, gdy macierzysty zakon nałożył na niego zakaz udzielania się w mediach.

Był rok 2011, ks. Boniecki w „Kropce nad i” pytany o to, czy krzyż powinien wisieć w Sejmie, czy nie, odparł: „Obie odpowiedzi są poprawne”. Cichy knebel nałożony przez kościelnych zwierzchników okazał się naprawdę dobrym wzmacniaczem tego, co mówił i mówi ks. Boniecki.

I nie chodzi tu tylko o to, że przekorę mamy w naturze. Wiadomo: zakazują czegoś, trzeba po to sięgnąć. Natychmiast okleiliśmy się wówczas kolportowanymi wraz z „Tygodnikiem Powszechnym” naklejkami z napisem: „Ks. Boniecki ma głos (w moim domu)”.

Akcja była promocyjnym sukcesem, ale nie to jest najważniejsze. Redaktor senior dał nam wtedy dobrą lekcję konstruktywnej opozycji i tego, że nie zawsze siła górą. W tej rozgrywce z kościelną instytucją, która woli cichych i bezrefleksyjnych oddanych wiernych, wiedział, po jaką strategię sięgnąć.

I gdy trzeba było w 2017 r. zabrać głos w sprawie mniejszości seksualnych czy też wygłosić kazanie na pogrzebie Piotra Szczęsnego – „szarego człowieka”, który w akcie przeciwko antydemokratycznemu rządowi PiS dokonał samospalenia – ks. Boniecki nie bał się publicznych wystąpień. Obrywał za to od tych, którzy roszczą sobie prawo do stanowienia, czym jest i czym powinno być chrześcijaństwo.

Nie wiem, skąd ks. Boniecki w chwilach konfliktu czerpał siłę. A tych od czasów, gdy związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”, najbardziej niepokornym katolickim pismem w Polsce, było sporo. Pytany o to podczas spotkań z czytelnikami, odpowiada, że z... pokory. To odpowiedź z gruntu chrześcijańska, ale nie do końca prawdziwa. Oprócz pokory są też w nim życiowa roztropność i brak rozgoryczowania, gdy trzeba udowodnić swoje racje.

W dzisiejszych czasach, gdy tak łatwo kciukiem w dół i zjadliwym, pseudointeligentnym komentarzem da się pognać oponenta, dystans nie jest czymś oczywistym. A ks. Boniecki zawsze potrafił go złapać. I dlatego potrafi napisać w życzeniach do chrześcijan: „Byśmy w imię dobra czy bezpieczeństwa naszych instytucji nie dawali się wrabiać w uzależnienie od jakiejkolwiek ideologii czy politycznej strategii”.

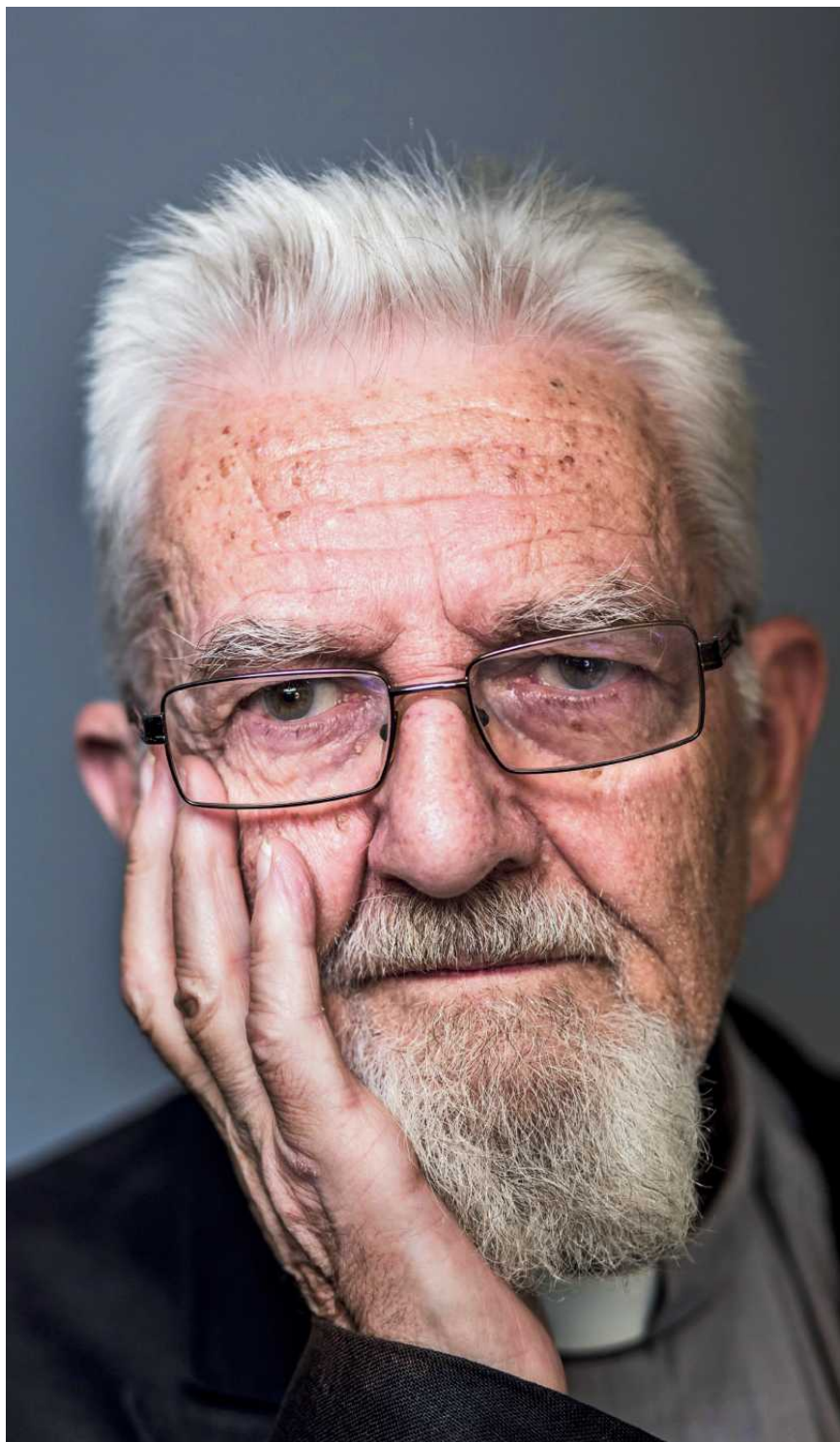
Jak modnaleźć się w ułomnym ciecie

Z czego ten dystans wynika? Czy można się go nauczyć? „Człowiek pewny swojej ojczyzny nie będzie szalał na jej punkcie. Człowiek pewny swojej wiary nie będzie wszę-

90. urodziny ks. Adama Bonieckiego

UCZĘ SIĘ INNEGO ŻYCIA

*Gdy ma się 90 lat,
trzeba się przygotować,
że abonent będzie
za chwilę czasowo
niedostępny*



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

dzie węszył jej prześladowań. I odwrotnie. To niepewność własnych przekonań budzi agresję obronną u wszystkich stworzeń, które atakują, nie widząc innego ratunku” – w tym fragmencie felietonu ks. Bonieckiego pt. „Nasza biedna agresja obronna” widzę zaczątek odpowiedzi.

Sam Boniecki przyznaje jednak, że im człowiek starszy, im więcej doświadczył i przeżył – a to nie są jednoznaczne słowa – im więcej widział, tym łatwiej o dystans. Owszem, ale tylko przy zachowaniu otwartości na świat, a ta – bywa i tak – że z czasem się ulatnia.

W Polsce, szczególnie tej katolickiej skoliżonej z władzą, brakuje takiego życzliwego patrzenia na to, co inne. Stąd hasła o cywilizacyjnych wojnach i ideologiach. Im więcej w naszym życiu kwantyfikatorów ogólnych, przejawiających się w wielkich słowach, tym większy syndrom oblężonej twierdzy. Boniecki nie dał się w niej zamknąć, choć na pewno byłoby to dla niego wygodniejsze niż pozostawanie poza jej murami.

Gdy ma się 90 lat – mówi Boniecki – trzeba się przygotować na to, że abonent będzie za chwilę czasowo niedostępny. Jego właśnie wydany „Testament” nie jest jednak rozliczeniem z życiem, ale poradnikiem, jak odnaleźć się w chorobie, ułomnym ciecie. Jak przygotować się na kres. Nie ma w tych radach skarg, jest ciekawość tego, co po drugiej stronie. Czy w ogóle jest jakaś druga strona?

Czy wiara mu pomaga? Czy daje potrzebne oparcie? „Wiara to wiara – pisze Boniecki – nie da się jej do końca obronić albo udowodnić. Patrząc na to, jak byłem formowany w seminarium i jak myślę dzisiaj, widzę, że pewne sprawy wcale nie są takie łatwe i oczywiste.

Proste sformułowania, które wypowiadałem, już się nie sprawdzają. Stara teologia była bardzo rygorystyczna i pewna siebie. A przecież właściwie wszystko to, o czym rozmawiamy, sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga”. ●

Dziewięć dekad z ks. Bonieckim

Ks. Adam Boniecki urodził się 25 lipca 1934 r. w Warszawie. W latach 1999–2011 był redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego”, z którym związany jest od 1964 r. Do dziś jest redaktorem seniorem pisma.

W czasach PRL był wychowawcą niepokornej młodzieży, m.in. w krakowskim duszpasterstwie św. Anny, i współpracownikiem opozycji demokratycznej, zwłaszcza Komitetu Obrony Robotników. W latach 70. podróżował po Europie, gdzie opisywał posoborową przemianę w Kościele.

Jest autorem monumentalnego „Kalendarium życia Karola Wojtyły”. Na polecenie Jana Pawła II tworzył polską edycję „L'Osservatore Romano”. Brał udział w papieskich pielgrzymkach jako dziennikarz, był także emisariuszem watykańskim w Polsce w czasie stanu wojennego.

Jest członkiem Zgromadzenia Księży Marianów, w latach 1993–99 był przełożonym generalnym tego zakonu.

Od przełomu w 1998 r. jest jednym z najważniejszych komentatorów i publicystów zajmujących się obecnością Kościoła katolickiego w życiu publicznym. Autor wielu książek, m.in. „Rozmów niedokończonych”, „Lepiej palić fajkę niż czarownice”, „Sprawdzian z miłości. Jak kochać w czasach nienawiści”, „Dobro. Jak być optymistą w trudnych czasach”, „Abonent chwilowo nieosiągalny”. Najnowsza to „Testament”. Laureat wielu nagród, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i komandorią Narodowego Orderu Zasługi Republiki Francuskiej.

Medytacja nad nadzieją

ODETCHNIJCIE, KTÓRZYŚCIE DUŻO CIERPIELI

Filozof Gabriel Marcel:

„Ukochać jakąś istotę, to powiedzieć jej: ty nie umrzesz”.

Wojciech Zalewski*

Obraz „La Corniche koło Monako” (na zdjęciu z prawej) pędzla wybitnego impresjonisty Claude’a Moneta przedstawia górską drogę biegnącą wzdłuż śródziemnomorskiego wybrzeża w okolicach Monako właśnie na francuskim Lazurowym Wybrzeżu.

Gdy dokładnie przyjrzymy się obrazowi, zauważamy na nim ledwo dostrzegalną, niewielką, niewyraźną postać człowieka. Podąża on środkiem piaszczysto-skalistej drogi, rozpostartej między skromną, śródziemnomorską zielenią. Ten człowiek jest sam, nie ma nikogo obok niego.

Po jego lewej stronie dostrzegamy rozświetlone, odbijające światło słoneczne, bezkresne morze. Po prawej stronie domyślamy się zakrętu prowadzącego na wzniesienie. Przed nim zaś, w oddali, nieco zamglona przez zawieszony w powietrzu krople morskiej wody, potężna, budząca respekt, wypiętrza się z morza w gwałtownym geście góra.

Góra ta może być rozumiana jako przeszkoda. A może to ona jest celem podróży wędrowca? Albo inaczej, może raczej to, co jest po jej drugiej stronie, a co jest już dla nas – oglądających obraz – niedostępne? Czego nie widzimy? Czego możemy się jedynie domyślać? Co musimy sobie w końcu wyobrazić? Czy nic tam nie ma? Czy horyzont kończy się na górze? Przeciwnie, horyzont jest otwarty ze wszystkich stron. Lazurowe morze jest bezkresne, nie widać jego końca. Słoneczne, równie lazurowe co morze niebo także nie znajduje żadnych ograniczeń.

I teraz zwróćmy uwagę: góra jest wpisana w kontekst lazurowej, morsko-niebiańskiej nieskończoności. I to jest znaczące. Nieskończoność i jej istotowa nieprzejrystość. Tajemniczość.

Wróćmy do człowieka znajdującego się na drodze. Blaise Pascal powiedziałby o nim zapewne, że – podobnie jak okalające go rośliny – „jest tylko trzciną, najwężlejsza w przyrodzie (...). Nie potrzeba – mówi dalej Pascal – by świat cały uzbroidł się, aby go zmiażdżyć: mgła, kropla wody wystarczą, aby go zabić. Ale gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim. Wszechświat nie wie nic o tym” (przekład Boya).

Czego zatem szuka samotny człowiek na drodze? Z pewnością wypatruje nadziei. Nadziei apelującej do nieskończoności, na obrazie symbolizowanej przez bezkresny lazur morza i nieba.

Nadzieja należy do rzędu pojęć pozytywnych. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Budzi się ona w nas najpierw



w rozmaitych sytuacjach, takich jak np. narodziny dziecka czy spotkanie ukochanej czy ukochanego. Czujemy wtedy spełnienie i radość. Budzi się w nas miłość i, by tak to ująć, czujemy, że żyjemy. Życie jawi się jako obiecujący, otwarty horyzont. Czas zaś jest przez nas przeżywany jako zasada nieustannego rozwoju, wzrostu.

Ale... Tak jest do chwili, w której zdamy sobie sprawę, że przecież wszystko jest ulotne. W którymś momencie, niestety, rzeczywistość odwraca się przeciwko nam. Wzrost zostaje zamieniony na stopniowe, powolne cofanie się. To, co wcześniej było takie bliskie, teraz stopniowo się oddala. To, co było pełne radości, krok po kroku odchodzi w cień. A czas? Czas – wcześniej-sza zasada obietnicy – ukazuje swoje drugie oblicze, odsłaniając, że w istocie jest on zasadą przemijania. Tak, chcę to podkreślić z całą mocą, czas to – w istocie – przemijanie. Utrata.

Żyjąc, nieustannie przecież tracimy. Zyskujemy, to prawda, ale tylko do momentu. W istocie jednak tracimy. Dlatego biblijny Kohelet mówi, że wszystko, czego doświadczamy, to marność. Jego słynne „Nic nowe-

go pod słońcem” to świadectwo przeżywania czasu jako, w istocie rzeczy, zamkniętego kręgu, sponad którego nie widać już żadnego horyzontu.

Lata, miesiące, tygodnie, dni, godziny, minuty, sekundy... Wcześniej były zasadą wzrostu, teraz stają się oczekiwaniem na wyrok. I wiemy, że nie ma od niego żadnego odwołania. W którymś momencie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że do naszej kondycji przynależy nieuchronnie skończoność. Jesteśmy skończeni. To znaczy, powoli odchodzimy.

Dokąd? Gdzie? Odpowiedź czysto sekularna brzmi: donikąd. I tutaj rodzi się sprzeciw czy, innymi słowy, nadzieja. To tutaj słowo to, w moim przekonaniu, odsłania swoją właściwą, bo dramatyczną dynamikę.

Wróćmy raz jeszcze do punktu wyjścia. W intensywnym przeżyciu, w miłości budzi się w nas nadzieja rozumiana jako pozytywna obietnica, że oto życie nam się daje. Może być tylko dobrze, tylko lepiej, a nasze zamieszkiwanie życia wiąże się z nieustannym potęgowaniem tego, co rozpo-

znajemy jako słuszne i konieczne. Lecz przychodzi chwila.

„Ach ten dzień”, mówi jeden z bohaterów filmu Bergmana „Siódma pieczęć”. Dzień, w którym to, co dotąd było przez nas wypierane, staje się faktem. Dzień, w którym wiemy, że jesteśmy ograniczeni i tak, jak mamy swój początek, tak i mamy swój koniec.

Tischner mówi o tym za Schelerem: tragiczność. Camus: absurd. Marcel: zniewolenie, Ricoeur: zło. Są też tacy, którzy będą mówili o skandalu czy, jak Adorno, o rozczarowaniu wyrażonym w pełnym rezygnacji zawołaniu: „Ach, więc to tylko tyle”.

Jak na to odpowiedzieć? Czyż jedyną odpowiedzią nie jest właśnie nadzieja? Kto z całą odpowiedzialnością może powiedzieć, że ta jest nieprawomocna? Zakazana? Nieracjonalna? Nadzieja na co? Odpowiedzmy: nadzieja na przeżycie śmierci.

Trzymanie się nadziei. Trzymanie się jej jako możliwości. „Niewykluczone, że...” – przekonuje nas wewnętrzne jej poczucie. Raz jeszcze: kto z całą pewnością może powiedzieć: nadzieja jest czymś niepoważnym? Z wnętrza jakiego postanowienia? Mówiąc zdecydowanie: jakim prawem?

Odpowiedź polemistów brzmić będzie: prawem konieczności. Bo, rzeczywiście, trudno polemizować z faktem – pragnę podkreślić to słowo – faktem jest to, że przecież nie będziemy się wiecznie rozwijać. Nie będziemy wiecznie żyć. Ale może?

Józef Tischner mówi, że w historii człowieka wydarza się coś takiego jak chrześcijaństwo. Precyzując, pojawia się obietnica zmartwychwstania zwiastowana przez opowieść o Jezusie Chrystusie. Opowieść zupełnie unikatowa, jedyna w swoim rodzaju, nieporównywalna z niczym innym, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że opowieść ta przebiła się, by tak rzec, przez zasłonę dziejów i z mniejszymi lub większymi zawirowaniami definiuje jednak uniwersum naszej kultury po dziś dzień.

Przesłanie Chrystusowego zmartwychwstania przekonuje nas o tym, że śmierć to nic innego jak pozór. Zasłona, którą – jako taką – można przecież zdjąć. Że to, co jawić się może jako konieczne, jest nie mniej i nie więcej jak nieporozumieniem.

Ale to wszystko może być zrozumiane tylko z jednego powodu. To on RACJONALIZUJE nadzieję i czyni ją prawomocną. Tym powodem jest doświadczenie miłości. Bo przecież tak naprawdę to tylko jej intensywny konkret zawarty w bliskości drugiej osoby może mieć tutaj ostatnie słowo. Tylko ona może rozproszyć mroki wątpliwości. Tylko złapanie się wyciągniętej ku nam ręki ukochanej osoby może stanowić porękę nadziei, że oto życie nie kończy się w momencie biologicznego ustania funkcji życiowych.

Przeciwnie, przekonuje nas intuicja nadziei, pełnia dopiero się odsłania. Dlaczego? Bo nie może być inaczej. W przeciwnym razie nasze życie jest ponurym absurdem, ową Szekspirowską opowieścią idioty, skandalem.

I tutaj może odsłonić się przed nami – nie boję się tego słowa – cud. To, co jawiło jako utrata i przemijanie, może się PRZEISTOCZYĆ. Na powrót stać się obietnicą. Obietnicą, która biegnie w nieskończoność.

Mamy nadzieję, żyjemy nią, bo zależy nam na tym, co kochamy.

I nie możemy dopuścić do siebie możliwości, że życie może kończyć się ot tak, jak gdyby nigdy nic

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Miron Białoszewski*

Żyd

Żyd nędzny, obłąkany, zarośnięty w brudzie.
Ustrojony odświętnie w sabatowe lachy,
Kręci się wkoło rynku między mrowiem ludzi
I mamle ogłupiałe modlitwy – – – postrachy.

Przeżył luny pożarne, bomby i kartacze,
Tułaczkę pstrych w toboły pielgrzymów wychudłych
I nie trudził się nawet spytać, co to znaczy,
Drapiąc roztargane robaczywe kudły.

Patrzył ślepo na groby rozsiane po mieście,
Na wyciągane z ziemi zacuchnięte bryły,
Na skrzynie z trupim chlorem, których świat nie pieścił,
Lecz gnał po pięć, po dziesięć, na cmentarz, co siły...

Żyd czarny rozmamlany i zaskorupiały
Chodzi dokoła rynku jedną ciągle drogą,
Na nogach ciągnie stare zgnojone sandały,
Oslania się lachmanem, jak senator togą.

Łazi po rozbłoconych kamieniach ulicy,
Mamrocze sam do siebie, gałganami macha...
(Może jemu coś Jahwe powie w tajemnicy,
Prorokowi w zawszonych sabatowych lachach?)

WARSZAWA, 18 WRZEŚNIA 1942



***Miron Białoszewski** – 1922-83. Poeta, prozaik, twórca teatralny, współtwórca amatorskiego eksperymentalnego Teatru Osobnego. Wydał m.in. tom wierszy „Obroty rzeczy”, prozę „Pamiętnik z powstania warszawskiego”, zbiory „Donosy rzeczywistości” i „Szumy, zlepy, ciągi”. Wiersz za: Białoszewski, „Polot nad niskimi sferami”, PIW, Warszawa 2017

FOT. TADEUSZ SOBOLEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ność, jak gdyby nie przejmując się czasem. Wykraczając w stronę ponadczasowości, wieczności, nie-skończoności.

Jak mówi Gabriel Marcel, podając bodajże najpiękniejszą „definicję” miłości: „Ukochać jakąś istotę, to powiedzieć jej: ty nie umrzesz”. I to jest istota sprawy. To jest, mówiąc językiem fenomenologii, „eidos” [istota] nadziei. Nadzieja, czyli miłość wbrew wszelkiej nadziei, jak gdzie indziej dopowiada w sposób świadomie paradoksalny ten francuski filozof.

Życie „w objęciach” tak rozumianej nadziei nie jest, w moim najgłębszym osobistym przekonaniu, odwróceniem perspektywy, zdradą „tego świata” na rzecz wymaginowanej, nierealnej mrzonki „innego życia”. Przeciwnie, nadzieja to ujrzenie, iż „ten świat” to – zgodnie z przesłaniem wiersza Herberta „Zaświaty Pana Cogito” – to tak naprawdę tamten świat. I odwrotnie. Píše Herbert, z wnętrza owego Cogito – myślenia, poszukiwania: „to co tu/ jest tam/ to co tamten świat/ tutaj”. Wszystko więc, co zachodzi, co się dzieje, dzieje się w świetle nadziei, odzyskując tym samym swój intensywny, pełny znaczenia blask.

Nie ma więc żadnego „tam” ani „tutaj”. Nadzieja ośmiela nas do tego, by odkryć tę istotową tożsamość pomiędzy nimi, by połączyć w sobie odwieczną dualność ciała i ducha, materialności i formalności, konkretności i abstrakcyjności, transcendentności i immanentności. Bo one są jednym i tym samym.

Skąd on to wie? – zapyta niejeden podejrzliwy filozof czy po prostu sceptyk. Oczywiście, w ścisłym sensie słowa, tego nie wiemy. Dlatego właśnie mowa o nadziei i jej prawomocności. Mamy ją, żyjemy nią, bo zależy nam na tym, co kochamy, i nie możemy dopuścić do siebie możliwości, że życie może kończyć się ot tak, jak gdyby nigdy nic.

Stąd, z wnętrza nadziei, trzeba na koniec powiedzieć za Miłoszem, który w wierszu „Ten świat” mówi poprzez podmiot liryczny:

„Okazuje się, że to było nieporozumienie./ Dosłownie wzięto, co było tylko próbą./ Rzeki zaraz wrócą do swoich początków./ Wiatr ustanie w krążeniu swoim./ Drzewa zamiast pączkować będą dążyć do swoich korzeni./ Starcy pobiegną za piłką./ Spojrzą w lustro i znowu są dziećmi./ Umarli przebudzą się, nie pojmujący./ Aż wszystko, co się stało, wreszcie się odstanie./ Jaka ulga! Odetchnijcie, którzyście dużo cierpieli”.

Zatem zadanie filozofii to uzasadnianie, sprzyjanie nadziei tak, aby odsłonić, choćby w najmniejszym możliwym zakresie, jej rację, prawomocność czy, śmieiej, prawdziwość. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Wojciech Zalewski

● – ur. w 1992 r., filozof, eseista. Absolwent UJ. Związany z Instytutem Myśli Józefa Tischnera oraz VIII Prywatnym Akademickim Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie. Publikował m.in. w „Kwartalniku Filozoficznym”, „Więzi” i „Znaku”. Autor książki „W poszukiwaniu nadziei. Eseje filozoficzne” (wyd. Instytut Tischnera). Tekst został wygłoszony podczas premiery tej książki. Tytuł – „Wyborcza”

Jan Woleński*

Tradycyjnie pozytywizm prawniczy uznaje przestrzeganie obowiązującego prawa za wartość fundamentalną. Nadtytuł tego felietonu jest karykaturą terminologiczną, inspirowaną przez fakt, że partia dość dziwacznie, z uwagi na swoją praktykę, ochrzczona przez jej twórców Prawem i Sprawiedliwością, lamentuje, że koalicja 15 października systematycznie narusza prawo, np. przez bezprawne przejęcie mediów publicznych, odwołanie p. Barskiego z funkcji prokuratora krajowego, niepublikowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, działającego pod przywództwem mgr Przyłębskiej (właściwą nazwą byłoby „Trybunał Anty-Konstytucyjny”) czy zmienianie prawa przez uchwały sejmowe.

Uważam za stosowne przypomnieć, czym jest pozytywizm prawniczy i dlaczego bywa krytykowany. To może pomóc w zrozumieniu, dlaczego pisytwizm prawniczy jest karykaturą polityczną.

Rzymianie odróżniali „lex” (to, co ustanowione) i „ius” (to, co sprawiedliwe). Ta dystynkcja jest obecna w wielu językach, np. „loi” i „droit” (francuski), „ustawa” i „prawo” (polski) czy „Gesetz” i „Recht” (niemiecki). Bywa, że te terminy są używane zamiennie, np., gdy ktoś powiada, że prawo polskie jest zbiorem ustaw.

Generalna intuicja jest taka, że „lex” powinno wyrażać „ius”, tj. ustawa ma być sprawiedliwa. Św. Augustyn ujął to w zwięzłym powiedzeniu „lex iniusta est non lex” (ustawa niesprawiedliwa nie jest ustawą). Okazało się jednak, że ustalenie kryteriów sprawiedliwości wcale nie jest proste. Spory na ten temat były przedmiotem polemik na temat tzw. prawa natury, tj. zespołu norm niezależnych od takiego czy innego ustanowienia, a więc uniwersalnie obowiązujących.

Pozytywizm prawniczy rozwinął się w Niemczech w II połowie XIX wieku. Jego przedstawiciele uważali, że prawo (rozumiane jako „lex”) powinno być przestrzegane bez względu na jego treść, o ile tylko zostało właściwie wydane, tj. zgodnie z regułami legislacji. Koncepcja ta została radykalnie skrytykowana po II wojnie światowej jako legalizująca zbrodniczy system prawny III Rzeszy, np. ustawy norymberskie.

Gustaw Radbruch, niemiecki filozof prawa, wprowadził pojęcie ustawowego bezprawia i ponadustawowego prawa. Wedle Radbrucha ustawy norymberskie były pierwszym, natomiast prawa obywatelskie są drugim. Stosownie do tego, augustyńska formuła została zmieniona na „lex iniustissima est non lex” (prawo w najwyższym stopniu niesprawiedliwe nie jest prawem). Mamy tutaj (podobnie jak u św. Augustyna) do czynienia z pewną grą słów „ius” i „lex” – chodzi o to, że ustawa niesprawiedliwa nie jest prawem obowiązującym.

Koncepcja Radbrucha nie zakończyła dyskusji na temat treściowych wymagań formułowanych pod adresem ustaw. Warto uczynić w tym miejscu dygresję historyczną.

Czyżby prawnicy niemieccy XIX wieku, należący do najlepiej wykształconych w świecie, nie zdawali sobie sprawy z tego, że ustawa wydana zgodnie z obowiązującymi regułami stanowienia prawa może być zbrodnicza? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo nie można ich o to zapytać, ale warto zwrócić uwagę na polityczne sukcesy państwa pruskiego, a potem niemieckiego, osiągnięte m.in. dzięki dobrze skonstruowanemu prawu, i popularność kantowskiego poglądu, że państwo jest grupą ludzi podległych prawu.

To była rama dla pojęcia państwa prawa, działającego w ramach w miarę stabilnej sytuacji społecznej i międzynarodowej. Także reformy w innych krajach, np. zniesienie niewolnictwa w USA czy rozwój ustawodawstwa socjalnego mogły napawać nadzieją, że świat nieodwracalnie idzie ku lepszemu.

Wszelako okazało się, aby użyć aforyzmu Leca, że nikt nie spodziewał się, że po wieku XIX nastąpi wiek XX, przy czym myśl ta wyraża coś więcej niż konstatację na temat upływu czasu; wskazuje np. na wspomnianą legalizację zbrodni za pomocą prawa – standardem w procesie norymberskim i podobnych postępowaniach było to, że sprawcy przestępstw bronili się stwierdzeniem, że postępowali zgodnie z prawem obowiązującym w ich państwach.

Pisytywizm prawniczy

NIESPRAWIEDLIWE PRAWO NIE OBOWIĄZUJE

Ustawa wydana zgodnie z obowiązującymi regułami legislacji może być zbrodnicza



W ogólności, zasada pozytywizmu prawniczego, usprawiedliwiająca stosowanie się do prawa niezależnie od jego treści, była często wykorzystywana przez reżimy totalitarne i autorytarne dla ograniczania praw obywatelskich.

Oto przykład z najnowszej historii Polski. Prawo wprowadzone u nas w stanie wojennym zakazywało publicznych protestów. Typowe propagandowe wyjaśnienie tego ograniczenia było takie: „Tak, jest to restrykcja, uciążliwa i może nawet niesprawiedliwa, wedle niejednej opinii. Ale trudno, takie jest obowiązujące prawo i trzeba go przestrzegać, bo »dura lex, sed lex« (twarde prawo, ale prawo)”.

Nie miejsce w krótkim tekście publicystycznym na analizę konkretnych przypadków różnicy między ustawowym bezprawiem i ponad-ustawowym prawem. Ograniczę się tylko do problemu dobrej legislacji.

Postulaty w tym zakresie obejmują m.in. zakaz stanowienia przepisów z mocą wsteczną („lex retro non agit”), nakaz zachowania odpowiedniego „vacatio legis” (okres między publikacją aktu prawnego a jego wejściem w życie), nakaz formułowania przepisów w sposób zrozumiały oraz postulat unikania nadmiaru przepisów blankietowych (przekazujących kompetencje normotwórcze innym organom, np. administracyjnym) i odsyłających do aktów niższego rzędu (np. ustawa odsyła do rozporządzenia).

Przepisy prawne powinny również respektować zasadę podziału władz (i wynikające z tego kompetencje organów państwowych) oraz nie być stano-

wione ad hoc, w szczególności nie dla realizacji różnych interesów politycznych.

Dobroźmieńcy (tak określam aktyw PiS-u) systematycznie naruszali zasady dobrej legislacji w latach 2015–23. Oto kilka przykładów.

Zwykle jest tak, że jeśli dane stanowisko jest obciążane drogą wyborów, obejmuje je ta osoba, która uzyskała najwięcej głosów. PiS wprowadził zasadę, że nominacja zależy od decyzji prezydenta RP, a nie od wyniku głosowania.

Wybory [prezesa Sądu Najwyższego] w 2020 r. wygrał sędzia Wróbel, ale p. Duda (korzystam z amerykańskiego zwyczaju, który sankcjonuje zwracanie się do urzędującego prezydenta per pan) nominował sędzię Manowską, już wcześniej deklarującą powolność wobec p. Kaczyńskiego i jego obozu.

Zasada podziału władz ustala, że wewnątrz aparatu wykonawczego urzędników powołuje i odwołuje szef danego resortu, np. prokuratorów – minister sprawiedliwości, a kandydatów do stanowisk unijnych – szef MSZ. Tymczasem prezydent RP zyskał kompetencje w tych sprawach, np. odwołanie prokuratora krajowego czy przedstawienie kandydata na stanowisko komisarza UE wymaga zgody głowy państwa.

Te rozwiązania zostały wprowadzone ad hoc tylko po to, aby, używając nomenklatury potocznej, zabetonować sprawy kadrowe, tj. nie dopuścić do

• **Warszawa, plac Piłsudskiego, 1 września 2019. Jarosław Kaczyński i jego „odkrycie towarzyskie”, czyli Julia Przyłębska, podczas obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

zmian personalnych niezgodnych z interesem dobroźmieńców.

PiS tłumaczy swoją niezgodę na niektóre poczynania nowej (po 15 października) władzy, tłumacząc to, że są niezgodne z prawem. To typowy argument pozytywistyczny. Niemniej jednak jest nawet zabawny w ustach przedstawicieli tzw. dobrej zmiany, np. ci, którzy odmawiali publikowania prawomocnych orzeczeń TK w latach 2015–16, okrutnie oburzają się, gdy ta sama praktyka jest stosowana dzisiaj i to w sytuacji, gdy trzy osoby z teamu mgr Przyłębskiej zostały powołane niezgodnie z prawem (tj. są dubletami; patrz też koniec niniejszego felietonu).

Jasne, że betonowanie układu władczego sprzed wyborów parlamentarnych za pomocą tzw. ustaw kompetencyjnych i oparta na tym krytyka poczynania koalicji 15 października przez PiS są motywowane nie zasadami dobrej legislacji, ale dążeniem do obstrukcji polityki obecnego rządu, w czym celuje p. Duda.

W gruncie rzeczy polityka dobroźmieńców odbywa się pod hasłem „nas nie interesuje prawo, nas interesuje sprawiedliwość”, explicite sformułowanym przez pp. Morawieckich, seniora (notabene głoszącego w Sejmie na cztery ręce) i juniora. A ponieważ ten slogan zakłada bardzo swoiste rozumienie sprawiedliwości (jej elementem jest np. handlowanie pokościelnym mieniem bezspadkowym przez Morawieckiego-juniora), mamy do czynienia nie z pozytywizmem prawniczym, ale pisytywizmem prawniczym.

Jakaś doza pozytywizmu prawniczego jest niezbędna jako uzasadnienie dla postawy legalistycznej, niezbędnej dla funkcjonowania państwa demokratycznego, natomiast drugi sankcjonuje anarchię prawną, np. to, że Trybunał Anty-Konstytucyjny stwierdza, że konstytucja jest niekonstytucyjna (Konstytucja RP stwierdza, że posłem nie może być osoba skazana prawomocnym wyrokiem za przestępstwo, ale T(Anty)K uznał, że Sejm bez p. Kamińskiego i p. Wąsika jest niekompletny).

Wracając do wymaganych kompetencji sędziów TK (art. 194 Konstytucji RP z 1997 r.) i stosując pryncypia pozytywizmu prawniczego, sugeruję, aby sprawdzić (dr nauk prawnych Andrzej Duda, czołowy pisytywista prawniczy, może zasiąść w stosownej komisji oceniającej, pod warunkiem, że będzie tylko jednym z jej członków; reszta może być losowana z grona prawników zasiadających w Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności), czy mgr Julia Przyłębska, mgr Stanisław Piotrowicz i mgr Bogdan Święczkowski wyróżniają się wiedzą prawniczą. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Woleński

• ur. w 1940 r., filozof. Emerytowany profesor UJ, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU. Zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa.

Tytuł – „Wyborcza”

– Ustawa niesprawiedliwa nie jest ustawą
– pisał św. Augustyn. Ale ustalenie
kryteriów sprawiedliwości nie jest proste

KTO JEST
winien

GODZINY „W”

O komendanta głównego Armii Krajowej gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” w 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego spierają się szef Ośrodka KARTA Zbigniew Gluza i Jarosław Kurski, publicysta i były wicenaczelny „Wyborczej”, autor książki „Kurier wolności. Jan Nowak-Jeziorański”.

Jarosław Kurski

Na początku zaznaczmy, bo to nas łączy. Oddajemy hold bezprzykładowemu heroizmowi powstańców oraz ludności cywilnej, wszystkim poległym i zabitym. Nasz podziw dla ich poświęcenia i odwagi nie zwalnia nas jednak od dyskusji o sensie tego zrywu. Krytyka decyzji o wybuchu powstania warszawskiego dotyczy elit politycznych i wojskowych, a nie tych, którzy poświęcali i oddali swe życie przez 63 dni zaciętej walki.

ZBIGNIEW GLUZA, TWÓRCA I SZEF OŚRODKA KARTA: To najważniejszy moment polskiej historii XX wieku i ciągle mamy fundamentalną niejasność co do tej decyzji.

JAROSŁAW KURSKI: Ja mam całkowitą jasność. Powstanie wymierzone było politycznie przeciw Sowietom, militarnie przeciw Niemcom, moralnie przeciw aliantom, a w rzeczywistości wymierzone było przeciw Polsce i Polakom.

– Powstanie nie było intencjonalnie wymierzone w Polskę i Polaków, ale tak się na koniec okazało. Moja teza jest taka: odpowiedzialność za wybuch powstania została zrzucona na gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”. Zrobiono z niego kozła ofiarnego, a on to przyjął. Uważam, że to świadectwo godności, osobistej klasy – skoro „Bór” nigdy się nie asekurował, nie szukał winy u innych.

Tymczasem jest wiele osób bardziej odpowiedzialnych za tę decyzję. W szczególności cała emigracyjna elita władzy. Decyzja o powstaniu tego akurat dnia – 1 sierpnia – w żadnym razie nie powinna być podjęta.

Co znaczy „zrobiono kozła ofiarnego”? Komorowski był dowódcą. To jest wojsko, jest hierarchia. Jeden wydaje rozkazy, inni je wykonują. To do niego należała ostateczna decyzja i to on ją podjął. Okoliczności są w istocie zawstydzające i kompromitujące dla „Bora”. Trawił czas na wielogodzinne narady, wahania i hamletyzowanie. Wypytywanie każdego o zdanie. Zarządzał głosowaniem, potem odcigał poszczególnych oficerów na bok i pytał, jak ma się zachować.

Pytał gen. Tadeusza Pełczyńskiego, szefa sztabu Komendy Głównej AK: „Słuchajcie, jakie jest wasze zdanie?”, na co ten odpowiedział: „Ja nie jestem komendantem głównym, tylko wy, to wasza prerogatywa”.

To był wódz bez cech wodza. Wódz, którego „targali za uszy” ludzie pokroju psychopaty gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, zastępcy szefa sztabu KG AK, arywisty i zupaka płk. Antoniego Chruściela „Montera”, komendanta warszawskiego okręgu AK, czy wspomnianego Pełczyńskiego. Wszyscy oni ślepo parli do powstania. – Komorowski był wtedy pod szantażem moralnym. Ale tym bardziej nie powinno się na niego zrzucać odpowiedzialności za tę decyzję. Premier Mikołajczyk wysłał do Warszawy pełnomocnictwa dla władz krajowych, których nie uzgodnił z rządem *in gremio*. Słowem, rząd nie zdecydował, komu takie pełnomocnictwa powinny przysługiwać – a priorytetem nie było powierzenie ich dowódcy AK.

Poza tym, by powstanie miało jakikolwiek sens, powinno być uzgodnione ze wszystkimi sojusz-

nikami. To był obowiązek rządu, a nie było takiej próby. Mikołajczyk realizował politykę uzgodnioną z rządem brytyjskim, który nalegał na porozumienie z Sowietami. Ale rząd nie popierał tych rozmów i wyjazdu Mikołajczyka do Moskwy. Wódz naczelny wręcz to sabotował.

Polskie władze upierające się przy niemożliwym, a więc przy przedwojennych granicach Polski, były uważane przez Brytyjczyków za niedorzeczne. Mikołajczyk działał więc sam, niejako na własną rękę. Zdając sobie sprawę z gorących nastrojów w Warszawie, popychał do powstania. Chciał mieć polityczny argument w rozmowach ze Stalinem w Moskwie.

Wódz naczelny Kazimierz Sosnkowski?

– Zachował się nieodpowiedzialnie i nieuczciwie. W połowie lipca wyjechał do Włoch na inspekcję II Korpusu Polskiego. Obiecał, że wróci na każde wezwanie. Nie wracał. Zniknął tam po prostu. Wysłał niejednoznaczne depesze, które i tak nie dochodziły na czas. Tak kombinował, by nie podjąć decyzji, za nic nie odpowiadając. Był całkowicie przeciw powstaniu, ale nie stać go było, by jednoznacznie wydać taki rozkaz – a raczej wiedział, że tu, w Warszawie, są ludzie, którzy na to napierają.

Sosnkowski był rozczarowaniem dla „Kuriera z Warszawy” Jana Nowaka-Jeziorańskiego, bo „rzucił ster”, „schował głowę w piasek”. To było wcielenie chorobliwego egocentryzmu i beznadziei. Zamiast do Włoch powinien polecieć do kraju tym samym mostem powietrznym, którym

FOT. BUREAU LAUX/PRESSENS BILD/AP/EAST NEWS

przed powstaniem przyleciał Nowak. Nie odmieniłoby to pisanego Polsce losu, ale jego obecność w kraju miałaby symboliczne znaczenie, a dla Kremla stanowiło dyplomatyczny problem. – Jerzy Giedroyc wspomina, że na początku powstania zaproponował wodzowi naczelnemu, by skoczyli razem na spadochronach do Warszawy. Wiele godzin ustalali, jak to zrobić, ale następnego dnia Sosnkowski nie przyjął już Giedroycia. Zrzucił odpowiedzialność na ludzi w kraju, którzy nie mogli mieć pełnego rozoznania o sytuacji militarnej i politycznej.

Gdy Nowak 29 lipca dotarł wreszcie na ul. Śliską 6 na spotkanie z Komendą Główną AK, zaczął przedstawiać analizy wodza naczelnego, „Bór” przerwał kurierowi machnięciem ręki: – Panie, my to wszystko wiemy z depesz. Co wódz myśli o tym, co my tu robimy? Na to Nowak nie miał do przekazania żadnej odpowiedzi.

Zastępca szefa sztabu KG AK płk Janusz Bokszczanin relacjonuje naradę z rana 31 lipca 1944 r. Przygotuj się, bo to morderczy cytat: „Okulicki – zdecydowany alkoholik. Rozpoczął dzień alkoholem. Zabrał głos w sposób bardzo nieprzyjemny, prawdopodobnie sobie popił przedtem. Krzyczał, stojąc i wygrażał pięściami. Zarzucał małoduszności i kunktatorstwo. Wyciągał przykład z powstania listopadowego, do czego doprowadził brak decyzji. Zarzucał »Borowi« tchórzostwo. »Bór« siedział, zasłaniając oczy. Nikt, łącznie z samym »Borem«, na te słowa nie zareagował. Komorowski był zupełnie przybity i zagubiony. Widać było, że nie wie, co robić”.

Cytat pochodzi z wydanej właśnie przez KARTĘ świetnej książki, ale pod dość groteskowym tytułem „Decyzje »Bora«”. Przecież „Bór” nie był zdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. – Absolutnie się nie zgadzam. W wielu sytuacjach zdo- bywał się na mądrą stanowczość, co ilustruje książka. I w końcu to on podjął ostateczną decyzję o powstaniu; tyle, że został oszukany przez Antoniego Chruściela „Montera”. „Monter” donosił, że na drugim brzegu Wi- sły widziano już sowieckie czołgi i istnieje obawa, że Rosjanie wejdą do stolicy, a my pozostaniemy z „bro- nią u nogi”, jak głosiła sowiecka propaganda.

Zataił ponadto, że po prawej stronie Wisły zaczy- na się kontrofensywa niemiecka przeciw Sowietom, co musiałoby wykluczyć decyzję o powstaniu. Wcze- śniej w trakcie narad ustalono kryteria: co musi się wydarzyć, by ją podjąć – 31 lipca powiedziano mu, że te kryteria właśnie są spełnione.

„Bór” był człowiekiem dialogu, który słuchał lu- dzi. Pozbawiony był osobistych ambicji – wyjątkowy dowódca w polskiej historii. To nie był brak chary- zmy, ale styl przywództwa polegający na zbiorowym wypracowaniu stanowiska.

I uważasz, że to najlepszy model przywództwa na czas wojny? – W tym jednym momencie okazał się fatalny.

Przypomnijmy dokładnie jak było. 31 lipca w pełnym składzie zebrała się Komenda Główna AK. Przegłosowano, że nie ma jeszcze podstaw do podjęcia decyzji o powstaniu. Płk Bokszcza- nin, zastępca szefa sztabu, najrozsądniejszy ze wszystkich oficerów, mówił, że „dopóki Rosjanie nie położą ognia artyleryjskiego na lewym brze- gu Wisły, nie wolno nam zaczynać”. Jak wspom- nał po latach Iranek-Osmecki, szef Oddziału II KG AK, „Bokszczanin wszystko rozumiał, ale mówił nam rzeczy, których nie chcieliśmy słyszeć, gdyż uznanie ich słuszności zmusiłoby nas do rezygna- cji z powstania”.

O godz. 18 zaplanowano wieczorną naradę. I oto, co się dzieje. Komorowski idzie na obiad do kwatery przy ul. Pańskiej 67. Zawsze chodził tam sam, tym razem dziwnym trafem towarzyszą mu Pelczyński i Okulicki. Tam też około godz.16 zjawia się płk Chruściel, który od początku parł do powstania. Już 27 lipca jako komendant Okrę- gu Warszawskiego zarządził pogotowie sztabów, okręgu, rejonów i zgrupowań i nakazał szyko- wanie się do walki. Gen. Bór-Komorowski został więc „osaczony” przez trzech jastrzębi. Chruściel przynosi „pewną wiadomość”, że czołgi sowiec- kie są już na Pradze.

Z urobieniem „Bora” cała trójka musi się spie- szyć, bo o 18 przyjdą przecież pozostali oficerowie i dyskusja rozkręci się na nowo. Okulicki, Pelczyń- ski, Chruściel napierają więc na natychmiastowy rozkaz. „Bór” wobec „bezsportnych faktów” ulega i każe wezwać Jana Stanisława Jankowskiego, Delegata Rządu na Kraj, który po półgodzinie przybywa. Delegat Rządu pyta: – A co będzie, jeśli

Rosjanie ustaną? Pelczyński odpowiada: – Wtedy Niemcy nas wyrzną. Nikt jednak w taką ewental- ność nie wierzy. Wobec przedstawionej sytuacji Jankowski wydaje zgodę na powstanie.

Około 17.30 „Monter” wychodzi z upragnio- nym rozkazem o Godzinie „W”: 1 sierpnia godz. 17 – i przekazuje go do podległych jednostek.

O 18 przybywają pozostali oficerowie, Kazi- mierz Pluta-Czachowski, Józef Szostak i Kazi- mierz Iranek-Osmecki, który osłupiały mówi: – Popelnił pan błąd, panie generale! Informacje „Montera” są błędne. Niemcy utrzymali przyczó- łek na Pradze i potężnymi siłami szykują się do przeciwnatarcia. „Bór” osunął się na krzesło, kilkakrotnie przetarł czoło. – Musi pan odwołać rozkaz – nalega Iranek-Osmecki. Szostak doda- je: – To szaleństwo, to najgorszy ze wszystkich momentów. Damy się wszyscy zmasakrować.

Przepraszam, ale to jest polski tupolewizm, to takie „prezydent nie podjął jeszcze decyzji” i „zmieścisz się, śmiało!” Mówisz, że „Bór” „został oszukany”, a ja mówię, że „dał się oszukać”. Rzą- dził ten, kto miał dostęp do ucha „Bora”. – Okulicki, Pelczyński i Chruściel ukryli podstawową informację wywiadu, że Niemcy szykują kontrofen- sywę. Dysponują 12 dywizjami doborowego wojska, 80 tys. uzbrojonych po zęby żołnierzy Wehrmachtu. Ta informacja świadomie nie została przekazana „Borowi”, a powinna zatrzymać wszystko. Na tym polegała manipulacja Chruściela, że „nie można dłużej czekać”. Oni go oszukali po prostu.

Cynicznie i na zimno. Pplk Stanisław Weber, szef Sztabu Komendy Okręgu Warszawa AK, dwie godziny wcześniej, a więc około 15, złożył „Monte- rowi” meldunek nie o sowieckich, ale o niemiec- kich czołgach na Pradze. O koncentracji dużych sił niemieckich i o kontruderzeniu, które szybko się rozpocznie. „Monter” miał tego wysłuchać w milczeniu i odjechać do kwatery „Bora”. Teraz wiemy, że celowo przekazał mu fałszywy meldu- nek. Na Pradze nie było Rosjan, byli Niemcy. – Oczywiście potem wszystko się wydało, ale rozkazy już poszły. „Bór” uważał, że jest już za późno, by je odwoływać. Chociaż możliwe, że za późno nie było.

„Zmiana decyzji, podjętej nawet w obecności Delegata Rządu, była możliwa, lecz wymagała wielkiej determinacji i konsekwencji. Mogła być podjęta przez dowódcę wielkiego formatu, ale takim zapewne nie był Bór-Komorowski” – pisał Henryk Zamojski w „Jak wywołano powsta- nie warszawskie”.

Kto więc bardziej odpowiada? Ten, kto spowo- dował katastrofę, czy ten, kto jej nie zapobiegł, chociaż mógł? On mógł jej zapobiec. – Tak byłoby najwygodniej zwaćć na niego odpowie- dzialność za słabości decyzyjne całej władzy zwierzch- niej i grupy dowódczej. To nadużycie. On nie był sam. Cała Komenda Główna w końcu decydowała.



• **Decyzje „Bora”. (Auto) biografia Ta- deusza Komo- rowskiego – kawalerzysty, olimpijczyka, dowódcy, wo- dza i premiera**
Wybór i opraco- wanie Wojciech Rodak

Wyd. KARTA, Warszawa 2023

– Zgoda, szantażuje się nas moralnie, że młodzież rwała się do walki i że trzeba było jej pozwolić, bo bez rozkazu sami poszliby walczyć. Bardzo wątpliwy argument. To było jednak zdyscyplinowane wojsko, tyle że bez broni. Ale cytujesz Nowaka, a on sam był za powstaniem.

Nie był. Napisałem jego biografię i zapewniam cię, że to nie takie proste. Oficjalnie nigdy powstania nie skrytykował. Powtarzał za Jankowskim, że nie dyskutuje się z tym, czy wulkan wybuchł słusznie, czy niesłusznie. Ale najlepsza książka wspomnie- niowa o wojnie i okupacji, czyli „Kurier z Warsza- wy”, jest jednym wielkim oskarżeniem tej decyzji.

Nowak po prostu uważał, że to nie była prawda dla ogółu. Gdy komuniści rozprawiali się z mitem AK i potępiali powstanie, wiedział, że nie może się do nich przyłączać. Ale w istocie tak uważał. Ja także zmieniłem zdanie o powstaniu właśnie pod wpływem „Kuriera z Warszawy”. Przeraził mnie opis masakry zgotowanej przez „Montera” oddziałowi porucznika „Janusza”. To było 30 sierpnia podczas bezsensownej próby wybijcia korytarza ze Starego Miasta do Śródmieścia. Na skutek jego tępych rozkazów zginęło tej nocy 100 młodych ludzi, w tym wiele dziewcząt, spalonych żywcem minerek, a 150 zostało rannych. Wszyscy ślepo pchani przez niego pod niemiecki ostrzał, bez żadnej osłony. Kamienie rzucane na szaniec, a raczej elita i przyszłość kraju zmieniona w mięso armatnie przez zupaka z rozdętymi ambicjami. – No tak, ale Jan Nowak napisał później w Londynie w istocie pean na cześć podziemia i powstania war- szawskiego – gdy pojawiła się okazja, chciał powsta- nie zdyskontować propagandowo. Uzyskawszy zgodę Komorowskiego, pod jego nazwiskiem stworzył książ- kę „The Secret Army” (Armia podziemna). Nowak składał ją z wielu wspomnień, także swoich, a „Bora” było tam najmniej. Uważał, że ta hekatomba ofiar to nie powód do chwały. „Bór” był człowiekiem głęboko wstrząśniętym tym, co spowodowała jego decyzja. Nie był w stanie samemu opowiadać o powstaniu.

Jan Nowak-Jeziorański rwał włosy z głowy z powodu przesadnej skromności generała. Komorowski unikał mówienia o sobie i co mógł obracał w kpinę. Zapytany o moment z powsta- nia, który najbardziej utkwiał mu w pamięci, po długim namyśle odpowiedział: „Pamiętam, jak mi żołnierze przenieśli ze sklepu Hiszpańskiego piękne kawaleryjskie buty z cholewami...”. Mówił to człowiek, który na Starym Mieście brał udział w przemarszu przez piekło, przeszedł kanałami do Śródmieścia i dźwigał brzemie odpowiedzial- ności za rozgrywającą się wokół tragedię. – To nie jest śmieszne. Raczej pokazuje, jak on wypierał tę katastrofę. Ale zgodził się na podpisaną przez siebie książkę, bo uważał, że to jest dalszy ciąg własnej służby.

W Londynie zaradna żona „Bora” uruchomiła

W ostatnich dniach powstania został Wodzem Naczelnym, czym był kompletnie zdumiony. Nikt tego z nim nie konsultował. Szykowano się do kapitulacji i było wiadomo, że Komorowski jest dowódcą klęski.

29 lipca na Śliską 6 dociera przywieziony „Mo- stem” kurier Jan Nowak-Jeziorański. Łączniczka „Teresa”, która go wiezie dorożką, błagalnie mówi: „Niech pan ich powstrzyma, niech pan ich przekona, żeby tego nie robili”.

Nowak w rozmowie z dowództwem rozwiewa wszelkie nadzieje. Mówi, że nie wylądje tu żadna brygada Sosabowskiego, że nie będzie zrzutów, że w Teheranie postanowiono, iż Polska zostanie w sowieckiej strefie wpływów, że Rosjanie rządzić się tu będą, jak chcą, a dla Zachodu to nie będzie żadna „Burza”, co najwyżej burza w szklance wody.

„Bór” odpowiadał Nowakowi, że przyjechał za późno, ale jak widać nawet 31 lipca wszystko jeszcze można było odwołać.

szwalnię firan, które generał upinał w zamoż- nych domach. Raz zdarzyło się, że jako wódz naczelny, polski hrabia, przyjaciel szwagra królo- wej, którego poznał w oflagu, zaproszony został na przyjęcie do Pałacu Buckingham, gdzie panią domu była księżniczka Małgorzata. Kilka dni później upinał firanki w apartamencie jakiejś da- my dworu, gdy do pokoju wkroczyła księżniczka Małgorzata. „Bór” stał na drabinie w roboczym drelichu, zatopił twarz w firance i modlił się, by nie zostać rozpoznanym. Nie dlatego, że czułby



się zażenowany. Nie chciał, by zażenowana poczuła się księżniczka. – „Bór” został przy tym wszystkim zmitologizowany, a książka „The Secret Army” tylko to wzmocniła. Świat wiedział, że aż przez 63 dni powstania prowadził walkę jakiś wielki generał „Bór”, który ogłaszał kolejne etapy nierównych zmagani. Traktowano go więc jak wybitnego wojskowego i stratega.

Skądinąd wiemy, że nie miał specjalnego wykształcenia bojowego, nie dowodził większą jednostką. Był niezłym kawalerzystą, ale to mało przydaje się podczas walk ulicznych. Ty ze słabości robisz cnotę. A to go nie broni, że dał sobie wejść na głowę. – Był w pewnym stopniu dowódcą całej przedwojennej polskiej kawalerii. A poza tym – nie pchał się do władzy. To takie rzadkie u polskich przywódców, że może szczególnie dzisiaj trudno go zrozumieć. Jest lekceważony, bo zachowywał się powściągliwie, no i nie miał wodzowskiej preencji.

„Bór” został komendantem głównym AK po aresztowaniu Stefana Roweckiego „Grota”. Zwołał naradę, powiedział, że był zastępcą „Grota”, ale że nie musi być następcą. Wyszedł na 20 minut. Pozostali go wybrali i on ten wybór zaakceptował. – I tak było za każdym razem. On w sumie bardzo wiele zrobił. Ustanowił konspirację w Krakowie. Był szefem obszaru ZWZ i jako konspirator był niezwykle skuteczny. Potrafił jednoczyć w AK przeciwstawne wcześniej formacje wojskowe. Nie chciał być szefem, a paradoksalnie ciągle go nim wybierano.

W ostatnich dniach powstania został wodzem naczelnym, czym był kompletnie zdumiony. Nikt tego z nim nie konsultował. Szykowano się do kapitulacji i było wiadomo, że Komorowski jest dowódcą klęski. Wiadomo, że pójdzie do obozu razem ze swym wojskiem, a tu Londyn mianuje go wodzem naczelnym wszystkich Polskich Sił Zbrojnych w świecie. To groteska. On sam miał poczucie, że to kuriozalne. Depeszował, że nie jest do takiej roli przygotowany, ale nominację przyjął, skoro dla konfiguracji politycznej w Londynie było to istotne. A jeszcze później został premierem.

I też przyjął. Pewnie na tej samej zasadzie, że nikomu nie wadził. – Niezupełnie. Zobacz, jak on występował publicznie, gdy przestał pełnić funkcje wojskowe. Potrafił artykułować racje stanu Polski w sposób bardzo zdecydowany. Spotkania z nim na wiecach w USA gromadziły dziesiątki tysięcy ludzi.

Wiesz, to trochę bez znaczenia. Jak mówił Nowak, losy Polski rozgrywały się nad Wisłą, a nie na emigracyjnych wiecach. Mówił: „Wy w kraju jesteście na pierwszej linii frontu, my na emigracji co najwyżej możemy dosyłać wam amunicję”. – Nie ma wątpliwości, że decyzja w kraju o rozpoczęciu powstania politycznie była absurda

lna. Generał Władysław Anders mówił od razu, że to nieszczęście. W normalnych warunkach odbyłby się zapewne w tej sprawie proces sądowy. Dziś pozostaje już sąd przed trybunałem historii. Bo odpowiedzialność spoczywa na wszystkich, którzy do tego mieli tytuł. Konstytucja jasno określała prerogatywy władz naczelnych.

Czy możesz teraz ułożyć listę osób odpowiedzialnych za tę największą narodową tragedię. Po kolei. – Po pierwsze, Okulicki. Na narady przychodził pod wpływem alkoholu. Krzyczał, że jeśli nawet Warszawa miałaby zostać zrównana z ziemią, a ludność wymordowana, to trzeba tę walkę podjąć. Nikt inny tak nie stawiał sprawy. Zachowywał się jak sowiecki agent służący przyszlemu podbojowi kraju. Skądinąd wiadomo, że na Łubiance zeznawał i sypał. Może chciał się zrehabilitować. Został zrzucony na spadochronie. Stało za nim fałszywe domniemanie, że działa w imieniu naczelnego wodza.

Twierdził, że to nie szkodzi, iż nie mamy broni, bo zdobędziemy ją na wrogu. – Nie mam do tego człowieka za grosz zaufania. To, co robił, było sprzeczne z polską racją stanu.

Wiesz, jak Okulicki reagował na upadające powstanie? Nowak to opisuje. To były ostatnie dni. Na widok kuriera trzepnął dłońmi o uda i bez żadnych ceregieli wyznał: „Za kilka dni Warszawa klapnie!”. W mieście, które od dwóch miesięcy broczyło krwią 200 tys. ofiar, to szokujące podsumowanie tragedii. – Drugi odpowiedzialny to premier Mikołajczyk – za unieważnienie w tym roli rządu. Trzeci – wódz naczelny Sosnkowski; na tym stanowisku potrzeba było właściwego decydenta. Czwarty – gen. Chruściel prący do powstania nieczystymi metodami.

Chruściel uważał, że niedozbrojone jednostki – a więc wszystkie – powinny stawić się na zbiórkę z „łomami, kilofami i siekierami”. Zapomniał o kosach na sztorc. – Piąty to gen. Pelczyński, na równi z gen. Komorowskim i delegatem rządu Jankowskim. Gdyby odbył się normalny sąd, to wszyscy oni zostaliby uznani za winnych. Tymczasem całą grupę generałów Lech Wałęsa w 1995 roku odznaczył Orderem Orła Białego – najwyższym polskim odznaczeniem.

W Polsce Okulicki i Chruściel są czczeni jak bogowie. Mają swoje ulice, a w Muzeum Powstania Warszawskiego Chruściel „Monter” ma nawet swój dzwon. – Ciągle czujemy się terroryzowani przez nacjonalistów i bezmyślnych romantyków, którzy uważają, że jesteśmy lepsi od innych, bo ponosiliśmy takie ofiary. To jest to polskie, całopalne, samobójcze nastawienie, że trzeba krwią zaznaczyć swoje miejsce w historii i w świecie. Tymczasem bardzo nam zabrakło przez tych osiem dekad rozstrzelanej, wspaniałej generacji. ●

Powstańcy mieli lepiej niż cywile

Mogli walczyć, bronić się, a zwykli warszawiacy byli bezbronni i bezradni.



Z **AGNIESZKĄ CUBAŁĄ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „ZWYCZAJNI ’44”, ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

MARTA GRZYWACZ: Ludność cywilna jako niedoceniony bohater powstania warszawskiego?
AGNIESZKA CUBAŁA: Ludność cywilna pojawiała się w moich książkach o powstaniu już wcześniej, ale zawsze pozostawała w cieniu żołnierzy. Pisząc o sportowcach, znalazłam wzmiankę o żonie jednego z moich bohaterów, który zginął 2 sierpnia, a ona przeżyła. Sama, z dwumiesięcznym dzieckiem. Jak sobie poradziła? To już nikogo nie interesowało.

Od jednego ze znajomych usłyszałam, że jego ciocia przeżyła powstanie, ale co się z nią działo, nikt nie wie, bo przecież nie walczyła. Do tej pory mamy w zasadzie jedno opracowanie zatytułowane „Lud-

ność cywilna w Powstaniu Warszawskim”, dzieło czterotomowe z lat 70. Okazuje się, że tytułowemu bohaterowi autorzy poświęcili może 25 proc. treści. Są za to informacje o Harcerskiej Poczcie Polowej, o strukturach wojskowych, o PPS.

Ukazało się kilka pamiętników, na czele z tym autorstwa Mirona Białoszewskiego, i to wszystko. Nikt się nad cywilami nie chciał pochylić. No bo jak tu porównywać walkę powstańców z tym, że ktoś musiał wyżywić gromadkę dzieci, przecież to nie-poważne. Kiedy zaczęłam pisać o cywilach uczestniczących w powstaniu, usłyszałam od jednej z redakterek, że oni nie brali udziału w tym wydarzeniu, oni tam „tylko” byli. No ale właśnie o tę obecność chodzi.

Tym bardziej że ludność cywilna nie była bierna. Jaki był jej faktyczny udział w powstaniu? – Pomoc w budowie barykad, kopanie rowów łącznikowych, przebijanie przejść między piwnicami, które pomagały w komunikacji, przekazywanie informacji, bo przecież musimy pamiętać, że część oddziałów powstańczych została rzucona na nieznanym terenie. Przenoszenie rannych, grzebanie zabitych, gaszenie pożarów, odkopywanie ludzi w zawałonych domach.

Ludność cywilna pomagała też w dostarczaniu wody, żywności, w opiece nad rannymi. Były przypadki, gdy ludzie oddawali swoje jedyne łóżko. Przed żołibor-





• **Niemcy wzywali ludność cywilną do wyjścia z kryjówek. Ale po latach okupacji ludzie nie mieli zaufania do okupantów. Na zdjęciu: kobiety w piwnicy w Śródmieściu, 19 sierpnia 1944 r.**

FOT. JOACHIM JO-
ACHIMCZYK „JOACHIM”
/ MPW

skim szpitalem znajdującym się w szkole przy ul. Czarnieckiego lekarze umieścili tablicę, na której każdego dnia pisali, czego brakuje. I do końca dnia mieszkańcy okolicznych domów znosili potrzebne artykuły. Kobiety organizowały kuchnie, przynosiły walczącym kanapki, ciepłe swetry.

Jeden z żołnierzy batalionu „Gozdawa” opisywał, jak on i jego koledzy zostali przyjęci przez pewne starsze małżeństwo, gdy chcieli odpocząć po przeprawie kanałami ze Starego Miasta. Nie tylko mogli się umyć, przespać i zjeść, ale kiedy wstali, ich mundury były wyprane i odprasowane, buty wyczyszczone, a na rękawach mieli czyste biało-czerwone opaski.

Rzeczywiście było tak, że ludność cywilna przywitała wybuch powstania z radością?

– Tak było na początku. Ludzie mieli dość okupanta, chcieli odwetu. Choć oczywiście nie wszyscy. Lotar Huml, zawodowy wojskowy, ojciec jednej z bohaterek mojej książki, 1 sierpnia wybrał się w okolice Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, by wesprzeć akcję budowania umocnień. Wrócił kompletnie załamany dysproporcją uzbrojenia – po stronie powstańców kilkunastu młodych chłopców wyposażonych w kilka pistoletów i granatów, a po drugiej stronie zasieków Niemcy uzbrojeni po zęby.

W książce wspominam też Jerzego Andrzejewskiego czy Czesława Miłosza, którzy nie chcieli walczyć w powstaniu. Andrzejewski miał negatywny stosunek do działań polskiego podziemia, denerwowały go wieści płynące z Londynu, które świadczyły o tym, że emigracyjni politycy nie dostrzegają, że Polska znalazła się w strefie wpływów radzieckich. Dlatego pozostał z boku, wyciszył się, skoncentrował na pracy. Był przekonany, że przetrwa powstanie. Z równowagi wytrąciła go dopiero śmierć Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, jego największej miłości.

Miłosz także nie chciał być „kamieniem rzuconym na szaniec”. I choć nie była to popularna postawa, wołał po prostu przeżyć powstanie jako widz, a nie uczestnik.

Jako młoda dziewczyna byłam bardzo rozczarowana Mironem Białoszewskim. Był w wieku chłopaków z batalionu „Zośka”, ale zamiast walczyć na barykadach stolicy, schronił się w cywilami w piwnicy, czytał książki, pisał wiersze. Nie mogłam tego zrozumieć.

Niemniej większość ludzi tuż po wybuchu powstania jest w euforii, przeżywa chwile szczęścia. Każdy ma przecież z Niemcami własne rachunki do wyrównania, kogoś zabitego, kogoś na Pawiaku, w obozie koncentracyjnym. Jakaś kobieta w ciąży mówi Monice Żeromskiej, że cieszy się, że jej dziecko urodzi się już w wolnym kraju.

I nagle ten nastrój pryska...

– Dosyć szybko się to dzieje, bo już po rzezi Woli i dramacie Ochoty, do których dochodzi 5 i 6 sierpnia, gdy ludność doświadcza niewyobrażalnego

Wśród cywili byli i tacy, którzy wywieszali białe płachty na znak, że się poddają, a powstańców błagali, żeby nie walczyli na ich terenie, **bo przyjdą Niemcy i wszystkich ukarzą**



• **„Biuletyn Informacyjny” wydawany przez Biuro Informacji i Propagandy Armii Krajowej osiągał nakład 25 tys. egzemplarzy**

FOT. ZE ZBIORÓW
BIBLIOTEKI NARODOWEJ

okrucieństwa – mordów, gwałtów. Bestialstwo jest ogromne.

Potem na Warszawę spadają bomby, zaczyna brakować wody i żywności. Wzrasta śmiertelność wśród dzieci i osób starszych. Matki nie mają czym wykarmić niemowląt, bo ze stresu i braku dobrego pożywienia tracą pokarm, więc bezradnie patrzą na śmierć głodową swoich dzieci. Ludzie tracą dobytek całego życia – jak Nina Andrycz, którą cytuję w książce.

Jeden ze znajomych zapytał mnie kiedyś rozbijająco, czy mieszkańcy nie mogli się po prostu wycofać z powstania...

A mogli?

– Teoretycznie tak, bo Niemcy wzywali ludność cywilną do tego, żeby wyszła z kryjówek i z Warszawy. Ale po latach okupacji ludzie nie mieli zaufania do okupantów. I słusznie, bo wielu mieszkańców pędzono przed niemieckimi czołgami jako żywe tarcze. No i wyjście było równoznaczne ze zdradą. Panowała solidarność, ktoś, kto odpowiedziałby na apel Niemców, nie mógłby potem normalnie wrócić i funkcjonować w swojej społeczności.

Byli jednak i tacy, którzy wywieszali białe płachty na znak, że się poddają, a powstańców błagali, żeby nie walczyli na ich terenie, bo zaraz przyjdą Niemcy i wszystkich ukarzą. Rzeźbiarz Alfonsa Karnego, który wywiesił z okna swojej pracowni polską flagę, sąsiedzi poprosili, by ją zdjął, ponieważ na dom posypał się grad pocisków.

A gdyby jednak ludność cywilna opuściła miasto jeszcze w czasie powstania, to co?

– To powstańcy nie byłiby w stanie tak długo wytrwać. Nie tylko dlatego, że nie mieliby wsparcia i infrastruktury, ale straciliby z oczu cel swojej walki. Potrzebna im była świadomość, że robią to dla kogoś.

Poza tym armia powstańcza była wojskiem obywatelskim. Z jednej strony żołnierze wiedzieli, że walczą dla swoich matek, ojców, żon, dzieci. A z drugiej ludność cywilna miała w szeregach powstańców swoich synów, mężów, narzeczonych. To były naczynia połączone – dwa światy zależne od siebie i mocno ze sobą związane.

A jednak nieraz powstańcy spotykali się z pretensjami i złorzeczeniami.

– W tak ekstremalnej sytuacji szukało się winnych. Jeśli popatrzymy tylko na statystyki, to powstańców zginęło 16 tys., a ofiar wśród ludności cywilnej było 120-150 tys. Ludzie czuli się potwornie rozgoryczeni, a najłatwiej było skierować całą złość na powstańców.

Jedna z łączniczek opowiadała, że gdy już po kapitulacji żołnierze szli do niewoli i mieli przejść ulicą Grzybowską, obok zgromadzonej tam ludności cywilnej, to bardzo się tego bali. Niejeden się zastanawiał, czy w ich stronę polecą przekleństwa, groźby, może kamienie? Jednak reakcja tłumy była inna. Ludzie przekazywali im jakieś drobne przedmioty – grzebień, ołówki, notesy, lusterka, garnuszki. Starsza kobieta wyglądająca na przekupkę weszła na hałdę gruzów i rozpaczła: „Zabierają nam nasze dzieci”.

Pożegnanie było bardzo ciepłe.

– Tak, pełne łez i wzruszeń. Wtedy powstańcy poczuli, że ludność cywilna naprawdę im wybaczyła.

Kiedy ludność cywilna w powstaniu zaczęła się pojawiać w dyskursie społecznym?

– Myślę, że w momencie gdy do głosu zaczęły dochodzić kobiety. Bo przedtem historię powstania pisali głównie mężczyźni, koncentrując się na aspektach militarnych, strategicznych czy bohaterstwie żołnierzy. A kiedy do głosu doszły kobiety, pojawiły się emocje i uczucia, bo przecież śluby brali wówczas nie tylko powstańcy. Ale i opowieść o traumie, która zostawała na całe życie.



Agnieszka Cubala

**Zwyczajni '44.
Ludność cywilna
w powstaniu
warszawskim**

Wielka Litera



Słowo „gwałt” w oficjalnej narracji przez dziesięciolecia prawie w ogóle się nie pojawiało. Mama mojej znajomej przez 76 lat ukrywała prawdę o tym, że została zgwałcona. Gdy córka zapytała, dlaczego nie wspomniała o tym wcześniej, padła nieporadna odpowiedź: „Jak ja ci miałam o tym powiedzieć?”. A córka, skądinąd terapeutka, dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego jej matka tak wcześniej wyszła za mąż, dlaczego rzucała się w kolejne nieudane związki.

Kiedy nosi się w sobie tak ogromny niezaleczony ból, to trudno zbudować na nim zdrową relację. Kiedyś zaproponowano mi napisanie książki o powstańczej Ochocie z uwzględnieniem tematu gwałtów dokonanych na Zieleniaku. Ale kiedy doszło do zmiany władz dzielnicy, panowie z PiS-u uznali, że to niepotrzebne. Po co o tym opowiadać, przecież wszyscy wiedzą.

Jedną z najbardziej poruszających w pani książce jest historia Elżbiety Lesiak, w czasie powstania 14-letniej dziewczynki, która straciła oboje rodziców.

– Na początku jakiś Niemiec zabija jej ukochanego psa, potem umiera jej matka, a w getcie ginie ojciec – to było mieszane małżeństwo. Dziewczynka błąka się po kolejnych rodzinach przekazujących ją sobie jak niechcianą rzecz. Traci dach nad głową, gdy nie ma kto zapłacić za jej wyżywienie. Powstanie zastaje ją na Mokotowie. Wraz z opiekunką chroni się w jednej z kamienic. ●

Po chwili wpadają tam Niemcy. Gnają pojmanych do parku Morskie Oko, żeby tam ich rozstrzelać. Ludzie zbiegają ze skarpy po schodach, a Niemcy stojący na górze strzelają do nich z karabinów maszynowych. W tym zamieszaniu Ela gubi but. Wracając po niego, zostaje przywalona ciałami zabitych. Przez kilka godzin leży pod stertą trupów – aż do nadejścia patrolu sanitarnego PCK. To cud, że Niemcy jej nie dobili. W międzyczasie widzi, jak jeden z oficerów strzela do dziecka, które szuka mamy.

To wszystko spotyka 14-latkę, która jest zupełnie sama.

– I która wkrótce znowu wpada w ręce Niemców – idzie przed czołgami atakującymi barykadę jako tzw. żywa tarcza. Gdy udaje jej się uciec, trafia pod opiekę jakiejś młodej kobiety. Ponieważ jest „niczyja”, mieszkańcy piwnicy wysyłają ją do najbardziej niebezpiecznych zadań – chodzi po wodę, po żywność. Jako najmniejsza przedostaje się do jakiegoś magazynu z butami. Kiedy rzuca z niego ostatnią parę, ludzie się rozchodzą, zostawiając ją samą, bez możliwości wydostania się. Dopiero po jakimś czasie ktoś sobie o niej przypomina i pomaga jej wyjść.

Nieopodal piwnicy, w której koczuje, znajduje się cmentarzyk. Przychodzą tam bezpańskie, głodne psy. W poszukiwaniu pożywienia odkopują grzebane bez trumien ciała. Te obrazy także zostają z nią na zawsze. Żywi się tym, co kto jej ofiarował. Śpi na betonowej podłodze, nabawia się wrzodów. Ten największy, na brzuchu, lekarze nacinają jej w szpitalu bez znieczu-

lenia. Kiedy leży na stole przywiązana pasami, zaczyna się bombardowanie. Wszyscy uciekają, a ona zostaje. Potem słyszy od lekarzy, że gdyby oni zginęli, szpital nie mógłby dalej działać. Okrucieństwo tych słów zawsze będzie pamiętać.

Gdy wraca do „swojej piwnicy”, jest kolejny nalot. Odruchowo rzuca się na ziemię i pada na rozkładające się ciało. Nie ma zapasowej sukienki, siedzi brudna, cuchnąca, upokorzona. W końcu ktoś się nad nią lituje – dostaje czyste ubranie. Ale przecież cywile „tylko byli” w powstaniu...

Jak się podnieść po czymś takim?

– Elżbieta Lesiak nigdy nie pozbyła się tej traumy. Nosila ją w sobie do końca życia. Nie potrafiła już zaufać drugiemu człowiekowi. Miała wrażenie, że jeśli ktoś coś dla niej robi, to tylko z litości. A tej ostatniej nie znosiła. Skończyła dwa kierunki studiów, odnosiła sukcesy zawodowe, ale nie umiała już uwierzyć w ludzką bezinteresowność. Najbardziej bała się odrodzenia antysemityzmu.

Ale trauma była oczywiście nie tylko udziałem kobiet. Marek Hłasko, który w czasie powstania miał 10 lat, pisał po latach w liście do kuzyna, jak wielki wpływ miały na niego lata wojny i powstanie. To wówczas widział zmasakrowane ciała, publiczne egzekucje. Po tym wszystkim nie potrafił już pisać opowiadań, które nie kończyłyby się śmiercią czy jakąś katastrofą. Uważał, że jest „produktem” tych okrutnych lat i nigdy nie pozbędzie się tego piętna.

Będąc na Zachodzie, musiał się uczyć elementarnych rzeczy, takich jak okazy-

wanie szacunku drugiemu człowiekowi, wyzbycie się strachu podczas rozmowy z policjantem albo obawy, czy mijany właśnie Niemiec nie uderzy go bez powodu w twarz.

Za Godzinę „W” zapłacili nie tylko mieszkańcy Warszawy czy innych okolicznych miast, w których doszło do starć z wrogiem, ale także mieszkańcy podwarszawskich Włoch. To zupełnie przemilczana historia.

– We Włochach powstania nie było. Ale Niemcy doszli do wniosku, że ta miejscowość może się stać zapleczem dla walczących, więc aresztowali 25 sierpnia i 16 września ponad 4 tys. mężczyzn i wywieźli ich do obozów koncentracyjnych. Połowa pojmanych już nigdy nie wróciła. Włochy – cytując Felliniego – stały się miastem kobiet. Oprócz nich zostali tam tylko ludzie starsi, inwalidzi, dzieci i okupanci. Niemal każda rodzina musiała znaleźć odpowiedź na pytanie: jak dalej żyć, jak zarobić pieniądze na jedzenie, jak zreperować dach.

Ale te doświadczenia kobiet nie zapisały się w pamięci społecznej. Status bohaterów przypisany został wyłącznie wywiezionym mężczyznom, zwłaszcza tym, którzy zginęli. A że ich żony, siostry, matki i córki musiały sobie jakoś poradzić? No trudno, taka jest wojna. Historie kobiet, których bohaterstwo polegało na zapewnieniu przetrwania sobie i najbliższemu, blakną wobec tego, co spotkało mężczyzn. Dlatego okryte są ciszą jako te mniej istotne. Mniej doniosłe. Mniej straszne. Po prostu zwykłe. ●

Rozmawiała Marta Grzywacz

Jak cywile uratowali powstanie

Choć nikt nas nie zmuszał, zbudowaliśmy barykadę

Po klęsce szturmów tuż po ogłoszeniu godziny „W” powstanie stanęło nad przepaścią. Uratowali je ci, którzy zapłacili za nie największą cenę.

3 sierpnia powstańcy „Biuletyn Informacyjny” donosił o sukcesach „Niemcy pozostają w obronie, piechota ich nie ośmiela się podejmować natarć”.

O ile te słowa można uznać za prawdziwe, o tyle następująca po nich wylizanka „licznego szeregu zwycięstw” jest w najlepszym razie nieprecyzyjna. Według autora tekstu powstańcy zajęli m.in. Wolę i część Żoliborza. W rzeczywistości jedynie fragment Woli, a na Żoliborz dopiero zaczynały powracać oddziały, które opuściły go w nocy z 1 na 2 sierpnia.

Lista powstańczych sukcesów w pierwszych dniach zrywu była skromna. Ważnych punktów – mostów czy lotniska – nie tylko nie udało zdobyć, ale stały się one scenami dramatów. Zginęły tam dziesiątki, jeśli nie setki atakujących. Tylko w uderzeniu na most Kierbedzia zginęło około 40 ludzi.

Potwierdzał to w meldunku z 2 sierpnia dowódca powstania, Antoni Chruściel „Monter”. Wskazywał na zagrożenia, informując m.in. o problemach z uzbrojeniem, i przyznając, że traci przez to wpływ na przebieg walk. Ale dodał, że „ludność z entuzjazmem popiera walkę”.

Powstanie było wyczekiwane od dawna. 52-letnia Jadwiga Krawczyńska, dziennikarka, oddała po latach nastrojów w ostatnich tygodniach przed powstaniem: „Najgorsze były noce: piękne lipcowe noce, gorące i pogodne.



• Budowa barykady przez cywilów na ul. Jaworzyńskiej 2 sierpnia 1944 r.

FOT. ANDRZEJ BARGIEŁOWSKI „STAŃCZYK” / MPW

Okna otwarte, a usnąć trudno. Z mojego pokoju na pierwszym piętrze, od ulicy, słyszałam regularnie co 20 minut przechodzący patrol. Cztery podkute buty człapały ciężko na bruku. [...] Jakąż udręką był ten stukot ich butów, znak naszej niewoli i uwięzienia! [...] Zbiorowe uczucie trwogi i nienawiści krążyło w powietrzu, między ludźmi i ulicami”.

Miasto kipiało chęcią odpłaty za lata poniżeń, więzienia i egzekucje. Stres potrzebował ujęcia, niezbędne było zbiorowe oczyszczenie. Dlatego gdy powstanie się zaczęło, ludzie chcieli mieć w nim udział.

2 sierpnia „Biuletyn Informacyjny” pisał: „Warszawa jest zjednoczona w nienawiści, w zemście, w jednolitym pragnieniu wolności.” Bronisław Wojciechowski z Mokotowa, pisał: „Ludzie zaczynają już rozumieć, że to powstanie. Wszystkie okna zapelniają się głowami ciekawych, każdy chce

zobaczyć – zobaczyć – zobaczyć”. Ale również uczestniczyć.

Sam widok powstańców był wystarczającym impulsem, by ruszyć im z pomocą. Ludzie z różnych warstw społecznych razem budowali barykady.

Monika Żeromska na Starym Mieście dźwigała kamienie razem z prostytutką. Michał Rusinek tak wspominał pierwsze chwile zrywu: „Biegnie dozorca i syn w rozchelstanej koszuli, biegną kobiety osiwiałe z drugiego i trzeciego piętra, biegnie matka posępna z zabloconych ulic Marymontu”.

I choć nie wiedzieli, kto rozpoczął powstanie i kto na nim najbardziej zyska, to „wiedzą jedno, że brama na Senatorskiej prowadzi do niemieckich znielowanych hełmów, a brama na Miodowej do wolności i poświęcenia, do ludzi z kilku karabinami i kamieniami w zapalczymym ręku”.

Anna Świrszczyńska w wierszu „Budując barykadę”, relacjo-

nowała te niezwykle sceny. W jej opisie pojawiają się kolejno knajpiarz, kochanka jubilera, fryzjer, służąca, dozorca, straganiarka, emeryt, aptekarz, szmuglerka, krawcowa, tramwajarz i chłopek z poprawczaka. „Wszystko tchórze”, stwierdzała, a jednak: „Choć nikt nas nie zmuszał, / zbudowaliśmy barykadę / pod ostrzałem”.

Stefan Wojciech Talikowski, prawnik z Woli, zapamiętał z kolei, że wszyscy mieszkańcy jego kamienicy uważali, że należy przyłączyć się do walki: „Wszyscy mężczyźni zgłosili się do dyspozycji dowódcy oddziału AK w biurze inż. Fercha”.

Nie dla wszystkich starczyło pracy przy budowie barykad, nie każdy mógł wstąpić do oddziału powstańczego. Wynikało to z braku uzbrojenia dla ochotników, jak i z braku punktów werbunkowych, które pojawią się w kolejnych dniach. Na razie oddziały były zbyt oszołomione chaosem i seryjnymi niepowodzeniami.

Oszolomieni, ale zorganizowani okazali się warszawiacy. 2 sierpnia „Biuletyn Informacyjny” informował o „wspaniałej postawie ludności. Nastroj ogólny doskonały. Warszawa wie i czuje, że każda godzina wytrwania jest naszym zwycięstwem. Ludność współdziała nie tylko w zaopatrywaniu żołnierza w żywność i udzielaniu mu chętnie gościny, lecz i w bezpośredniej walce. Każdy spieszy z informacjami. Ludzie masowo oddają naftę i benzynę do walki z czołgami”.

Tym razem obraz tworzony przez powstańczą prasę był rzeczywisty.

Zbigniew Stypulkowski, jeden z twórców Narodowych Sił Zbroj-

nych, sądzony później w procesie szesnastu, wspominał, że „nikt nie był beczynny i co tak bardzo charakteryzuje Polaków w momentach naprawdę ciężkich, nikt nie czekał na cudzą inicjatywę. Pomyśliły się momentalnie, przechodziły w wykonanie i łączyły się harmonijnie w całość zbiorowego wysiłku”.

W jego kamienicy „u bramy mieszkańcy pełnili nieustanną służbę, wymieniając między sobą jedyny karabin, jaki był w dyspozycji. Mimo to od zmięczenia aż do ranka wartownik czuwał nad bezpieczeństwem domu i linii komunikacyjnej, która wiodła przez podwórze, wołając co chwila: »Stój, kto idzie, hasło!«”.

Podwórka stały się centrami dowodzenia. Tu lokatorzy ustalali zakres potrzebnych prac, dzielili obowiązki, zwoływali ludzi do pomocy.

W jednym z mieszkań pracował krawiec, który z kilkoma sąsiadkami szył od początku berety dla powstańców. „Przyozdobił nimi batalion żołnierzy sformowany z mieszkańców okolicznych domów”. W innym mieszkaniu gospodyni urządziła kuchnię, która codziennie wydawała posiłki dla żołnierzy. Takie stołówki organizowane przez cywilów w pierwszym etapie powstania, będą dla walczących nieocenioną pomocą. Mieszkańcy przynosili powstańcom zaopatrzenie, dzieląc się swoimi zapasami. Ktoś przyniósł mąkę, ktoś inny ziemniaki, kilka marchewek, groch.

Każdy chciał mieć wkład w wywalczenie wyczekiwanej wolności. ●

Sebastian Pawlina

Mit i historia 63 dni

POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 4/2024 Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 493652 ISSN: 2391-7717 Wydanie II uzupełnione

Powstanie 1944

Warszawskie

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE • INSUREKCJA SIERPNIOWA

PRZEBIEG WALK • ŻYCIE I ŚMIERĆ MIASTA • RELACJE I ZDJĘCIA

Już w sprzedaży!

Polskie Państwo Podziemne

140 stron

KUP TERAZ

**POMOCNIK
HISTORYCZNY**
Ponad 60 tytułów

Sprawdź na
sklep.polityka.pl

eprasa.pl 660847be9d

• Uroczystość przeniesienia figury Chrystusa z kościoła Karmelitów do kaplicy Baryczków w katedrze św. Jana Chrzciciela na Starym Mieście, 1948 r. FOT. PAP

ŻYCIE ZA SZTUKĘ

Nie walczył z bronią w ręku, a mimo to miał swoją barykadę i brał udział w wielu szturmach – broniąc zabytków i ratując je z ognia.

Sebastian Pawlina

To było 16 sierpnia 1944 r. Choć w zasadzie zaczęło się ponad 400 lat wcześniej. Wtedy do Warszawy trafił z Norymbergi – tak głosi legenda, bo najpewniej przyjechał z Wrocławia – krucyfiks przywieziony przez Jerzego Baryczkę, warszawskiego rajcę. Od początku ludzie przypisywali rzeźbie cudowne właściwości. Szczególnie cenna była dla mieszkańców Starego Miasta. W końcu wartościowego zabytku. Historycy sztuki cenili ją za – jak pisała Maria Kwiatkowska – „wybitne wartości plastyczne rzeźby, wyrażające się w opracowaniu zbolalej twarzy, spotęgowane realnością włosów i cierniowej korony”.

Dlatego, gdy w połowie sierpnia ogień zaczął zagrażać krucyfiksowi, kilka osób ruszyło mu na ratunek. Lech Hałko „Cyganiewicz”, broniący pobliskiej barykady, wspominał, że w pewnym momencie zobaczył, iż do świątyni wbiega kilka osób. „Nie widzę u nich żadnego uzbrojenia, natomiast mignęła mi przed oczyma czarna sutanna”. Po mniej więcej kwadransie ta sama grupa wyszła na zewnątrz. Tym razem jednak nieśli figurę Chrystusa. „Upadają, potykają się o gruz, wstają i z trudem posuwają się do przodu”.

Więcej szczegółów znajdujemy w relacji sanitariuszki Teresy Potulickiej-Łatyńskiej. To ona była jedną z osób, które widział Hałko. Gdy kościół zaczął się palić, rzuciła się wraz z koleżanką na pomoc księżom. „Zaspypywaliśmy piaskiem wejście do podziemi,

gdzie ukryte są kosztowności. W ostatniej też chwili uratowaliśmy cudownego Jezusa u Fary. Wyniosliśmy go z Basią »Pająk« i księdzem na podwórze, skąd ponieśli go dalej podziemiami”. Akcja ratunkowa odbywała się przy płonącym dachu i wszechobecnym dymie, który wyciskał lzy i dusił.

Trudno zliczyć, ile odbyło się takich indywidualnych prób ocalenia zabytków na samej Starówce. O wielu z nich nie ma śladów, bo nie przeżył nikt, kto mógłby o nich zaświadczyć. Ale zdarzają się takie, które jesteśmy w stanie zrekonstruować. Opowieść o jednej z nich znajdujemy w niewielkim notatniku zabrudzonym krwią właściciela – Zygmunta Miechowskiego.

UROCZY PAN

Gdyby nie wojna, zrobiłby zapewne dużą karierę u boku samego Stanisława Lorentza. Poznali się w Muzeum Narodowym, którego Lorentz był wówczas dyrektorem. Jeszcze zanim bomby spadły na Warszawę, trafił do Muzeum Dawnej Warszawy, oddziału Muzeum Narodowego. Był wtedy studentem historii sztuki. Mimo to szybko zdobył sobie uznanie starszego kolegi, który cenil go za talenty naukowe, organizacyjne, rzetelność, ale również poświęcenie zabytkom sztuki.

Okupacja zbliżyła ich do siebie. Od 1941 r. mieszkali w kamienicy wchodzącej w skład muzealnego kompleksu przy Rynku Starego Miasta 32, 34 i 36, z wejściem od Krzywego Koła 7. Miechowski mieszkał na drugim piętrze, Lorentz wraz z rodziną na pierwszym. To wtedy bliżej poznała go córka dyrektora Alina Kowalczykowa.

W spisanym po latach krótkim szkicu wspominała: „W pamięci mojej – ośmioletniej dziewczynki – pozostał uroczy Pan, zawsze z uśmiechem wpuszczający mnie do siebie i wycinający nożycami z kolorowego kartonu (bez szkicowania!) wspaniałe serie zwierząt dzikich i domowych”.

Zygmunt rzeczywiście posiadał talent plastyczny. Widać to już po tak drobnych pracach jak ekslibrisy, sporządzane najpewniej dla znajomych. Na jednym za na pół otwartą bramą wylania się perspektywa pałacu w Wilanowie, na drugim widnieje żółw na tle Starego Miasta. Bywały też bardziej fantazyjne wzory. Jego umiejętności miały też jednak o wiele ważniejsze zastosowanie.

„Stałą tajną funkcją – pisał Lorentz – którą w czasie okupacji pełnił w Muzeum Narodowym Zygmunt Miechowski, było odrysowywanie i opisywanie zabytków, wywołanych przez hitlerowców. Jego niezwykle staranne rysunki i opisy inwentaryzacyjne w części zachowały się i są jedynymi śladami po dziełach sztuki i zabytkach przeszłości, których nie udało się odnaleźć”.

Niemcy dwukrotnie go zatrzymywali. W 1941 r. złapali go, gdy fotografował rabowane przez okupanta wnętrza Zamku Królewskiego. Tylko szybka reakcja polskich władz miasta oraz samego Lorentza sprawiła, że młody historyk sztuki wyszedł na wolność. Trzy lata później trafił na Majdanek, ale i tym razem udało się go wyciągnąć.

Pomimo stałego zagrożenia nie przerywał pracy i zakłóconych przez wojnę studiów. Egzamin magisterski złożył 31 lipca 1944 r. Pracę o pałacu w Koźmierzach przygotował pod kierunkiem prof. Zygmunta Batowskiego. A już dzień później zaczął

pisać inny tekst – niespełniający żadnych zasad naukowości, chaotyczny. Taki jak czas, w którym powstał.

DEPRESJA

„Ok. g. 5ej, wybuch powstania. Strzelanina gwałtowna. Łuny. Dalekie strzały. Ostatnie megafonowe Zarządzenie Komendy Miasta. Nastrój. Noc”. Tak Zygmunt Miechowski, wtedy już noszący pseudonim „Kustosz”, rozpoczyna swój powstańczy dziennik. Zapisy w nim będą miały różną długość, co będzie zapewne wynikało z prostego faktu, że nie zawsze będzie miał czasu na dokładne spisywanie swoich doświadczeń.

Od samego początku 30-letni Zygmunt odpowiada za bezpieczeństwo Muzeum Dawnej Warszawy. Krótko przed wybuchem insurekcji Lorentz, który wie, że gdy padną pierwsze strzały, on będzie musiał być w gmachu głównym Muzeum Narodowego, poleca młodszemu koledze zaopiekowanie się zbiorami na Starówce (przy okazji prosi również, aby zajął się jego matką). Ślady wypełniania tej misji odnajdujemy w jednym zdaniu z 2 sierpnia. „Stary Rynek. Barykady. Wiadomości z Warszawy. ¼ miasta w rękach. Walka o gmach P.K.O. Powiśle. Stefan. Uciszenie. Pożar na Kanonii, »Katedra się pali«. Wieczorem. Przygotowania do obrony przeciwpożarowej. Spokojna względnie noc. Dalekie odgłosy artylerii. Gdzie są bolszewicy? Pożar fabryki przy Mostowej. Całe trzy dni deszcz”. Dwa dni później relacjonuje zaś: „Zabezpieczam przedmioty muzealne i z bibliotek”.

Notatki wyglądają, jakby miały w przyszłości stać się fundamentem czegoś większego. Pojedyncze słowa zostałyby wtedy rozwinięte do pełnych zdań i akapitów, a poszczególne dni do rozdziałów, ale to nie nastąpiło, musimy więc wędrować śladami Miechowskiego, korzystając z tych drobnych wskazówek, które często mówią niewiele albo wręcz nic. Dużo w nich opowieści o powstańczej codzienności sprowadzającej się przeważnie do informacji o pożarach, ostrzale i warunkach w piwnicach.

W czwartek 3 sierpnia notuje: „Ostrzeliwanie artyleryjskie. Czołgi na Rybakach. Detonacja (pierwsze szyby)”. Dzień później: „Ostrzeliwanie artyleryjskie Kanonii. Ul. Brzozowa. Nadchodzi wieczór przy b. złych nastrojach”. 12 sierpnia dużo czasu spędza w schronie, co przekłada się na wyraźnie inną długość wpisu:

„Zamek od wczoraj opanowany. Walki o barykady na ulicy Świętojańskiej i Piwnej. Nowomiejska już zagrożona i niebezpieczna. Rynek mocno scharatany [sic!], trzyma się jeszcze jako całość. Pali się katedra. Kam.

► **Pracownicy Muzeum Narodowego w Warszawie przy uratowanych ze zniszczonego Zamku Królewskiego fragmentach arabesek z Gabinetu Konferencyjnego. Od lewej: Stanisław Lorentz, Józef Grein, Bohdan Marconi, Stanisław Pawłowski, Zygmunt Miechowski, Maria Friedlówna-Bogucka, Michał Walicki, Jan Morawiński**

FOT. AUTOR NIEZNANY, ZE ZBIORÓW MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE



[ienica] XX Mazowieckich uszkodzona. Cały dzień artyleria. Miotacze min. Wojsko wróciło jeszcze i dzień na ogół przebiegł podobnie jak wczoraj. Trzeba tylko siedzieć w schronie, bo odłamki lecą naokoło.

W schronie toczyliśmy rozmowy z p. Janką i p. Marysią (ale wszystkie tematy z tamtego świata dziwnie przynębiają). Brak broni i amunicji. 12sty dzień powstania. Londyn przyjmuje na siebie odpowiedzialność, osłania walczące oddziały teoretycznym prawem międzynarodowym i obiecuje pomoc »rychłą i skuteczną«.

W kolejnych dniach sytuacja się pogarsza. W schronie pojawiają się nowi lokatorzy, zaczyna brakować miejsca, dochodzi do awantur. Choć bywają momenty, kiedy nastroje się poprawiają. Zupełnie jakby nieustanne sprzecznianie się było źle widziane. Jest źle, więc po co jeszcze utrudniać sobie życie? 16 sierpnia, gdy z Katedry wynoszą krucyfiks, do Miechowskiego dociera plotka. Jest coś o profesorostwie Batowskich i panicznej ucieczce, a potem o konieczności czekania z nastrojami – znowu możemy jedynie domyślać się sensu.

Mało w tym okresie zapisków Zygmunta o ratowaniu zabytków. Pojawiają się 2, 4 oraz 13 sierpnia („Wróciłem z grupą ludzi, która zabrała zasadniczo »wszystko«”). Wygląda to tak, jakby szok wywołany prze-

biegiem powstania wytrącił go z równowagi, odebrał zdolność do podejmowania decyzji. 7 sierpnia wprost pisze o depresji. Nagle następuje zmiana.

„OKAZICIEL NINIEJSZEGO...”

Nie wiadomo, co stało za rewolucją w zachowaniu Zygmunta. Może ma dość siedzenia w ukryciu, a może zaczyna dostrzegać to, co w swoim niepowtarzalnym stylu opisze Miron Białoszewski: „Nie uchronili nas nasi królowie. Ani myśmy nie uchronili naszych królów. Tego, co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego”, a jeszcze w czasie powstania zwiędłe, po żołniersku, ujmie w jednym z meldunków mjr Tadeusz Wardejn-Zagórski „Gromski” z Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej: „Bezcenne skarby kultury przepadają bezpowrotnie”.

18 sierpnia Zygmunt pisze o swoim pierwszym dyżurze – najpewniej w salach Muzeum Dawnej Warszawy. W następnych dniach przynosi „rzeczy muzealne obrazy itp.

zarządzeń mających na celu ratowanie zabytków dzieł sztuki. Władze cywilne Starówki oświadczały, że „okaziciel niniejszego ma prawo żądać przechowania narażonych zabytków i dzieł sztuki w stosowny sposób i w stosownym miejscu, bądź też sam zabierać je w tymczasowe przechowanie, zależnie od miejscowych potrzeb”.

Miechowski od razu zaczyna z tego korzystać. Tydzień, który dzieli go od upadku Starego Miasta, wykorzystuje maksymalnie. Wraz z nim pracuje jeszcze kilka osób, wśród nich Ewa Faryaszewska, studentka Akademii Sztuk Pięknych, autorka kolorowych fotografii z powstania, oraz małżeństwo Świderskich – Leszek i Kazimiera. Żadne z tej trójki nie opuści Starówki. Ewa i Leszek ciężko ranni od wybuchu granatu umrą w szpitalu, a Kazimierz Niemcy rozstrzelają 2 września.

Zanim to jednak nastąpi, będą wędrować po staromiejskich ruinach w poszukiwaniu rzeźb i obrazów, których jeszcze nie strawił ogień. Zaczynali wcześniej rano, gdy wroga artyleria milczała. W swojej pracy starali się zachować pełen profesjonalizm. 26 sierpnia Zygmunt opisuje m.in. wizytę w kościele Sakramentek. Tam „zdjęliśmy obraz – „Manna na pustyni”. Trudności techniczne ze zdjęciem i zwijaniem. Być może, że Matka Przełożona ma rację. Trudno umieścić tak wielkie płótno, nie ma nawet możliwości zabezpieczenia go i zabieg konserwatorski może mu tylko zaszkodzić. Ustawić blejtram pod ścianą, usunąć mniejsze obrazy”.

Ale ta walka nie będzie już długo trwała. Przed tym, jak opuści rozbite Stare Miasto, pożegna przyjaciół i współpracowników. „Umieszczamy krzyż na grobie”. Po okresie ekscytacji i wytężonej pracy powraca ponury nastrój. „Jestem wykończony”, napisze 29 sierpnia. Trzy dni później schodzi do kanału i rusza do Śródmieścia.

ŻYCIE ZA WODĘ

Po wyjściu na Wareckiej krąży po mieście. „Odnajdujemy się. Tamka 46, Ordynacka 4 (u Sióstr). Obchodzę Warszawę. Koszykowa, Marsz. [alkowska] 50. Krucza 42. Okólnik 11a. (Ciołkowie). Bibl. [joteka Ordynacji] Krasieńskich. Bombardowano Pl. Aleksandra, Kościół”. Od tego wpisu Miechowski zaczyna kolejny etap powstania. Inny od minionego – nie jest już świadkiem tak totalnej destrukcji, jak na Starówce, ale i tak jego życie toczy się od nalotu do ostrzału.

Ponownie bierze udział w akcji ratowania zabytków. Zaczyna w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich. Gdy 5 września na gmach spada bomba, cały dzień walczy z ogniem. Po upadku Powiśla wraca do Śródmieścia i dwa dni później uczestniczy w znoszeniu zbiorów Zakładu Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej. Tym samym dołącza do zespołu prof. Jana Zachwatowicza, który już w sierpniu rozwinął w tej części miasta zakrojoną na szeroką skalę operację ratowania księgozbiorów, obrazów i rzeźb.

We wrześniu jego praca jest bardziej uprządkowana. Tutaj powstanie jest inne. Jest więcej przestrzeni, a dodatkowo Śródmieście Niemcy zostawiają sobie na koniec. Pomimo tego ogólny nastrój regularnie się pogarsza. 14 września notuje, „Naloty. I znowu walki powietrzne, artyleryjska gra, i już naprawdę

dosyć. Oczekiwanie faktów, których nie ma. Plotki, pogłoski, wiadomości. Dni coraz dłuższe”. Nie ma dnia, żeby nie napisał o bombardowaniach. Czasem nawet opíše historię zasypiania, odkopywania, ale i rozsypania się norm społecznych – tak jak 16 września: „Wstrząs, huk: Zawalenie piwnicy.

Rozpoczynamy odkopywanie zasypanego korytarza. Matka z dzieckiem. Prof. Lutostańska. Zasypani. Pożar! Ratujemy kamienicę (Strych, II i I p.). Drużyna ratownicza (doskonali chłopcy). Drużyna ochotnicza mniej sympatycznego autoramentu. Rabowanie”.

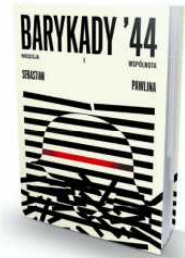
Znowu – tak jak w pierwszej połowie sierpnia – dużo miejsca zajmują opisy codzienności. Głównie wypraw po wodę. Przy każdej z nich widzi postępujące zniszczenie miasta, choć ciągle daleko tym scenom do tego, co pamięta ze Starego Miasta. To, co jest wspólne, to pogrzeby. I tam, i tu tak samo bolesne, tak samo niebezpieczne dla grzebiących. W końcu nigdy nie wiadomo, gdzie spadnie pocisk. Bywają jednak dni, kiedy to ryzyko jest mniejsze. 23 września pisze, że „ranek [jest] chmurny. Zaczyna mżyć. Myśl o deszczu napawa dostateczną ilością troski. Przedpołudnie spędzamy na małych domowych remontach. Z wodą poszło dziś stosunkowo gładko”.

Być może spodziewa się, że w niedzielę 24 września będzie podobnie. Nie jest. Gdy stoi w kolejce po wodę, niedaleko eksploduje pocisk. Odłamki trafiają Miechowskiego, który w kieszeni cały czas nosi ze sobą dziennik. Czytając go dzisiaj, z łatwością dostrzegamy ślady krwi. To pamiątka po tamtym dniu.

Ranny trafia do szpitala „Sano” przy ul. Lwowskiej 13. Dzień później ma urodziny. Trzydzieste pierwsze. Ostatnie. Pogrzeb odbywa się 25 września. Nad trumną gromadzą się przyjaciele. Jest ksiądz Tadeusz Dobrzeńcki, który po wojnie będzie pracował w Muzeum Narodowym. Jest także Zachwatowicz. W kolejnych dniach w notatniku Zygmunta pojawiają się nowe zapiski. Nie wiadomo, kto je robił, nie wiadomo, kto przechował dziennik – ostatni zapis życia Zygmunta Miechowskiego.

A krucyfiks z katedry wrócił na swoje miejsce w marcu 1948 r. Uroczysta procesja ruszyła spod kościoła Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu. Na jej czele szedł kardynał August Hlond. Gdy tłum dociera na miejsce, „następuje chwila kulminacyjna – relacjonował młody reporter Miron Białoszewski. – Zdejmuje się figurę z podium, wnosi po stopniach do kaplicy Baryczków i zawiesza na stare miejsce, gdzie trwała przez całe wieki. Panuje długa cisza. Rozchodzi się tylko zapach kadzidel”.

Biskup Zygmunt Choromański przypomina zebranym historię zabytku. Jednego z nielicznych, które przetrwały powstanie czy armagedon i dzisiaj przypominają o ludziach, którzy dla ich ratowania często poświęcali życie. ●



29 lipca ukaże się książka autora – „Barykady '44. Nadzieja i wspólnota”

OGLOSZENIE

Kraj/3432779

GODZINA
„W”

80. rocznica wybuchu
Powstania Warszawskiego

FOT. UM WARSZAWA

ORGANIZATORZY

wyborcza.pl wysokieobcasy.pl ODESZLI.pl

REKLAMA

PARTNERZY

Warszawa Museum Powstania Warszawskiego

SPONSOR GŁÓWNY

PZU

SPONSORZY

MEDCOM budimex



Myśliwy jest bardzo czujny i ostrożny. Skrada się po cichu, co i nam nakazuje: „Cśśśś, bądźcie bardzo, bardzo cicho... Poluję na króliki”. Szybko wpada na trop, który prowadzi go do króliczej nory. Ma niezawodny plan – wygrzebuje z kieszeni marchewkę i kładzie ją jako przynętę. Sam zaczają się za pnieniem drzewa. Z nory wynurza się leniwie ręka, wymacuje marchewkę, po czym szybko znika z łupem pod ziemią. Zaskoczony myśliwy rzuca się do dziury, mierzy dwururką do środka, ale jakaś siła ciągnie broń w dół. Po krótkim siłowaniu myśliwy wyszarpuje fuzję, ale lufy skrecone są w kokardę! Rzuca się do nory i zaczyna kopać, tymczasem z sąsiedniej jamy wyskakuje królik, skrada się do pochłoniętego wykopkami myśliwego, unosi jego czapkę, stuka go w czoło i pyta zaciekawiony żując marchewkę. „Co jest doktorku?”

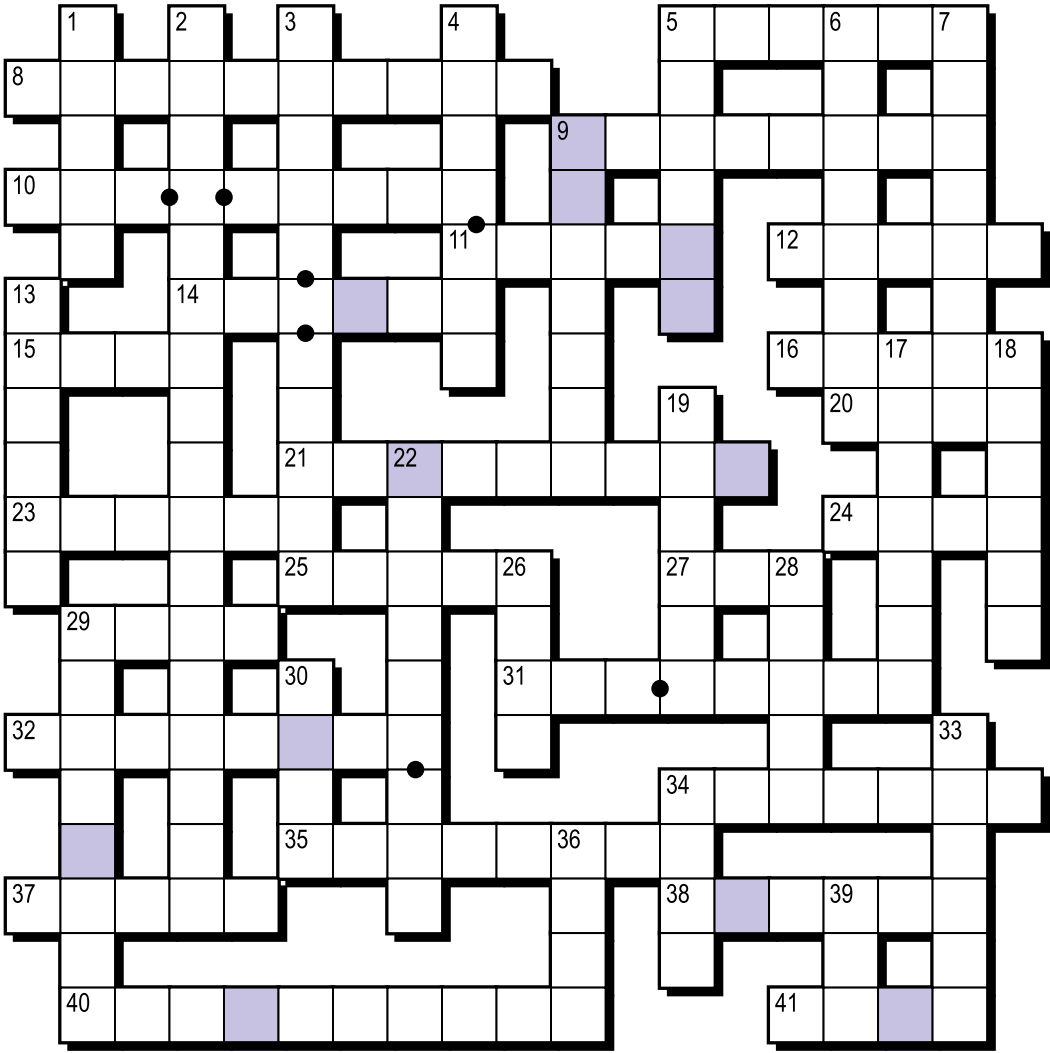
Jest 27 lipca 1940 roku, premiera filmu animowanego „A Wild Hare” („Gonić króliczka”), a Królik Bugs – bo to rzecz jasna on spłatał te wszystkie figle pechowemu łowczemu Elmerowi Fuddowi – oficjalnie debiutuje na ekranie. Czemu Bugs? Po Benie „Bugsie” Hardawayu, animatorze Warner Bros. Cartoons. To on jako pierwszy wprowadził postać królika w kreskówce z 1938 roku, której bohaterem był Prosiak Porky. Zrobił dobrą robotę, ale trzeba było go nieco „ukróliczyć”, czym ostatecznie zajął się rysownik Charlie Thorson (choć nie tylko on, króliczych ojców sukcesu było więcej – swoje dołożyli też m.in. Bob Givens i Robert McKimson). Reżyserem „A Wild Hare” był Tex Avery, który też przyczynił się do finałowej postaci Bugsa.

Inspiracją dla Bugsa był też bohater filmu „Ich noc” (1936), grany przez Clarka Gable’a, który w jednej ze scen nonszalancko pogryza marchewkę. Jedną z filmowych postaci zwraca się też do odtwarzanego przez Gable’a Petera Warne’a per „Doc”, choć samo legendarne zdanie „What’s up, Doc?”, czyli „Co jest, doktorku” miał włożyć w usta Bugsa Tex Avery. Reżyser pochodził z Teksasu, gdzie używano tego zwrotu bardzo często. Owo „Co jest, doktorku?” Bugs wypowiadał początkowo głosem sławnego Mela Blanca, ale oczywiście później dubbingowało królika więcej osób.

Królik Bugs, od swego debiutu, pojawił się w niezliczonych produkcjach filmowych. Doczekał się swojej gwiazdy w hollywoodzkiej Alei Gwiazd (był drugą, po Mysze Miki postacią z kreskówek, która dostała tego zaszczytu), a magazyn TV Guide obwołał go największą osobowością filmu animowanego wszech czasów.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, z okazji króliczego debiutu, poświęcamy więc wszelakim animowanym bohaterom i animacjom w ogólności. Będzie się działo!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 112 z 20.07:

Poziomo: 1) Alechin, 9) Arturo, 10) zroszowanie, 12) błąd, 13) Carlsen, 14) ataki, 15) zremisowanie, 17) Anand, 19) księga, 21) Capablanca, 24) Nakamura, 25) Magnus, 28) teoria, 29) Akiba, 31) Tal, 33) pion, 34) Lasker, 36) wieże, 37) roślina, 38) wojna, 39) rankingi, 40) piosenka.

Pionowo: 2) Lewon, 3) centrum, 4) idea, 5) Caruana, 6) poddanie, 7) szach, 8) czas, 11) obrona, 12) bicie, 14) Aronian, 16) rywal, 17) arcymistrz, 18) debiut, 19) Kasparow, 20) analiza, 22) Duda, 23) laufer, 26) serial, 27) treningi, 30) bierki, 32) Liren, 34) Lewis, 35) konik

HASŁO:
SYMULTANKA

KRZYŻÓWKA ANIMOWANA
Liter w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) ikona czeskiej animacji
8) Indianka kojarząca się z Edytą Górniak
9) sympatyczny żółw z serialu „Witaj, ...”
10) najsłynniejsza para bohaterów zwykle wojujących ze sobą
11) animacja Disneya, której akcja toczy się w dawnych Chinach
12) „... i Minimiki”
14) kochają filmy animowane
15) „I telewizor włącznie, dźwięk podkręćcie i usiądźcie – zaczynamy dla was nową ...!” (z piosenki do serialu o smurfach)
16) głowa rodziny Simpsonów
20) Lucky ..., kowboju, któremu nie po drodze z rodziną Daltonów

21) ... Pat, pracuje w brytyjskim miasteczku Greendale
23) ulubiony sport Freda Flintstone’a
24) planeta, z której przybył Marvin – kosmita w charakterystycznym hełmie
25) „... i Kurczak”, serial z wytwórni Hanna-Barbera
27) Sylvester lub Pan Jinks
28) założony przez zwierzęta w filmie animowanym „Madagaskar 3”
31) film animowany, w którym występują kowboju Chudy i astronauta Buzz Astral
32) Skipper, Rico, Kowalski i Szeregowy
34) „Zwariowane ...” (Looney Tunes)
35) zakochała się w Ośle („Shrek”)
37) pajacyk z głową na sprężynce, żyjący w krainie zabawek

38) nazwisko kosmicznej rodziny z przyszłości, żyjącej w mieście Orbit City
40) wieczorynki
41) Nemo, Marlin i Dory

Pionowo:
1) antagonistą Strusia Pędziwiatra
2) miasto znane fanom przygód Shreka
3) mają swój pomnik w Bielsku-Białej
4) „Jestem sobie ...”, śpiewał Mieczysław Czechowicz
5) „... lodu”, animacja o przygodach sióstr Elsy i Anny
6) miś z lasku Bois Joli
7) „... Hip-Hop”, bohater dawnej polskiej dobroci
9) mieszkał w jednej chacie z Bonifacym
13) „Bracia Koala” – Australia, „Król Lew” – ?

17) są nimi Wojownicze Żółwie Ninja
18) psiak wymyślony przez Lechostawa Marszałka
19) niejeden w repertuarze smerfa Zgrywusa
22) strachliwy psiak z serialu, w którym występują także Velma, Daphne, Fred i Kudłaty
26) film animowany z Zygakiem McQueenem
28) Muminek
29) wielki czerwony pies, którym opiekuje się Emily Elizabeth
30) Tramp („Zakochany kundel”) lub Pluto
33) najsłynniejszy Walt
34) pszczołka, którą wszyscy znają i kochają
36) miś z parku Jellystone, podkradający turystom kosze piknikowe
39) „Skąd się biorą ...”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY

wysokieobcasy

TEMAT NUMERU:
Co nas fascynuje w Japonii, a co zaskakuje

TAYLOR SWIFT jako genialna strażniczka

DUŻO DOBREGO CZYTANIA